

Głodne kamienie



RABINDRANATH TAGORE

Głodne kamienie

TLUM. FRANCISZEK MIRANDOLA, JERZY BANDROWSKI

Noc ziszczenia

Chodziłem razem z Surabalą do szkoły, utrzymywanej przez pewną starą pannę, i bawiliśmy się w męża i żonę. Ile razy przychodziłem do niej, matka jej głaskała mnie po głowie, stawiała nas obok siebie i mówiła: „Co za śliczna parka!”

Byłem jeszcze dzieckiem, ale wiedziałem, co to znaczy, wiedziałem doskonale. Ustaliło się we mnie przekonanie, że posiadam do Surabali wyjątkowe prawa. Stąd też, uniesiony dumą posiadacza, często karałem ją i dręczyłem, a ona chętnie dokonywała dla mnie wielu uciążliwych rzeczy i znosiła bez skargi kary wszelakie. Cała wieś uwielbiała jej piękność, ale w mych oczach, oczach małego barbarzyńcy, piękność niewiele znaczyła. Wiedziałem tyle, że Surabala umyślnie po to przyszła na świat, by dźwigać moje jarzmo, a więc nie mam powodu robić z nią żadnych ceregieli.

Ojciec mój był zarządcą dóbr bogatej rodziny Czaudhuri i chciał mnie, gdy tylko przyswoję sobie biegłość w pisaniu, umieścić przy sobie w zarządzie, a potem, gdy się z tokiem spraw obeznam, dać mi posadę poborczy czynszów dzierżawnych. Ale w głębi ducha postanowiłem zrezygnować z tego zaszczytu. Nilratan, chłopiec z naszej wioski, uciekł swemu ojcu do Kalkuty, nauczył się po angielsku i został w końcu nazirem okręgu, czyli naczelnikiem administracji. To stało się ideałem mego życia i przysiągłem sobie zostać co najmniej generalnym sekretarzem sądu, o ile nie zdołam osiągnąć godności nazira.

Wiedziałem, że ojciec mój okazuje zawsze ogromny szacunek urzędnikom sądowym. Wiedziałem też od lat dziecięcych, że ludzi tych zjednywać sobie trzeba podarkami, takimi jak ryby, jarzyny, a nawet dawać im pieniądze. Dlatego to w sercu zachowałem dla nich, poczynawszy od podrzędnych aż do poborców podatkowych, miejsce honorowe. Są to bogowie, czczeni w naszym kochanym Bengalu, i stanowią miniaturowe wydanie 330-milionowego panteonu bóstw hinduskich. Kiedy idzie o korzyści materialne, ludność odnosi się do nich z większym dużo zaufaniem jak do starego poczciwego bożka Ganesza, patrona szczęścia, toteż składa teraz w ofierze urzędnikom to wszystko, co przedtem bywało udziałem Ganesza.

Zachęcony przykładem Nilratana przy sposobnej okazji zemknąłem również do Kalkuty i zamieszkałem na razie w domu pewnego znajomego ziomka, z naszej wsi pochodzącego. Potem otrzymałem od ojca małą pensyjną przeznaczoną na koszt wykształcenia. Mogłem tedy rozpocząć regularną naukę.

Poza tym wstąpiłem do różnych politycznych i społecznych zrzesseń i niebawem uświadomiłem sobie, że winien jestem w ten czy inny sposób poświęcić swe życie dla ojczyzny. Ale nie wiedziałem, jak tego dokazać, a nikt mi nie wskazywał drogi.

Nie sprawiało to jednak żadnego uszczerbku w moim zapale. My, młodzi wieśniacy, nie umieliśmy jeszcze drwić sobie z wszystkiego, jak to czynili nad wiek dojrzały młodzieńcy kalkuccy, toteż wiara nasza nie miała granic. „Przywódcy” naszego związku wygłaszali mowy, my zaś, nie zważając na żar słoneczny doskwierający silnie, chodziliśmy od drzwi do drzwi z pustymi żołądkami i zbieraliśmy podpisy albo, stojąc na rogach ulic, rozdawaliśmy ulotki; czasem znosiliśmy ławki i krzesła do sal prelekcyjnych, a gdy tylko ktoś

pozwolił sobie na najdyskretniej wyrażone słówko niechęci dla naszych „przywódców”, stawaliśmy murem, gotowi bić się z nim do upadłego. Młodzież miejska wyśmiewała się z „durnych prostaków”.

Przybyłem do Kalkuty z zamiarem zostania nazirem albo sekretarzem sądu, teraz atoli czułem, że wstąpiłem na drogę właściwą, by zostać Mazzinim albo Garibaldim.

Jakoś w tym właśnie czasie umówił się ojciec mój z ojcem Surabali o nasze małżeństwo. Wyruszyłem do Kalkuty w piętnastym roku życia, Surabala miała wówczas lat osiem. Teraz liczyła osiemnaście lat i ojciec mój był zdania, że czas najwyższy na ślub, bo potem będzie za stara. Ale ja przysiągłem sobie w skrytości serca nie żenić się wcale, natomiast położyć życie za ojczyznę, dlatego też oświadczyłem ojcu, że nie chcę brać żony przed ukończeniem studiów.

Po upływie dwu czy trzech miesięcy dowiedziałem się, że Surabala zawarła związek małżeński z pewnym prawnikiem nazwiskiem Ram Loczan, ale byłem wówczas tak zajęty zbieraniem zasiłków na pomoc dla Komitetu Odrodzenia Indii, że ta wieść nie wywarła na mnie żadnego wrażenia.

Immatrikułowałem się i właśnie miałem przystąpić do pierwszego egzaminu, gdy zmarł mój ojciec. Nie tylko musiałem starać się o własne utrzymanie, ale również zadbać o matkę i dwie siostry. Przeto porzuciłem uniwersytet i zacząłem rozglądać się za płatną posadą. Po długich staraniach uzyskałem miejsce drugiego nauczyciela w niższym zakładzie naukowym w pewnym małym miasteczku okręgu Noakhali.

Uznałem, iż stanowisko to właśnie mi odpowiada, i postanowiłem osobistym wpływem wykształcić każdego z mych uczniów na przyszłego bohatera i obrońcę wyzwolonych Indii.

Zacząłem swą pracę i zauważyłem niebawem, że zbliżający się egzamin to sprawa pilniejsza od przyszłości Indii. Dyrektor gniewał się, gdym mówił o czymś poza gramatyką i algebrą, toteż w ciągu kilku miesięcy wygasł cały mój zapal.

Nie jestem geniuszem. W ciszy domowej snuję wprawdzie zuchwałe plany, ale wkroczywszy na pole pracy, uginam, niby bawół hinduski, kark ku jarzmu, znoszę smaganie kolczastego bata, którym mnie okłada mój pan, przez cały dzień tnę pługiem skiby ciężkiej ziemi i czuję wielkie zadowolenie, mogąc wieczorem w spokoju przeżuwać strawę. Podobne stworzenie nie umie stawać dęba i wykonywać skoków.

Jeden z nauczycieli musiał dla bezpieczeństwa budynku mieszkać w pobliżu szkoły. Będąc nieżonaty, podjąłem się tego obowiązku i zamieszkałem w szopie krytej słomą, tuż obok budynku szkolnego.

Budynek ten mieścił się w niejakiej odległości od miasta nad wielkim stawem otoczonym palmami kokosowymi i arekowymi oraz krzewami mandaru¹, a przy samym budynku rosły dwie stare gojawy, rzucając chłodny cień wokół.

Zapomniałem nadmienić i do tej pory wydawało mi się to nawet niegodnym uwagi, że w pobliżu szkoły mieszkał prokurator Ram Loczan Ray, a wiedziałem, że znajduje się tu także jego żona Surabala, moja towarzyszką zabaw z lat dziecięcych.

Zapoznałem się z panem Ram Loczanem. Nie wiem, czy doszło do jego wiadomości, że znałem Surabalę dawniej, a ja nie uważałem za potrzebne mówić mu o tym za pierwszą zaraz bytnością. Przyznać muszę, że wówczas ledwo pamiętałem, iż Surabala była ongi w jakimś związku z moim życiem.

Pewnego dnia wolnego od nauki odwiedziłem pana Ram Loczana. Nie wiem już, o czym rozmawialiśmy, zdaje się, że o nieszczęsnym położeniu współczesnych Indii. Nie bardzo go to wówczas obchodziło, ale można było na ten temat rozprawiać długo i szeroko, pykając przy tym fajkę.

Podczas rozmowy usłyszałem w sąsiednim pokoju lekkie kroki, szelest szat kobiecych, cichy chrzęst bransoletek i wydało mi się, a raczej pewny byłem, że para ciekawych oczu spoglądała na mnie przez szczelinę małego okienka.

Nagle zjawiły się mej duszy znane ciemne oczy spozierające z zaufaniem i czystą miłością dziewczęcą. Czarne źrenice, czarne długie rzęsy, oczy spokojne, utkwione we mnie

¹mandar, madar a. erytryna — drzewo ozdobne o dużych czerwonych kwiatach, łac. *Erythrina variegata*. [przypis edytorski]

bez drgnienia. Uczulem, że serce obciska żelazna obręcz, zgniata je, a bólu tego wysłowić nie sposób.

Wróciłem do domu, lecz ból nie ustawał. Czytałem, pisałem, robiłem różne rzeczy, ale ciężaru z serca zrzucić nie mogłem, gniótl mnie, dławił jak zmora... uciskał piersi.

Wieczorem uspokoiłem się trochę i spróbowałem rzecz rozważyć — czegoż mi właściwie brak? A głos z wnętrza spytał: „Gdzieś podział swoją Surabale?”. Odparłem: „Wy-rzekłem się jej dobrowolnie. Nie mogłem się spodziewać, by wiecznie na mnie czekać miała”.

Ale głos rozległ się znowu: „Wówczas mogłeś ją mieć, gdybyś jeno chciał. Dziś rób, co chcesz, nie masz nawet prawa spojrzeć na nią. Surbala z dziecięcych lat wabi cię, słyszysz brzęk jej bransolet, pachną ci z dała jej włosy, a mimo wszystko zbliżyć się nie możesz, bowiem mur was rozdziela”.

Odparłem: „Ano trudno! Niechże będzie! Czymże mi jest dziś Surabala?”.

A serce mówiło dalej: „Dziś ci niczym! Ale pomyśl, czym ci mogła być!”.

Tak, to prawda. Czymże mi mogła być? Najukochańszym ze wszystkich stworzeń świata, najbliższym spośród nich, towarzyszką w doli i niedoli... Tak, tym mi być mogła Surabala! A teraz daleka, obca, tak obca, że nie wolno mi na nią patrzeć, nie wypada z nią mówić, a grzechem wprost jest myśleć o niej! Ten Ram Loczan wylazł nagle skądś, wymamrotał kilka formułek obrzędowych wyuczonych na pamięć, a potem porwał Surabale i zabrał jako swój łup, swą niezaprzeczną własność.

Nie chcę głosić nowych zasad moralnych ani też obalać porządku społecznego, nie zamierzam również rozrywać związków rodzinnych. Chcę jeno wyrazić to, co się we mnie działo, mimo że nie da się to pogodzić ze zdrowym rozsądkiem. Nie mogłem się wyzbyć uczucia, że Surabala, żyjąca w domu Ram Loczana i pozostająca w jego straży, jest raczej moją niż jego własnością. Wyobrażenie to było — przyznaję — nierozumne i nieprzy-stojne, nie było jednak nienaturalne.

Od tej chwili nie mogłem skupić uwagi na żadnym zajęciu. Gdy w południe uczniowie moi hałasowali, gdy palił żar słoneczny, gdy powiew wiatru niósł do pokoju słodką woń kwitnących gajów, wówczas pragnąłem... nie wiem doprawdy, czemu pragnąłem, czułem tylko, że za żadną cenę nie strawię mego życia na poprawianiu zadań owych młodocianych bohaterów przyszłych wolnych Indii.

Po skończeniu nauki nie mogłem wytrzymać w domu, a jednocześnie nieznosny był mi każdy gość i unikałem bywania u ludzi. Siedząc o zmroku nad stawem i słuchając, jak powiew wiatru wzdycha żałośnie w liściach kokosów i areki, rozmyślałem nad tym, że społeczeństwo ludzkie to jedna ogromna sieć pomyłek i głupstw. Nikt nie ma dość rozumu na to, by rzecz właściwą zrobić w odpowiednim czasie, a gdy sposobność minie, dręczymy swe serca daremną tęsknotą.

Mogłem poślubić Surabale i być szczęśliwy przez całe życie. Ale chciałem koniecznie zostać Garibaldim, tymczasem zaś zostałem pomocnikiem nauczyciela w szkółce prowincjonalnej. Zaś ten prawnik Ram Loczan Ray, nieposiadający żadnego prawa do małżeństwa z Surabalą, dla którego Surabala przed ślubem była jak sto podobnych dziewcząt, najspokojniej ożenił się z nią i zarabia mnóstwo pieniędzy jako prokurator. Gdy mu nie smakuje jedzenie, to wymyśla Surabali, gdy zaś jest w dobrym humorze, natenczas robi jej prezent z bransoletki. Jest gładki, okrągły, ubiera się pięknie i nie ma żadnych trosk — ja zaś, niedoszły bohater, siedzę nad stawem, wzdycham i gapię się na gwiazdy.

Ram Loczan oddalił się z miasta na kilka dni w ważnej sprawie urzędowej, a Surabala pozostała w domu swym, równie samotna jak ja w mojej szkole.

Przypominam sobie, był to poniedziałek. Niebo od samego rana już pokrywały chmu-ry, a około dziesiątej zaczął padać silny deszcz. Z powodu grożącej burzy dyrektor mój wcześniej skończył naukę i zamknął szkołę. Przez cały dzień przewalały się chmury, jak-by gotując się do walnej rozprawy. Nazajutrz po południu rozpętała się burza, a woda lała się strumieniami z góry. W miarę zbliżania się nocy wzrastała zaciekłość huraganu i rosła siła deszczu. Zrazu dał wicher od wschodu, ale odwrócił się i zmienił kierunek na południowo-zachodni.

Daremne byłoby usiłowanie spać w noc taką. Myślałem nad tym, że Surabala jest sama jedna w domu w tak okropny czas. Szkoła była dużo lepiej zbudowana jak jej lekkie

domki letni. Kilka razy zabierałem się, by sprowadzić ją do szkoły, a sam spędzić noc nad stawem pod gołym niebem. Ale nie mogłem zdobyć się na to.

O wpół do drugiej nad ranem posłyszałem nagle szum wody, nadchodziła fala powodzi. Wybiegłem z izby i podążyłem ku domowi Surabali. Pomiedzy nim a szkołą była tama brzeżna staw. Gdym szedł po niej, woda sięgała mi do kolan. Gdym był na środku tamy, nadbiegła druga fala powodzi i rozstrzaskała się o belkowanie. Najwyższy punkt tamy znajdował się nie wyżej siedemnastu stóp nad poziomem gruntu.

Gdym się tam znalazł, postać jakaś nadbiegła od strony przeciwnej. Każdym fibrem serca czułem i wiedziałem, kto to był, i dusza zdrząła mi od tej świadomości. Nie wątpię, że i ona poznała mnie także.

Staliśmy oboje na tym małym skrawku ziemi, a wokół nas, w obrębie jakichś trzech mil, wszystko pokryła woda.

Nadszedł czas potopu, pogasły gwiazdy na niebie i znikły światła na ziemi. Nie byłoby grzechem, gdybyśmy wówczas rozmawiali, ale żadne nie mogło zdobyć się na słowo. Nie spyaliśmy się nawet wzajem, co począć mamy. Staliśmy, patrząc w ciemność, a pod naszymi nogami pienił się dziki, czarny, rozwścieczony potok śmierci.

Dzisiaj porzuciła Surabala cały świat i przyszła do mnie. Dziś prócz mnie — nie ma nikogo. W dawnych latach dziecięcych ta sama Surabala przyszła z innego świata, z jakiegoś ciemnego, przedwiecznego kraju niezgłębionych tajemnic i stanęła przy mnie pośród jasnego, pełnego ludzi świata, a dzisiaj, po długich, długich latach porzuciła ową ziemię lśniąca życiem i słońcem po to, by znaleźć się obok mnie w beznadziejnej, przeraźnej ciemni, w momencie, kiedy przyroda rozgrywa ponurą walkę żywiołów. Prąd życia przyniósł mi ongiś pod stopy ten pęk nierozwity, a nurt śmierci porwał kwiat w pełni rozkwitu i znowu dał go mnie, mnie tylko samemu! Nadpłynęła jeszcze jedna fala, splucze nas z owej ostatniej krawędzi ziemi, na której stoimy z dala od siebie, i połączy na wieki w skonanium.

Ale choćby nie przyszła ta fala, choćby Surabala długo i szczęśliwie żyła w swym domu, przy mężu, dzieciach i w otoczeniu krewnych, to nocy tej, kiedy staliśmy nad przepastną otchłanią śmierci, doznałem niebiańskich rozkoszy szczęścia.

Noc przeminęła, burza ukoiliła się, woda odpłynęła powoli. Bez słowa jednego Surabala wróciła do domu, a ja także powlokłem się z powrotem do mojej szopy, nie rzekłszy nic.

Siedziałem i rozmyślałem długo. To prawda, nie zostałem nazirem ani generalnym sekretarzem sądu, ani też Garibaldim. Jestem pomocnikiem nauczyciela w nędznej prowincjonalnej szkółce. Ale ta jedna krótka noc blaskiem oblała całą drogę mego życia.

Pośród wszystkich dni i nocy, jakie mi zostały dane, ta jedna noc stała się najwyższym zniszczeniem mego bytu.

Zwycięstwo

Była królową Adżita, a pieśniarz króla Narajana nigdy jej nie widział. Śpiewając królowi nowy swój utwór, musiał zawsze dobywać tak silnego głosu, by go usłyszeć mogli niewidzialni słuchacze ukryci za zasłoną otulającą balkon zawieszony wysoko ponad salą. Sławił wtedy pieśń swoją w górę, ku niebu, gdzie krążyła planeta rządząca jego losem i królująca w chwale światła.

Czasem dostrzegał cień poza zasłoną, cień ruchomy, a do uszu dobiegał go cichy, daleki pobrażek, tak że mógł śnić o bransoletach na nogach kobiecych, zdobnych w złote dzwoneczki nucące cudnie za każdym krokiem. Te różowe, drobne, płynące ponad pyłem ziemi nóżki, błogosławiące go, niby łaska boża grzesznika, poeta postawił na ołtarzu swego serca i podług dźwięku każdego dzwonka układał pieśni swoje. Nigdy nie zaćmiła duszy jego wątpliwość, czyj to był cień poruszający się za kotarą i czyje obrączki dzwoniły w takt równy z jego tętniącym sercem.

Mandżari, służebna królowy, idąc ku rzece codziennie przechodziła tuż obok domu poety i nigdy nie ominęła sposobności zamienienia z nim kilku słów potajemnych. Jeśli ulica była pusta, a mrok zaległ już wszędzie, wówczas wstępowała śmiało do jego izby

Tajemnica

i siadała na skraju dywanu. Zdawało się, że dziewczyna starannie dobiera taki kolor szala i takie kwiaty do włosów, w których jest jej do twarzy.

Ludzie uśmiechali się po trochu, szeptali sobie na ucho różności i nie można im było tego brać za złe, bo poeta Szekhar nie trudził się wcale ukrywaniem, że odwiedziny te napełniały go niewymowną radością.

Imię Mandźari znaczy tyle, co „bukiecik” — i każdy przyznać musi, że jest to prześliczne imię, dla każdej istoty ziemskiej nader miłe, ale nie dość tego było Szekharowi i nazwał ją: „Bukiecik wiosennych kwiatów”, a wszyscy ludzie rozsądni potrzęsali głowami i powtarzali: „O Boże... Boże... Boże!”.

W pieśniach o wiosnie, jakie układał, Szekhar wysławiał zawsze „Bukiecik wiosennych kwiatów”, a król uśmiechał się i rzucał nań znaczące spojrzenia, zaś poeta widząc to, uśmiechał się także.

Pewnego dnia król spytał: — Czy pszczoła nie ma nic innego do roboty, jak brzęczeć w przedsionku pałacu wiosny?

Odpowiedział poeta: — O tak, musi ona także zbierać słodki nektar z kwiatów wiosennych i nim się upajać.

Wszyscy obecni w przybytku królewskim zaśmiali się z tej odpowiedzi, a podobno śmiała się także królowna Adżita z tego, iż służebna jej przyjęła imię nadane jej przez poetę. Zaś Mandźari czuła w duszy radość wielką.

Tak łączy się w życiu prawda i błąd, a do tego, co Bóg stwarza, człowiek dodaje własną przyozdobę.

To tylko jedno, co śpiewał poeta, było prawdą czystą. Śpiewał o Krisznie, boskim kochanku, i o jego umiłowanej Radha, o pierwiastku męskim i żeńskim istniejących od przedwiecza, nucił pieśń starą jak świat o cierpieniu nieprzemijającym i o rozkoszy niemającej końca, a każdy, od żebraka do króla, stwierdzał prawdziwość owych pieśni we własnym sercu. Pieśni poety były na ustach wszystkich. Przy najsłabszym blasku księżyca i gdy powiał leciuchny choćby wiatr letni, pieśni jego wytryskały niezliczonymi głosy z okien, podwórzy, z łódek na rzece i spośród cienia drzew przydrożnych.

Tak biegnęły dni szczęśliwe, niezmaczone niczym. Poeta śpiewał, król nasłuchiwał, a wszyscy obecni głośno objawiali swój zachwyt. Mandźari idąc ku rzece, zawsze przechodziła obok domu pieśniarza, cień za kotarą balkonu poruszał się ciągle, a z dala dolatywały brzęki złotych dzwoneczków.

Właśnie w tym czasie porzucił pewien poeta swe miejsce rodzinne na południu i ruszył w zwycięskim pochodzie po wszystkich krajach świata. Przybył też do Amrapury, królestwa Narajana. Stał przed tronem i zanucił pieśń ku chwale króla. Wzywał wszędzie na turniej królewskich pieśniarzy i zawsze odnosił zwycięstwo.

Król przyjął go z honorami i rzekł: — Poeto, witam cię łaskawie!

A poeta Pundarik odrzekł dumnie: — Królu, proszę o turniej!

Szekhar, pieśniarz królewski, nie wiedział wcale, jak ma być rozegrana ta walka muz, i przez całą noc nie mógł spać. Ile razy przymknął oczy, wylaniała się z ciemności olbrzymia postać słynnego Pundarika z pochyloną nieco na bok dumną głową i zakrzywionym niby ostrą szablą nosem.

Zadrżało serce w piersi biednego Szekhara, gdy dnia następnego wstąpił na arenę teatru wypełnionego ludem po brzegi.

Skłonił się z nieśmiałym uśmiechem przed współzawodnikiem. Pundarik odpowiedział dumnym skinieniem i śmiejąc się zwycięsko, obrócił lice ku licznemu gronu towarzyszących mu wielbicieli.

Szekhar spojrział w górę ku otoczonemu zasłoną balkonowi, a dusza jego pozdrowiła ukochaną słowami: „Jeśli zwyciężę dzisiaj, jedyna moja, to imię twoje wielbione będzie przez wieki!”.

Rozległo się uderzenie trąb. Tłum powstał z miejsc z okrzykiem: „Niech żyje król!”. Narajan wkroczył do sali otulony w fałdzisty biały płaszcz. Szedł powoli, niby chmura jesienna, a potem usiadł na tronie.

Pundarik wystąpił i uczyniła się wielka cisza. Podniósł głowę, wypiął pierś i głosem piorunowym począł sławić króla Narajana. Słowa jego uderzały jak spienione fale o mury i przenikały do głębi słuchaczy, wstrząsając nimi z mocą wielką. Zręczność, z jaką imię

Narajana tłumaczył na różne sposoby, przewijając każdą jego literę przez sploty swych wierszy, zapierała dech słuchaczom.

Kiedy skończył i zajął swe miejsce, brzmiał jeszcze długo głos jego w całej sali i odbijał się echem w tysiącach serc oniemiałych słuchaczy. Uczni mistrze, którzy wraz z nim przybyli ze stron dalekich, podnieśli prawice i zawołali: „Brawo!”.

Król spojrzął na Szekhara, tenże podniósł omglony bólem wzrok na swego pana. Potem zerwał się jak raniony jeleni, pełen rozpacz. Oblicze jego było blade, oniesmielony jak dziewczyna drżał cały, a młodzieńcza jego, smukła postać podobna była do napiętej struny lutni, która za najbliższym dotknięciem rozśpiewać się musi tonami.

Zaczął z cicha, spuściwszy głowę. Pierwszych wierszy nie można było pochwycić uchem. Potem jednak wyprostował się, a czysty jego, słodki głos uniósł się w górę jak rozedrgana płomienista chmura.

Zaczął starą legendą z zamierzchłych czasów, opiewającą dzieje królewskiego rodu, i śpiewał o bohaterstwie jego przodków oraz niewysłowionej ich szlachetności od czasów pradawnych aż do dni ostatnich. Utkwił wzrok w królu, a w spojrzeniu jego malowała się wielka, niezmierną miłość do dynastii, jaką on i cały lud w sercu chował swoim. Słowa płynęły ku tronowi niby dym kadzidlany i obejmowały go przejrzystym obłokiem. Zakończył tak: — Panie, zaprawdę, można mnie prześcignąć zręczną grą zimnych słów, ale nikt nie może czuć większej nade mnie miłości ku tobie!

Łzy napęłniły oczy słuchaczy, a mury budynku zadrżały od okrzyków zachwyty.

Pundarik, słysząc te ogólne objawy uczuć, potrząsnął majestatycznie głową. Potem powstał i rzucił w tłum pogardliwe pytanie: — I cóż jest wyższego ponad słowo? — I jednej chwili zamilkł tłum cały.

Pundarik zaczął teraz ze zdumiewającą uczonością wywodzić, że od samego początku świata słowo było wszystkim, bo sam Bóg jest — słowem.

Przywiódł ogromną ilość dowodów zaczerpniętych z pism świętych i z tego materiału zbudował słowu ołtarz tak wysoki, iż ze szczytu jego królowało nad wszystkim, co jest na ziemi i niebie. Na koniec powtórzył znowu potężnym głosem: — I cóż jest wyższego ponad słowo?

Spojrzął dumnie wokół, ale nikt nie miał odwagi przyjąć wyzwania, przeto usiadł z wolna, niby lew, który właśnie nasycił się do woli ciałem i krwią swej ofiary. Uczni bramami zawołali znowu: „Brawo!”. Król zamilkł ze zdumienia, a poeta Szekhar uczył, że wobec tej niesłychanej uczoności jest wprost niczym. Na ten dzień zapasy były skończone i zebrani rozeszli się.

Nazajutrz zaczął pierwszy Szekhar pieśń swoją. Opiewał dzień, w którym fletnia miłosna po raz pierwszy zmała ciszę lasu Brindy. Pasterki nie wiedziały, kto gra i skąd pieśń dolatuje. Raz wydało się, że płynie z wiatrem południowym, czasem znów brzmiała od strony chmur sunących ponad wzgórzami. Płynęła, niosąc poselstwo z kraju, gdzie wschodzi słońce, i wiła się pasmem westchnień i mgłą tęsknoty od strony doliny zachodu. Gwiazdy były, zda się, klawiaturą tajemniczego tego instrumentu, przepajającego melodią nocne marzenia. Muzyka płynęła z wszystkich stron jednocześnie, od pól i gajów, od drożyn, otoczonych żywopłotami głogów, i pustynnych gościńców, od strony jasnego szafiru nieba i sytej zieleni łąk. Pasterki nie rozumiały jeszcze tej pieśni i nie wiedziały, co oznacza tęsknota tuląca się w głębi ich serduszek. Do oczu napływały im łzy, a życie wyrывało się z piersi i dążyło ku otchłani śmierci, by się w niej pogrążyć na zawsze.

Szekhar zapomniał o tłumie słuchaczy, zapomniał, że toczy walkę ze współzawodnikiem potężnym. Czuł się samotny, otaczały go jeno myśli własne, szeleszczące wokół niby listowie drzewa, poruszane letnim powiewem. Stał i nucił pieśń o flecie miłosnym, a przed oczyma miał postać utworzoną z cienia i lekkiego pobrzęku cichych, dalekich kroków.

Skończył i usiadł. Niewysłowione uczucie tęsknego upojenia, nieokreślone i bezkresne, przeniknęło słuchaczy tak, że zapomnieli wyrazić swego uznania. Gdy ukończył się fale tego wzruszenia, stanął Pundarik przed tronem i wezwał swego współzawodnika, by objaśnił, kto jest kochankiem, a kto kochanką. Mówiąc to, spozierał wokół wzrokiem pełnym pychy na swoich zwolenników, a po chwili zapytał znowu: — Kim jest kochanek Kriszna, a kim kochanka Radha?

Poeta, Pojedynek, Poezja

Nie doczekawszy się odpowiedzi, począł objaśniać etymologię tych słów i wykladał ich znaczenie w najrozmaitsze sposoby. Ze zręcznością niezrównaną przesunął przed oniemiałymi słuchaczami wszystkie najzawilsze systematy filozoficzne szkół najodmienniejszych. Oddzielał od siebie litery owych imion, pędził je wkoło szalonym wirem, sma-gał, deptał, niweczył biczem nieubłaganej logiki, aż padły w proch i znikły. Potem jednak podejmował je na nowo, kojarzył, nadawał im odmienne znaczenie i czynił cuda, na jakie nie było stać najbystrzejszego słowotwórcy.

Uczeni popadli w ekstazę, głośno objawiali swe uwielbienie, a tłum im przytakiwał, poddając się ułudzie, że oto dziś, w ich oczach, cudem intelektu rozdarta została do ostatniego strzępka ciemna opona osłaniająca prawdę. Owo mistrzostwo zachwyciło ich do tego stopnia, że zapomnieli spytać, czy poza ową zasłoną rzeczywiście znajdowała się prawda.

Król sam oniemiał z podziwu. Atmosfera oczyszczona została zupełnie z wszelkich urojeń poetycznych, a świat, okryty do niedawna zieloną runią wiosny, wyglądał teraz jak szeroki, wyśmienicie i równo wybrukowany gościniec.

Ludowi wydało się, że pieśniarz ich to mały chłopiec biegnący obok olbrzyma, który z pewnością nieugiętą kroczy poprzez świat słów i myśli, wdeptując w ziemię wszystkie trudności i przeszkody z łatwością niezmierną. Po raz pierwszy przyszło im na myśl, że poezje Szekhara są śmiesznie proste i dziecinne, tak że każdy mógłby sam sporządzić takie same. Nie było w nich nic nowego ani trudnego do pojęcia, nie były też pouczające ani niezbędne nikomu.

Król usiłował znaczącymi spojrzeciami zachęcić swego poetę do ostatniego wysiłku. Ale Szekhar nie zwracał na nic uwagi i siedział, milcząc, na swoim miejscu.

Wówczas król rozgniewał się, powstał, zdjął ze swego zawoju sznur pereł, uwieńczył nim głowę Pundarika, a wszyscy zebrani objawili jednogłośnie swą aprobatę. Z góry od strony balkonu dobiegł lekki szelest, niby szmer poruszającej się szaty, i pobrzęk złotych dzwoneczków. Szekhar wstał z siedzenia i wyszedł.

Noc była ciemna. Wąski sierp ubywającego księżyca siał słabe światło. Poeta wyjął z szafy swe rękopisy i rozrzucił po podłodze. Niektóre z nich zawierały pierwsze jego wiersze, o których już niemal zapomniał. Przerzucał karty i odczytywał urywki. Wydały mu się wszystkie nędzne i bez treści, widział w nich jeno słowa puste i naiwne rymy.

Potargał tedy jeden po drugim i rzucił w ogień, mówiąc: — Tobie je składam w ofierze, o piękny, połyskujący płomieniu. Przez cały ciąg owych daremnie straconych lat jaśniałeś w sercu moim. Gdyby serce moje było złotem, wyszłoby świetne z tej próby ogniowej. Ale jest ono jeno kawałkiem porosłej trawą darniny, przeto pozostanie zeń mała garstka popiołu.

Noc coraz głębsza nadpływała powoli. Szekhar otworzył okna. Pokrył łożo swoje białymi kwiatami, które kochał najbardziej, jaśminem, tuberozami i chryzantemami, potem zaś zniósł do jednej komnaty wszystkie lampy, jakie posiadał, i zaświecił je. Następnie wmieszał do czary miodu sok trującego korzenia, wypił ten napój i położył się na posłaniu.

Nagle zabrząkły w przedsionku złote obrączki, a powiew wiatru przyniósł do wnętrza rozkoszny zapach.

Poeta zamknął oczy. — O, pani moja — wyszeptał — nareszcie ulitowałaś się nad sługą i przybywasz do mnie!

Odpowiedział mu głos słodki: — Poeto mój, przyszłam do ciebie!

Szekhar otworzył oczy i ujrzał przy łożu postać niewieścią. Widział ją jak przez mgłę i wydało mu się, że jest to twór uczyniony z cienia, owego cienia, który tak długo przechowywał w najtajniejszej skrytce swego serca. Teraz, w ostatniej godzinie życia, wychylił się ów cień na świat, by mu ukazać swoje oblicze.

Postać rzekła: — Jestem królowa Adżita! — Ostatnim wysiłkiem uniósł się poeta na posłaniu, a królowa szepnęła mu do ucha: — Król popełnił wobec ciebie niesprawiedliwość. Tyś to, poeto mój, odniósł zwycięstwo, a ja przybyłam uwieńczyć twoje czoło!

Powiedziawszy to, zdjęła ze skroni wieniec kwiatów, złożyła go na głowie poety, a Szekhar padł martwy na łożo.

Samobójstwo,
Rozczarowanie

Maszi

I

— Maszi!

— Śpij, śpij, drogi Dżatinie, już bardzo późno!

— To nic! Nie pożyję już i tak długo. Właśnie myślałem o tym, że Mani powinna by jechać do swego ojca... gdzież on to mieszka?

— W Sitarampurze.

— Tak... W Sitarampurze! Wyślij ją tam. Niedobrze, by dłużej męczyła się przy chorym człowieku. Sama jest słabowita.

— Cóż ty mówisz? Czy sądzisz, że zgodziłaby się opuszczać cię w tym stanie?

— Więc wie, co lekarze...?

— Sama to dobrze widzi. Kiedym jej niedawno dała do poznania, że powinna by wracać do ojca, omal sobie nie wyplakała oczu.

Musimy objaśnić, że słowa te paczyły po trochu prawdę... mówiąc ogólnie. W rzeczywistości rozmowa z Mani miała przebieg następujący:

— I cóż, droga Mani, czy dostałaś wiadomości od ojca? Zdaje mi się, że widziałam tu kuzyna twego, Anatha!

— Tak, dostałam wiadomość, że w przyszły piątek odbędzie się uroczystość annapraszanu² mojej małej siostrzyczki, dlatego też myślę, że trzeba by...

— Dobrze... dobrze. Poślij jej złoty łańcuszek na szyję. Ucieszy to matkę twoją!

— Rada bym jechać sama. Jeszcze nie widziałam tej mojej siostrzyczki, a bardzo bym chciała ją zobaczyć.

— Jak to? Czyż mówisz serio? Mogłabyś opuścić biednego Dżatina? Czyś nie słyszała, co mówił lekarz?

— Ależ powiedział przecież, że na razie nie ma powodu do...

— Choćby tak i było, widzisz przecież, jak jest chory!

— To pierwsza córeczka po trzech synach i wszyscy się tak cieszą. Słyszałam, że ma być śliczna. Jeśli nie przyjadę, matka moja bardzo...

— Wiem, wiem. Co prawda nie pojmuję twej matki, ale wiem dobrze, że ojciec twój rozgniewa się bardzo, że opuściłaś Dżatina właśnie w takiej chwili.

— Napisz doń kilka słów, że nie ma na razie żadnego powodu do obaw, a nawet gdybym na czas krótki wyjechała...

— Masz słuszość! Nawet gdybyś wyjechała, niewiele poniesie uszczerbku. Ale wiedz, że jeśli napiszę do twojego ojca, to powiem mu, co o tym wszystkim sądzę!

— Nie, nie pisz wcale! Sama zapytam męża i pewna jestem...

— Słuchaj, Mani! Zniosłam niejedno od ciebie, ale jeśli to uczynisz, to między nami wszystko skończone! Ojciec twój zna cię zresztą zbyt dobrze, byś go mogła w błąd wprowadzić.

Maszi odeszła, a Mani mocno niezadowolona rzuciła się na łóżko.

Naraz zjawila się jej przyjaciółka, mieszkająca w sąsiedztwie, i spytała, co zaszło.

— Pomyśl sobie! Co za okropność! Nadchodzi annapraszan mojej jedynej siostry, a oni nie chcą mi pozwolić jechać!

— Mani! Jakże możesz myśleć na serio o wyjeździe, kiedy mąż twój tak ciężko chory?

— Nic dlań nie robię, a nawet choćbym chciała, nie mogłabym mu w niczym ulżyć. Powiem ci otwarcie: nudzę się śmiertelnie w tym domu i nie mogę tu dłużej wytrzymać.

— Dziwna z ciebie kobieta.

— Nie umiem udawać, jak wy wszystkie, przybierać smutnej miny, by uniknąć złej opinii.

— Więc powiedz, co chcesz uczynić?

— Wyjadę! Nikt mnie nie zatrzyma!

— Ho... ho! Cóż za uparta i samowolna osóbką!

²annapraszan, annaprasana a. onnoprasan — hinduistyczny rytuał przejścia, uroczystość odprawiana w dniu, w którym niemowlę po raz pierwszy jest karmione czym innym, niż mleko matki. [przypis edytorski]

II

Gdy Dżatin usłyszał, że Mani płakała na samą myśl wyjazdu do rodzinnego domu, uczuł takie podniecenie, że musiał usiąść w łóżku. Podsunął sobie poduszkę pod plecy, oparł się o nią i powiedział: „Maszi, otwórz na chwilę okno i zabierz lampę!”

U okna stała milcząca noc jako pielgrzym w drodze ku wieczności, a do wnętrza zaglądały gwiazdy, świadki niezliczonych walk śmiertelnych w ciągu nieprzeliczonych stuleci.

Dżatin widział na tle nocy twarz swej drogiej Mani i jej ciemne oczy, z których spływały ciągle łzy.

Maszi odetchnęła z ulgą, widząc, że taki spokojny. Sądziła, że zasnął.

Nagle uczynił szybki gest i powiedział: „Maszi, mówiliście wszyscy, że Mani jest za lekkomyślna i płytka, by się czuć szczęśliwą w naszym domu. Ale teraz, widzisz...”

— Tak, mój drogi, przyznaję, że się myliła. Próba może jeno dać pojęcie należyte o człowieku.

— Maszi!

— Spróbuj zasnąć, drogi Dżatinie.

— Pozwól mi trochę pomyśleć i pogadać! Nie gniewaj się, Maszi!

— Mów, skoro chcesz!

— Wówczas, gdym sądził, że nie zdołam posiąść serca Mani, znosiłem to cierpliwie.

Ale ty...

— Ja... o, nie mów tak, i ja znosiłam to...

— Serca, widzisz, nie są to przedmioty bez życia, które się tylko bierze i zaraz posiada. Czulem, że Mani nie zna swego własnego serca i że pewnego dnia jakieś silne wrażenie, jakieś przeżycie...

— Tak, Dżatinie. Masz słusność.

— Dlatego też nie zwracałem uwagi na jej kaprysy.

Maszi milczała, tłumiąc westchnienie. Nie raz, ale wiele razy widziała, jak Dżatin spędzał noce na werandzie. Wolał przemoknąć do nitki na deszczu czy rosie, jak udać się do swej sypialni. Po całych nieraz dniach czekał w gorączce i tęsknił, i czekał, by Mani przyszła i położyła dłoń na jego gorącym czole, a Mani tymczasem stroiła się, by iść do teatru. Ale gdy Maszi zjawiała się, by go chłodzić wachlarzem, odprawiał ją z niechęcią. Maszi jedna знаła jego wielką troskę. Ileż razy mogła mu powiedzieć: „Nie zwracaj uwagi na tę kapryśnicę, niech zasnę tęsknoty i łez”. Ale czyż można powiedzieć coś takiego bez spowodowania nieporozumień? Dżatin wystawił w sercu swym ołtarz bóstwu kobiecości i Mani królowała na nim. Nie mógł uwierzyć, by nie przypadł mu udział w winie miłości, którym to bóstwo obdarza ludzi. Znosił tedy dalej modły i składał ofiary, i nie porzucał nadziei, że dar otrzyma.

Maszi znowu myślała, że Dżatin zasnął, gdy nagle wykrzyknął żywo:

— Wiem dobrze, sądziłaś, że nie jest z Mani szczęśliwy, i dlatego gniewałaś się na nią. Ale, Maszi, szczęście nasze podobne jest do gwiazd. Nie zasłaniają one całej ciemności, lecz widać ją wszędzie pomiędzy nimi. Te luki to błędy i omyłki ludzkie. Popelniamy błędy w życiu i pojmujemy wiele rzeczy fałszywie, ale światło prawdy dociera do nas w końcu. Nie wiem, czemu w sercu moim tyle dzisiaj radości?

Maszi gładziła z lekka czoło Dżatina, a łzy jej spływały po policzkach w ciemności niedostrzeżone.

— Myślałam właśnie, droga Maszi... ona taka młoda... Cóż uczyni, kiedy ja...?

— Młoda! O mój Dżatinie, nie jest znów taka młoda! I ja byłam młoda, kiedy straciłam ukochanego, ale odnalazłam go w sercu moim na zawsze. Czyż to w ogóle była strata? Czy zresztą sądzisz, że człowiek koniecznie musi być szczęśliwy?

— Maszi... wydaje mi się, że właśnie w chwili, kiedy przebudziło się serce Mani...

— Nie smuć się tym, Dżatinie. Czyż nie dość, że się przebudziło? Czyż to mała rzecz?

Nagle przyszył Dżatinowi na myśl słowa ludowej piosenki, słyszane dawniej:

O serce moje, nie zbudziłoś się wtedy,
Kiedy kochanek zapukał do drzwi...
Dopiero szelest kroków jego, gdy odchodził,
Zbudził cię ze snu... i narodziłoś się do życia, w ciemności...

Szczęście

— Maszi! Która godzina?
 — Dochodzi dziewiąta.
 — Tak wcześnie jeszcze? Myślałem, że musi być co najmniej druga albo trzecia w nocy. Północ moja zaczyna się zaraz po zachodzie słońca. Dlaczegoż więc chciałaś, bym spał?
 — Wiesz przecież, jak długo nie spałeś i rozmawiałeś wczoraj. Dlatego powinieneś dzisiaj zasnąć wcześniej.
 — Czy Mani już śpi?
 — O nie, gotuje dla ciebie zupę.
 — Żartujesz chyba, Maszi? Czy naprawdę gotuje?
 — Prawdę mówię. Ona wszystko gotuje dla ciebie. To bardzo pilna żoneczka.
 — Sądziłem, że Mani wcale...
 — Kobieta nie musi się długo uczyć tych rzeczy. Kiedy zajdzie potrzeba, umiejętność ta przychodzi sama z siebie.
 — Rybna zupa, którą jadłem dziś rano, miała taki wyśmienity smak. Myślałem, żeś ją ty gotowała.
 — O nie... skądże by! Mani zresztą nie dopuściłaby do tego. Pierze sama wszystką twoją bieliznę, wiedząc, jak jesteś wybredny pod tym względem. Szkoda, że nie możesz zobaczyć, jak w twej pracowni wszystko ślicznie poustawiane i wyczyszczone... a w innych pokojach także. Gdybym ją częściej tutaj wpuszczała, zrobiłaby to samo w sypialni, domaga się tego nawet, ale to by ją zanadto wyczerpało.
 — Jakże z jej zdrowiem?
 — Lekarz nie pozwala przebywać jej za często przy tobie. Powiada, że ma zbyt wrażliwe serce.

— Ależ, Maszi, jakże możesz jej zabraniać wstępu?
 — Słucha mnie ślepo. Dopytuje ciągle o ciebie.
 Gwiazdy połyskiwały na firmamencie niby wielkie lzy. Dżatin pochylił głowę i dziękował za szczęście życiu swemu, w chwili gdy zabierało się do odejścia, a gdy wyciągnęła się dłoń śmierci, ujął ją z zaufaniem.

Po chwili westchnął i powiedział z odcieniem niecierpliwości:

— Maszi, jeśli Mani nie śpi jeszcze, czyżbym nie mógł... bodaj na chwilę...?

— Naturalnie... zawołam ją.

— Nie zatrzymam jej długo, tylko pięć minut, rad bym jej powiedzieć coś ważnego.

Maszi westchnęła i poszła do Mani. Tymczasem tętno chorego wzmogło się bardzo, czuł, że serce jego bije gwałtownie. Wiedział dobrze, że nie zdoła mówić z żoną poufnie. Dwa te instrumenty były zupełnie na inny ton nastrojone i niepodobna było wydobyć z nich harmonijnego akordu. Często miewał Dżatin napady zazdrości, słysząc, jak Mani paple ze swymi przyjaciółkami i śmieje się wesoło. Dżatin obwinał samego siebie. Czemuż nie umiał gadać o byle czym, jak ona? To jest, nie brakło mu tej zdolności, rozmawiał wszakże ze swymi przyjaciółmi nieraz o rzeczach potocznych. Ale paplanina dozwolona mężczyznom nie przystoi wszakże kobietom. Można wygłaszać wobec drugich monolog filozoficzny bez zwracania uwagi na słuchaczy, ale w rozmowie lekkiej muszą brać udział co najmniej dwie osoby. Można grać we dwoje na jednych cymbałach, ale na kobzie grywa jedna osoba. Nieraz usiłował Dżatin, siedząc wieczorami z Mani na tarasie, nawiązać poufną pogawędkę, wysiłał się, by ją zająć, ale za chwilę urywał się wątek rozmowy. Wydawało się, jakby wieczór wstydział się jego milczenia. Dżatin czuł, że Mani pragnie się odeń oddalić, że tęskni do tego. Czasem chciał, by zjawił się ktoś trzeci, bo zwykle udaje się rozmowa we troje, mimo że jej we dwojkę wieść nie sposób.

Zaczął rozmyślać nad tym, co powie, gdy Mani przyjdzie. Ale taka sztucznie ułożona rozmowa nie zadowalała go i Dżatin obawiał się, że te pięć minut dzisiejsze będzie stracone. A przecież tak mało czasu pozostało mu na porozumienie i rozmowę.

III

— Cóż to znaczy? Gdzież się to wybierasz?
 — Do Sitarampury. Muszę tam jechać.
 — Cóż za okrutny pomysł? No, ale któż z tobą pojedzie?
 — Anath.

— Nie, dziś jechać nie możesz, moja droga. Jutro!
 — Kajuta już opłacona!
 — To nic, niewielka strata. Możesz jechać jutro rano.
 — Maszi, nie mam przesądów co do feralnych dni kalendarza. Cóż to może szkodzić, że dziś pojedę?
 — Dżatin chce pomówić z tobą!
 — Dobrze, mam jeszcze trochę czasu. Pójdę doń i załatwię się prędko.
 — Ale nie mów mu, że wyjeżdżasz!
 — Dobrze, nie wspomnę o tym. Tylko długo pozostać nie mogę u niego. Jutro jest annapraszan mojej siostry i dzisiaj jechać muszę!
 — Proszę cię, droga Mani, usłuchaj mnie bodaj raz jeden! Posiedź przez chwilę spokojnie, opanuj się. Niech nie spostrzeże, że ci tak pilno!
 — To trudno! Pociąg nie zaczeka, ani statek. Anath przyjdzie tu za dziesięć minut najdalej. Tak tylko długo mogę z nim mówić.
 — Nie, to na nic! W tym nastroju nie możesz się mu pokazywać. Nie wpuszczę cię wcale. O, ty marna istoto, człowiek, którego tak dręczysz, niedługo opuści ten świat! Ale zapowiadam ci... popamiętasz dzień dzisiejszy na całe życie! Przekonasz się niezadługo, że istnieje sprawiedliwość boska!
 — Maszi, czemu mi złorzeczysz?
 — O, biedny mój bracie! Czemuż nie zmarłeś wcześniej? Grzech ten nie ma końca, a nie jestem w możności zapobiec mu!
 Maszi wahała się przez chwilę, potem wróciła do pokoju chorego w nadziei, że zasnę tymczasem. Ale poruszył się na łóżku, gdy weszła. Maszi wykrzyknęła od samego proga:
 — Wyobraź sobie, co Mani uczyniła!
 — Co się stało? Czy nie przyjdzie? Czemu byłaś tam tak długo, Maszi?
 — Zastałam Mani płaczącą gorzko, albowiem przypaliła śmietankę przeznaczoną do twojej zupy. Pocieszałam ją, jak mogłam, przekonując, że jest jeszcze więcej śmietanki na świecie. Ale myśl, że mogła być tak nieuważna i zepsuć śmietankę przeznaczoną dla ciebie, doprowadziła ją do rozpacz. Z wielkim trudem zdołałam ją uspokoić nieco i położyłam do łóżka. Dlatego nie przyszła. Pozwól, niech zapomni we śnie o strapieniu.
 Jakkolwiek przykro było Dżatinowi, że Mani nie przyszła, uczuł niejako ulgę. Obawiał się po trochu w głębi duszy, że rzeczywista Mani zmaści ten obraz, jaki sobie wytworzył o niej. Ale myśl, że Mani uczuła się nieszczęśliwa przez to, iż spaliła jego śmietankę, napełniła mu serce niezmierną radością.

— Maszi!
 — Co, mój drogi?
 — Jestem pewny, że się zbliża mój zgon. Ale nie smuci mnie to. I ty nie martw się także!

— Nie będę się martwiła. Wiem, że nie tylko życie jest dobrem, ale także śmierć.
 — Wierź mi, Maszi, śmierć to rzecz słodka.

Dżatin leżał spokojnie wpatrzony w nocne niebo. Wydawało mu się, że śmierć w postaci Mani zbliża się doń. Była młoda wiekuiłą krasą, gwiazdy były to kwiaty rozrzucone po jej ciemnych włosach błogosławiącą dłonią wielkiej matki świata. Wydawało mu się, że oto po raz pierwszy widzi ją pod ślubnym muslinem. Niezmiernie rozrzewniło go miłosne spojrzenie jej oczu. Mani narzeczona, Mani młoda dziewczyna stała się uosobieniem bóstwa królującego na ołtarzu gwiazd, gdzie łączą się w jeden dwa strumienie: życia i śmierci. Dżatin złożył do modlitwy ręce i szeptał: „Nareszcie uniosła się zasłona, rozdarta została opona ciemności! Najdroższa! O, jakże często dręczyłaś moje serce! Teraz nie opuścisz mnie już!”.

IV

— Czuję ból, droga Maszi, ale nie myśl, że cierpię. Wydaje mi się, jakoby te bóle odłączyły mnie powoli od życia. Dotąd wlokły się za nim jak obciążone czółno ciągnięte statkiem na linie. Teraz lina zerwana i oto prąd wody pędzi je w przepaść wraz z wszystkim, co mi tak ciążyło. Widzę je jeszcze, ale nie mają już ze mną nic wspólnego. Maszi... już przez dwa dni nie widziałem wcale Mani!

— Dżatinie, czekaj, dam ci inną poduszkę.

— Wydaje mi się, moja Maszi, jakby mnie Mani także opuściła i poszła z prądem jak owa łódź pełna ciężarów cierpienia.

— Może byś się napił trochę soku z granatu, mój drogi. Musiało ci całkiem wyschnąć w gardle.

— Spisałem wczoraj testament. Czym ci go pokazał? Doprawdy nie mogę sobie przypomnieć...

— Nie masz potrzeby pokazywać mi go, Dżatinie.

— Gdy matka zmarła, nie posiadałem nic. Tyś mnie żywiła i wychowywała. Dlatego sądzę...

— Głupstwo, mój drogi. Miałam tylko ten dom i trochę pieniędzy. Resztę zarobiłem sam.

— Ale ten dom...

— Nic nie znaczy! Przybudowałeś doń tyle, że dziś trudno poznać, gdzie był mój dom.

— Jestem pewny, że miłość Mani ku tobie...

— Tak... tak, Dżatinie. Spróbuj teraz trochę zasnąć!

— Jeśli całe swe mienie zapisałem Mani, to w praktyce pozostanie ono twoim, Maszi. Ona wszakże we wszystkim jest ci powolna...

— Czemuż dręczysz się tym wszystkim, mój drogi?

— Wszystko, co mam, zawdzięczam tobie. Ujrzawszy mój testament nie myśl ni przez chwilę...

— Cóż za przypuszczenie, Dżatinie? Sądzisz więc, że mogłabym ci brać za złe, że dajesz Mani to, co jest twoją własnością? Wszakże nie jestem tak małostkowa!

— Ale ty także...

— Przestań, Dżatinie, bo się pogniewam! Chcesz mnie pocieszyć pieniędzmi?

— Ach, moja Maszi! Jakże chętnie dałbym ci coś, co lepsze o wiele od złota!

— Uczyniłeś to już, i w ogromnej nawet mierze! Wypełniłeś całe moje samotne życie! Było to wielkie szczęście i myślę, że musiałam na nie chyba zasłużyć w poprzednim swoim życiu. Dałeś mi tyle, że teraz, gdy to życie nic mi już dać nie może, nie będę się wcale żaliła. Tak... tak... Zapisz Mani wszystko, dom, pieniądze, powozy i posiadłość rolną... Dla mnie byłoby to zbyt wielkim ciężarem.

— Wiem, że utraciłaś upodobanie w uciechach tego świata. Ale Mani tak młoda...

— O nie! Nie mów tego! Słusznie czynisz, pozostawiając jej majątek, ale co do uciech życia...

— Wszakże ma do nich prawo, Maszi!

— Nie, nie będzie mogła z nich korzystać z powodu brzemienia bólu po twojej stracie. Wydadzą jej się marnością, garstką pyłu...

Dżatin umilkł. Nie mógł rozstrzygnąć, czy to prawda, czy nie, i nie wiedział, czy ma żałować, że świat bez niego wyda się Mani wstrętny.

Westchnął i powiedział: „Tego, co rzeczywiście warto coś, nie możemy zapisać nikomu!”.

— Niemalę są to rzeczy, które dajesz, mój drogi, i pragnę tylko, by ona zrozumiała wartość tego, co dostaje.

— Daj mi jeszcze trochę soku z granatu, Maszi, pić mi się chce bardzo! Więc naprawdę Mani przyszła wczoraj do mnie?

— Tak, była, ale właśnie spała wtedy. Długo siedziała u twego wezglowia i chłodziła cię wachlarzem. Potem odeszła, by naprawić twą bieliznę.

— To ślicznie! Zdaje mi się, że właśnie w tej chwili śniłem, iż Mani usiłuje wejść do pokoju. Drzwi były tylko przyparte, ona popychała je, ale nie chciały się otworzyć. Maszi, posuwasz się za daleko, powinnaś ją uwiadomić, że ja umrę. Inaczej śmierć moja będzie dla niej straszliwym ciosem.

— Czekaj no! Połóż ci ten szal na kolanach. Masz zimne nogi.

— Nie, Maszi! Nie mogę tego znieść.

— Czy wiesz, Dżatinie, że to Mani utkała ten szal? Pracowała pilnie w porze, kiedy powinna była kłaść się spać. Dopiero wczoraj skończyła go.

Dżatin pogładził szal czule. Dotykał jedwabistej miękkiej wełny i wydawało mu się, że trzyma w ręku dłoń Mani. Noc w noc tkąła go i miłosne, dobre myśli wplatała w tę robotę. Szal nie był z wełny, ale składał się cały z dotknięć Mani. Gdy Maszi okryła mu szalem nogi, wydało mu się przeto, że pieści je Mani.

— Maszi! Zdaje mi się, że Mani nie umie tkać! W każdym razie nie cierpi tej roboty!

— Kobieta uczy się z łatwością robót ręcznych. Naturalnie musiałam jej pokazać, jak się ma brać do rzeczy. Narobiła też mnóstwo omyłek i pospuszczała mnóstwo oczek.

— To nic, to nic... Nie pošlemy tego szala na wystawę paryską! Mimo pomyłek grzeje mi doskonale nogi!

Dżatin zaczął sobie w duchu malować, jak wyglądać musiała Mani przy pracy, jak popełniała omyłki, gubiła osnowę i nie mogła dojść do końca z robotą. A mimo to każdego wieczoru pracowała cierpliwie. Jakież to wzruszające widowisko! I znowu poczył gładzić szal z rozrzewnieniem.

— Maszi, czy przyszedł lekarz?

— Tak, jest na dole. Chce zostać na noc tutaj.

— Powiedz mu, że to jest bezcelowe. Nie chcę też nasennego środka. Nie daje mi on spoczynku, a czuję się tylko gorzej po nim. Pozwól mi czuwać... dobrze? Wiesz, Maszi, że ślub nasz odbył się w maju, w noc, kiedy księżyc był w pełni. Jutro przypada rocznica tego dnia i na niebie ukażą się te, co wówczas, gwiazdy. Mani pewnie o tym zapomniała. Chciałbym jej to przypomnieć... zawołaj ją tu na chwilę! Czemuż milczysz? Pewnie ci lekarz powiedział, że jestem tak słaby, że każde wzruszenie... ale zapewniam cię, Maszi, że ta kilkuminutowa rozmowa z nią tak mnie uspokoi, iż nie będę potrzebował brać nasennego środka. Maszi, nie płacz tak strasznie! Czuję się całkiem dobrze, serce moje tak radosne dzisiaj, jak może nigdy dotąd nie było. Dlatego chciałbym zobaczyć Mani! Nie... nie, Maszi... nie mogę znieść twego okropnego łkania. Przez kilka dni ostatnich byłaś taka spokojna... Cóż ci się stało nagle?

— Ach, Dżatinie! Myślałam, że wyplakałam już moje łzy, ale płyną... płyną... i nie mogę ich powstrzymać.

— Zawołaj Mani! Chcę jej przypomnieć rocznicę naszego ślubu, tak, by jutro...

— Idę... już idę! Szombhu będzie czuwał pod drzwiami. Zawołaj go, gdyby ci czego było potrzeba.

Maszi poszła do sypialni Mani i padła, łkając na podłogę. „O przyjdźże, przyjdź!” — wołała. — „Bodaj ten jeden raz przyjdź, istoto bez serca. Spełń ostatnią prośbę tego, który ci dał wszystko, co posiadał. Umiera już! Nie zadaj mu ostatniego ciosu!”.

Dżatin posłyszał w korytarzu kroki i zawołał:

— Mani!

— To ja, Szombhu! Czy mój pan raczył mnie wołać?

— Powiedz twej pani, by tu przyszła!

— Kto ma przyjść, panie?

— Twoja pani!

— Jeszcze nie raczyła powrócić!

— Powrócić? Skąd?

— Z Sitampury!

— Kiedyż wyjechała?

— Przed trzema dniami!

Przez chwilę był Dżatin pogrążony w zupełnym oszołomieniu i wszystko kręciło mu się przed oczyma. Zsuwał się z poduszek podpierających plecy i strącił z kolan wełniany szal.

Gdy po dobrej chwili Maszi wróciła, Dżatin nie wspomniał wcale imienia Mani i Maszi myślała, że o wszystkim zapomniał.

Nagle zawołał: „Maszi, czym ci opowiadał sen mój wczorajszy?”.

— Jaki sen?

— Sen, w którym wydawało mi się, że Mani popycha drzwi, ale drzwi nie chcą się otworzyć szerzej jak na jeden cal? Stała w korytarzu i wejść nie mogła. Teraz wiem, że aż do końca Mani pozostać musi na zewnątrz, pod myimi drzwiami.

Maszi nie odpowiedziała ni słowa. Przekonała się, że sklepienie owego raję złud, zbudowanego z kłamstw, zapadło się mimo wszystkich jej wysiłków. Gdy nadchodzi cierpienie, najlepiej nie unikać go wcale. Bóg uderza, czyż można umknąć przed jego ciosem?

— Maszi! Miłość, jaką mi dałaś, trwać będzie przez wszystkie przyszłe wcielenia moje. Wypełniła całe moje obecne życie, przeto zabieram ją z sobą. Pewny jestem, że w przyszłym życiu odrodzisz się jako moja córka, a ja z wielką miłością będę cię strzegł od złego i hodował.

— Co mówisz, Dżatinie? Sądzisz, że znowu urodzę się dziewczyną? Pomódl się, bym została synem twoim.

— Nie, nie chcę syna. Przyjdiesz na świat w moim domu tak samo niezrównanie piękna, jaką byłaś czasu młodości. Wyobrażam sobie już, jak cię będę ubierał.

— Nie mów tyle, Dżatinie! Spróbuj zasnąć.

— Dam ci imię Lakszmi³.

— Ależ to imię staromodne, Dżatinie!

— Tak. Ale ty jesteś także staromodna, Maszi. Powróć do mnie z twą śliczną, tą samą duszą!

— Nie chcę sprawić w domu twym zawodu, przybywając jako dziewczyna, każdy życzy sobie chłopca!

— Maszi, sądzisz, że jestem słaby, i chcesz mi oszczędzić wszelkich uciążliwości?

— Mój drogi, jestem kobietą i posiadam właściwe mej płci słabości. Dlatego przez całe życie chciałam ci oszczędzić wszystkiego, co przykre, ale... nie udało mi się.

— Maszi! Nie starczyło mi w tym życiu czasu na zastosowanie wszystkich tych nauk, jakie posiadam. Ale skorzystam z tej wiedzy w życiu przyszłym. Pokażę wówczas, do czego zdolny jest mąż wielki. Nauczyłem się, że źle jest myśleć wyłącznie o sobie.

— Mów, co chcesz, mój drogi, ale nigdy niczego nie pożądałeś dla siebie, wszystko dawałeś innym.

— Jedno mogę przyznać. W szczęściu nigdy nie byłem tyranem i nie dążyłem do pozyskania przemocą tego, co mi się należało. Ponieważ nie mogłem okłamywać samego siebie, przeto musiałem czekać długo. Ale może prawda na koniec okaże mi się łaskawa... Kto tu jest, Maszi? Kto tu?

— Gdzie? Nie ma nikogo, Dżatinie!

— Maszi! Popatrz no do drugiego pokoju. Zdawało mi się...

— Nie, nie, mój drogi! Nie widzę nikogo.

— Zdawało mi się zupełnie wyraźnie...

— Nie, Dżatinie! Nie ma nikogo. Uspokój się. Właśnie nadchodzi lekarz.

Gdy lekarz wszedł, powiedział do Maszi:

— Proszę nie przesiadywać tak ciągle przy chorym. Pani go drażni. Proszę się położyć spać. Mój asystent będzie czuwał.

— Nie, Maszi, nie puszczę cię!

— Dobrze, mój drogi. Będę siedziała cichutko w rogu kanapy.

— Nie, musisz siedzieć przy mnie blisko. Nie puszczę do ostatniej chwili twjej dłoni. Ręka twa mnie wiodła przez życie i ona odda mnie Bogu.

— No, więc zgoda, pani zostanie. Ale, Dżatinie Babu, nie wolno panu rozmawiać z siostrą! Teraz pora zażyć lekarstwo!

— Zażyć lekarstwo? Nonsens! Minął już czas zażywania lekarstw. Brać teraz lekarstwa znaczy tyle, co okłamywać samego siebie. Zresztą nie boję się wcale śmierci. Maszi, śmierć sposobi mi już swój napój, po cóż ma mnie jeszcze dręczyć lekarz? Odpraw go! Ciebie mi tylko jednej jeszcze potrzeba, poza tym nikogo! Po cóż kłamać jeszcze?

— Jako lekarz zwracam uwagę, że takie rozdrażnienie szkodzi panu bardzo.

— Więc odejdz pan, doktorze, nie drażnij mnie! Czy on już poszedł, Maszi? To dobrze! Zbliż się i połóż mą głowę na swej piersi.

— Tak, tak, drogi mój! A teraz spróbuj spać!

— Nie, Maszi, nie każ mi spać! Jeśli zasnę, nie zbudzę się już. Muszę jeszcze przez czas jakiś czuwać... O... słyszysz hałas... kroki... ktoś nadchodzi!

³Lakszmi (mit. hind.) — bogini szczęścia, bogactwa i piękna, wcielenie wszelkich cnót, żona boga Wisznu. [przypis edytorski]

V

— Dżatinie! Drogi chłopcze! Otwórz oczy, otwórz bodaj na chwilę oczy! Przyszła! Popatrz no... przyszła!

— Kto przyszedł? Sen?

— Nie sen! Mani przyszła wraz z ojcem swoim!

— Ktoś ty?

— Nie poznajesz? To twoja Mani!

— Mani? Więc zdołała otworzyć drzwi?

— Tak... tak, otwarła na ścieżaj!

— Nie... nie, Maszi... nie chcę tego szala. Ten szal to kłamstwo!

— To nie szal, Dżatinie, to nasza Mani, która oparła głowę o twe kolana. Połóż dłoń na jej głowie i pobłogosław ją. Nie płacz tak, Mani! Masz na to jeszcze dość czasu. Teraz bądź cicho na małą, maleńką chwilkę...

Szkielet

W pokoju przytykającym do naszej sypialni wisiał na ścianie ludzki szkielet. W nocy wiatr wpadający przez okno dzwonił jego kośćmi. Przez cały dzień myśmy wydzwaniali na nich. Uczyliśmy się osteologii od pewnego studenta medycyny, gdyż opiekun nasz postanowił wykształcić nas we wszystkich umiejętnościach tego świata. Czy mu się to udało, nie potrzebujemy mówić tym, którzy nas znają, dla innych niechaj to lepiej zostanie tajemnicą.

Minęło dużo lat od tego czasu. Szkielet zniknął z pokoju i przepadł gdzieś bez wieści, podobnie jak osteologia z głów naszych.

Przed kilku dniami pełno mieliśmy gości w domu i musiałem spać w dawnym, starym pokoju szkolnym. Ale niezwykajne otoczenie sprawiło, że sen nie jawił się. Przewracałem się z boku na bok i liczyłem uderzenia zegara wydzwanającego jedną godzinę po drugiej. Światelko lampki nocnej malało coraz to bardziej, drżało, mglilo się, błysło raz i drugi, i zagasło całkiem.

Zdarzyły się w ostatnim czasie w rodzinie naszej smutne przypadki zgonów, nic też dziwnego, że zagaśnięcie lampki przywiodło mi na myśl śmierć. Zacząłem rozmyślać nad tym, że na wielkiej arenie natury taki sam rezultat daje zagaśnięcie lampy, jak kiedy światelko życia ludzkiego pograży się w noc wiekiustą.

Myśli te przywiodły mi na pamięć zapomniany od dawna szkielet. Zacząłem się zastanawiać, jak mogło wyglądać ciało, które go ongiś osłaniało, gdy nagle wydało mi się, że coś chodzi wokoło mego łóżka i maca po ścianach, jakby czegoś szukając. Słyszałem najwyraźniej szybki oddech owej stwory. Szukała ciągle, nie mogąc znaleźć, i chodziła coraz prędzej po pokoju.

Uświadamiałem sobie, że wszystko pochodzi jeno z wyobraźni podnieconego bezsennością mózgu i że to, co biorę za kroki, jest po prostu tętnieniem krwi w moich własnych skroniach. Ale mimo to ucułem zimny dreszcz. W celu zniweczenia tej halucynacji zawołałem głośno:

— Kto tam?

Kroki ucichły, dziwna istota zatrzymała się tuż obok mnie i posłyszałem odpowiedź:

— To ja! Przyszłam poszukać swego szkieletu.

Byłoby rzeczą sromotną okazywać strach wobec wytworu własnej wyobraźni, przeto powiedziałem z udanym spokojem, chwytając jednak kurczowo koldrę:

— Ładne zajęcie na noc, ani słowa! Ale cóż, szlachetna istoto, chcesz zrobić z tym szkieletem?

Odpowiedź, jaką otrzymałem, zdawała się wychodzić wprost z gęstej siatki przeciw moskitom, tuż obok mnie rozpiętej:

— Dziwne pytanie! Szkielet ten był częścią mego ciała, żebra jego okrywały moje serce. Rozpięte na nim były wdzięki mej dziewczęcej, dwudziestosześcioletniej postaci. Czyż nie słuszne tedy, że pragnę go zobaczyć raz jeszcze?

Nauka

Duch, Wyobraźnia

— Oczywiście! — odparłem. — Życzenie to jest całkiem uzasadnione. Proszę tedy szukać dalej, a ja się trochę prześpię.

Głos odparł na to:

— Jest pan samotny, tedy usiądę trochę przy panu i pogawędzimy sobie. Przed laty siadywałam tak obok ludzi i zabawiałam ich rozmową. Ale przez ostatnich lat trzydzieści pięć hulam i jęczę wśród drzew na miejscach palenia zwłok. Toteż zbiera mnie chęćta pogwarzyć, jak dawniej, z człowiekiem.

Uczułem, że ktoś siada tuż przy firance dotykającej mego łóżka. Podałem się losowi i powiedziałem tak serdecznie, jak tylko mogłem:

— Doskonale! Pogadajmy sobie o czymś wesołym!

— Najweselsza rzecz, jaką znam, to historia mego życia. Opowiem ją panu.

W tej chwili zegar wybił godzinę drugą.

— W czasie, kiedy bawiłam jeszcze pośród żywych, bałam się na równi ze śmiercią jednego człowieka, mianowicie męża własnego. Co czułam, da się jeno porównać z uczuciem ryby złapanej na wędkę. Obcy człowiek nabił mnie na najostrzejszy ze wszystkich haczyków świata, wyciągnął z domu rodzinnego, gdzie się czuła szczęśliwa, a ja nie miałam sposobu uchronić się przed tym losem. Mąż mój zmarł w dwa miesiące po ślubie, a krewni i przyjaciele wyrażali mi w słowach pełnych patosu swe współczucie. Ojciec mego męża patrzył mi długo i badawczo w twarz, a potem powiedział do teściowej: „Ona ma bardzo złe spojrzenie!”. Czy pan słucha? Spodziewam się, że pana zajmuje ta historia?

— Bardzo, bardzo! — odparłem. — Początek jest nawet niezwykle wesoły!

— Więc ciągnę dalej. Cieszyłam się bardzo, powróciwszy do rodzinnego domu, odzyskaną wolnością. Ludzie kryli to przede mną, ale wiedziałam dobrze, że jestem olśniewająco piękna. Jakże się panu podobałam... co?

— Oczywiście, wierzę na słowo! — zapewniłem. — Tylko raczy pani uwzględnić, że nie widziałem jej⁴ dotąd na oczy.

— Co? Nie widział mnie pan? A mój szkielet? Ha, ha, ha... No dobrze, żartowałam tylko. Jakże zdołam pana przekonać, że te dwie wielkie dziury w czaszce mieściły ongiś cudne, głębokie, połyskliwe, czarujące oczy? Jakie dam wyobrażenie o powabach śmiechu mego na podstawie owych wyszczerzonych zębów, któreś pan oglądał? Nie, nie potrafię opisać wdzięku i powabu mego młodzieńczego ciała, szlachetnych jego linii i miękkiej falistości, we wszystkim tym tkwiły suche, obrzydłe kościska. Zła jestem doprawdy, myśląc o tym. Najwybitniejszym lekarzom mych czasów nie śniło się nawet, by kościec mój miał służyć kiedyś do nauki osteologii. Zaręczam panu, że pewien mój znajomy, lekarz z zawodu, porównywał mnie do złotego kwiatu czampaku. Mówił, że cała reszta świata to wazon służący za ujęcie i tło mych kształtów. Czyż ktoś myśli o kwiecie czampakowym, patrząc na kościotrupa?

Gdy m sła, padał ode mnie blask, jaki sieje najcudniejszy brylant, czułam to doskonale, każde me poruszenie słało wokół fale piękna. Mogłam całymi godzinami oglądać swoje ręce, zdolne okiełznać najdzikszego i najoporniejszego mężczyznę.

Niestety, ohydny szkielet dawał o mnie jak najgorsze świadectwo, a ja nie byłam w stanie odeprzeć oszczerstwa. Dlatego też pośród wszystkich ludzi najbardziej nienawidzę pana. Chciałabym panu ukazać się we śnie i tak olśnić mą niezrównaną minioną pięknnością, że nigdy byś już nie mógł zawrzeć powiek, a jednocześnie zapomnieć byś pan musiał o wszystkich głupstwach osteologicznych, jakieś sobie przyswoił, patrząc na ohydne kości moje.

— Przysięgam pani na cudne twoje ciało, którego nie widziałem zresztą nigdy — powiedziałem uroczyście — że w pamięci mej nie pozostało ni szczątka tej wiedzy, a cały mój umysł wypełnia teraz jeno olśniewająca zjawia twój piękności rozbłyskująca na czarnym tle nocy!

— Nie miałam towarzyski ni przyjaciółki — ciągnął dalej głos tajemniczy. — Jedyne mój brat postanowił nie żenić się nigdy, przeto w komnatach kobiecych mieszkałam sama jedna. Siadywałam sama w ogrodzie, w cieniu drzew, i marzyłam o tym, że cały świat jest we mnie rozkochany, że gwiazdy bezsenne piją spojrzeniem moją pięknność, że wiatr

⁴Tylko raczy pani uwzględnić, że nie widziałem jej dotąd na oczy — dziś popr.: Tylko proszę uwzględnić, że nie widziałem pani dotąd na oczy. [przypis edytorski]

zawodzi tęskne poszumy, ile razy pod jakimś pozorem muśnie moją suknię, i że trawa pod dotknięciem stóp moich — gdyby posiadała świadomość — utraciłaby natychmiast zmysły z rozkoszy. Marzyłam, że wszyscy młodzieńcy całego świata leżą u mych nóg jak żdźbła trawy, a przy tym smutek niezmierny napelniał moje serce.

Przyjaciół mego brata, Szekhar, ukończył studia medyczne i został naszym lekarzem domowym. Widywałam go już przedtem parę razy, patrząc spoza fałdów portiery. Brat mój był dziwakiem i unikał świata, nie chciał nań patrzeć, gdyż wydawał mu się za jaskrawy i zbyt ruchliwy. Toteż coraz to bardziej odsuwał się ode mnie i zaszywał w swoim kącie. Szekhar był jedynym jego przyjacielem i zarazem jedynym mężczyzną, na którego mi wolno było spoglądać. Toteż gdy marzyłam o młodzieńcach całego świata leżących u mych stóp, to każdy z nich był Szekharem...

Czy pan słyszy...? O czymże to pan дума?

— Chciałbym być Szekharem! — powiedziałem z westchnieniem.

— Zaczekaj no pan troszkę! Trzeba wpierw wysłuchać do końca mej historii. Pewnego dnia w zimowej porze deszczów dostałam silnej gorączki, więc przybył lekarz, aby mnie zbadać. Było to pierwsze nasze spotkanie. Leżałam naprzeciwko okna, tak że różowa poświata zachodu musiała padać na blade oblicze. Gdy lekarz wszedł, wyobraziłam sobie, że jestem na jego miejscu, i zaczęłam się sobie przyglądać. Ujrzałam najwyraźniej własną zaróżowioną twarz podobną do omdlałego kwiatu rzuconego na biel miękkich poduszek. Kędziory miedzianych włosów oblewały falą me czoło, a spuszczone powieki rzucały uroczy cień smutku na całe oblicze.

Doktor spytał brata po cichu i z wahaniem:

„Czy mógłbym zbadać puls?”

Wyjęłam spod kołdry cudną rękę i podałam mu gestem znużenia. „Ach! — pomyślałam. — Gdybym też mogła przybrać ją w bransoletę z szafirami!”. Nie widziałam dotąd nigdy równie niezręcznego lekarza. Po prostu drżał, badając mój puls. Dygotały mu palce w sposób skandaliczny. On liczył uderzenia mego pulsu, a ja badałam jego serce... Czy pan mi wierzy?

— Najzupełniej! — powiedziałem. — Serce ludzkie zdradza się łatwo.

— Zachorowawszy kilka razy i ozdrowiawszy na nowo, przekonałam się, że liczba młodzieńców leżących u mych stóp w ogrodzie zredukowała się do jednego i wreszcie cały mój świat ograniczył się do jednego lekarza i jednej pacjentki.

Kiedy zbliżał się wieczór, zwykła pora mych marzeń w ogrodzie, stroiłam się precyzyjnie w złocisty sarong, przewijałam węzeł włosów wiankiem białego jaśminu i udawałam się na zwykle swoje miejsce, zabierając z sobą niewielkie lusterko.

Sądzi pan, że rychło znudzi się kobiecie podziwianie własnej urody? O, nie. Zresztą nie spoglądałam na siebie własnymi oczyma. Byłam wówczas istotą podwójną. Patrzyłam na siebie tak, jakbym była doktorem, wpatrywałam się w lustro, poddałam się temu urokowi i zakochałam się do szaleństwa. Ale mimo pieszczot, jakich sobie nie szczędziłam, błąkało się w mym sercu westchnienie, podobne obłądnemu wiatrowi tułającemu się po nocy.

Od tej pory przynajmniej nie byłam nigdy samotna. Idąc, spoglądałam na ruchy palców mych stóp dotykających ziemi i zadawałam sobie pytanie, co by uczynił doktor, gdyby je widział. Kiedy w południe powietrze wibrowało od żaru słońca i wokół zaległa cisza przerywana jeno dochodzącym z dala pokrzykiem błotnej czapli albo skrzekliwym mamrotem przekupnia, idącego ulicą wzdłuż muru ogrodowego, powtarzającego z uporem: „Kupujcie pierścienie kryształowe!”, wówczas rozpościerałam na trawie pod drzewami śnieżnobiałe płótno i kładłam się, opierając na ramieniu głowę. Z wyszukaną niedbałością spoczywało drugie ramię na płótnie, a ja wyobrażałam sobie, że mnie zobaczył, że pochwycił mą rękę w obie dłonie, że złożył na niej pełen szacunku i zachwyty pocałunek, a potem... odszedł powolnym krokiem... Cóż by pan powiedział, gdybym na tym zakończyła mą opowieść? Jak by się to panu podobało?

— Byłoby to wcale stosowne zakończenie! — odrzekłam z naciskiem. — Wprawdzie pozostawiałoby pewną lukę, ale mógłbym spędzić resztę nocy nad jej wypełnieniem.

— W ten sposób całość wypadłaby zbyt poważnie. Gdzieżby się znalazło miejsce na wesoleść i na skielet z wyszczerzonymi zębami? Toteż muszę skończyć sama. Skoro lekarz pozyskał jaką taką praktykę, wynajął na parterze naszego domu pokój ordynacyjny

i urządził go jak należy. Wypytywałam go nieraz żartem o różne leki i trucizny i musiał mi mówić, ile której z nich wziąć należy, by zabić człowieka. Ten temat interesował go, stał się tedy wymownym. Rozmowy takie oswoiły mnie powoli z myślą o śmierci i w ten sposób miłość i śmierć wypełniły doszczętnie mój mały światek. Zaraz będzie koniec... nie ma już dużo do opowiadania.

— I z nocy pozostało niewiele! — burknąłem pod nosem.

— Po jakimś czasie zauważyłam, że doktor siał się wielce roztargniony, i wydawało mi się, że chce coś ukryć, czegoś się wstydzi. Pewnego dnia przyszedł wcześniej jak zwykle. Był ubrany bardzo elegancko i pożyczył od mego brata powóz na cały wieczór.

Nie mogłam powściągnąć dłużej ciekawości i udałam się do brata, by zeń wyciągnąć jakąś wiadomość o zamiarach lekarza. Porozmawiawszy o rzeczach postronnych, spytałam w końcu: „Mój Dada, gdzie udaje się dzisiaj doktor twoim powozem?”.

„Na śmierć!” — odrzekł brat krótko i węzłowato.

„Nie żartuj! — prosiłam. — Powiedz mi, gdzie jedzie?”.

„Żenić się!” — brzmiała wyraźniejsza odpowiedź.

„Tak? Naprawdę?” — zawołałam i wybuchnęłam długim, rozgłośnym śmiechem.

Dowiedziałam się powoli, że przyszła doktorowa jest bardzo bogatą dziedziczką i wniesie mężowi ogromny posąg. Dlaczegoż jednak dręczył mnie ukrywaniem? Czyżem go kiedy błagała, by się z nią nie żenił, czyż go zapewniałam, że złamie mi życie? Nie należy nigdy ufać mężczyznom! Zawierzyłam w życiu jednemu jednemu mężczyźnie i oto takiego doznałam rozczarowania.

Załatwiwszy się z pacjentami, doktor wrócił do nas i zaczął się wybierać w drogę. Wówczas powiedziałam ze śmiechem: „Doktorze, pan się żeni!”.

Wesołość moja nie tylko wytrąciła go z równowagi, ale nawet dotknęła.

„Dlaczegoż to — pytam — nie zarządzi pan iluminacji i nie sprowadzi muzyki?”.

Odparł z westchnieniem: „Czyż małżeństwo daje powód do radości?”.

Wybuchłam znowu śmiechem. „Nie, nie — zawołałam — tak być nie może. Któż widział wesele bez iluminacji i muzyki?”.

Dręczyłam póty mego brata, aż się zgodził niezwłocznie zamówić wszystko, czego potrzeba do wesołej uroczystości ślubnej.

Przez cały czas paplałam bez ustanku wesoło o narzeczonej, bliskiej uroczystości i o tym, co uczynią, gdy panna młoda zjawi się w naszym domu. „Doktorze — spytałam — czy pan i potem będzie badał puls kobietom?”. Ha, ha, ha. Nie mogę wprowadzić widzieć, co się dzieje we wnętrzu człowieka, a zwłaszcza mężczyzny, ale pewna jestem, że słowa moje były dlań czymś jak pchnięcia sztyletu wymierzone w samo serce.

Obchód weselny miał się odbyć późnym wieczorem. Doktor przed odjazdem miał wypić, jak to czynił codziennie, z bratem szklankę wina na werandzie. Właśnie wzeszedł księżyc.

Przystąpiłam doń i zapytałam ze śmiechem:

„Czyż zapomniał, doktorze, o ślubie? Czas już jechać!”.

Muszę wspomnieć o pewnej drobnej rzeczy. Oto na małą chwilę przedtem pobiegłam do apteki i kupiłam mały proszek, który niepostrzeżenie wyspałam do szklanki z winem przeznaczonej dla doktora.

Wychylił wino duszkiem i powiedział głosem drżącym od rozdrażnienia, spojrzawszy tak, że mi się ścisnęło serce: „Muszę tedy jechać!”.

Muzyka zaczęła grać. Poszłam do mego pokoju, ubrałam się w szaty weselne ze złota i jedwabiu, przystroiłam się wszystkimi klejnotami wyjętymi ze starej szkatułki, namalowałam purpurowy znak mej godności mężatki na głowie, a potem przysposobiłam sobie leże pod drzewami w ogrodzie.

Noc była przecudna. Łagodny wietrzyk południowy rozpraszał znużenie, zapach jaśminów i kwiatów niedanu napelniał cały ogród balsamicznym tchnieniem i dziwną radością.

Tony muzyki stawały się coraz to cichsze, poświata księżycy przygasła powoli, świat cały, wraz ze zwykłymi wyobrażeniami o domu i krewnych, niby sen zacierał się coraz to bardziej w mej świadomości — zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się.

Myślałam, że kiedy ludzie przyjdą i znajdą mnie, zastaną jeszcze ów uśmiech na moich wargach, niby ślad po czerwonym winie... że zabiorę z sobą ten uśmiech tak, iż będzie

Samobójstwo, Śmierć,
Miłość silniejsza niż śmierć,
Miłość tragiczna

krasił me lico przez cały wiekiusty, nieprzespany sen w ślubnej łożnicy... Ale... ach! Cóż się stało z mym licem, co zostało z jedwabnych i złotych szat, z klejnotów... Gdym się zbudziła od suchego trzasku przerzucanych kości, spostrzegłam trzech małych chłopców studiujących osteologię na moim szkielecie. Gdy tak niedawno jeszcze w piersi mej tętniła radość i ból i młodość rozwijała w niej pęki nadziei — to teraz w tej samej piersi tkwi patyk nauczyciela pokazujący uczniom każdą kostkę.

Tyle zostało! Czyś pan, ucząc się, zauważył ów uśmiech czarownicy, tak dobrze, tak misternie wystudiowany ongiś przeze mnie? No, jakże się panu podobała moja historia?

— Prześliczna! — zawołałem.

W tej chwili zaczął piać kogut.

— Czy pani jest jeszcze? — spytałem.

Nikt się nie odezwał. Tylko przez okno zajął do wnętrza szary świt.

Stróż dziedzictwa

I

Brindaban Kundu wpadł rozwścieczony do izby swego ojca i zawołał w pasji:

— Wynoszę się precz! I to już!

— Marne, niewdzięczne stworzenie! — odkrzyknął pogardliwie ojciec jego, Dżagannath Kundu. — Wynos się, idź sobie precz! Cóż to, tak się odgrażasz, jakbyś zwrócił wszystko co do grosza, to, co kosztowało twe jedzenie i suknie?

Jedzenie i suknie, jakie otrzymywali członkowie rodziny Dżagannatha, nie mogły kosztować dużo. Nasi mędrzy dawnych czasów umieli poprzestawać na bardzo małym, a sposób życia Dżagannatha świadczył, że żywił w duszy te same, co oni, ideały. Nie mógł, co prawda, dorównać ascetycznym filozofom niemającym wcale potrzeb, ale winę tego ponosiła zależność od zwyrodniałego społeczeństwa, w którym żył, i także pewne nierozumne wymagania natury, chcącej koniecznie utrzymać ścisły związek duszy z ciałem.

Dopóki Brindaban był bezzennym młodzieńcem, wszystko szło jako tako, ale od czasu żeniaczki zaczął szybko sprzeniewierzać się ideałom ojca swego. Nie mogło ulegać wątpliwości, że pojęcia syna o dobrobycie coraz bardziej zbaczaly ze ścieżyn ducha, a staczały się na bezdroża materializmu, w czym szedł on zresztą śladami dzisiejszego zepsutego świata. Nie chciał już znosić cierpliwie utrapień wywoływanych przez upał, zimno, głód i pragnienie, a minimum jego potrzeb w pożywieniu i ubraniu wzrastało z dniem każdym.

Ojciec z synem popadali coraz częściej w sprzeczki. Pewnego razu zachorowała ciężko żona Brindabana, tak że wezwano miejscowego lekarza. Gdy jednak tenże zapisał jakieś bardzo drogie lekarstwo, Dżagannath uznał to za oczywisty dowód jego zupełnego niedołęstwa i braku wiedzy i wyrzucił go za drzwi. Zrazu Brindaban prosił ojca usilnie, by nie przerywał leczenia, potem zaczął grozić, ale wszystko nie zdało się na nic. Gdy żona wreszcie zmarła, zbesztal ojca i nazwał go mordercą.

— Gadasz głupstwa! — odrzekł ojciec filozoficznie. — Czyż ludzie nie umierają, mimo iż pożerają masę najdroższych lekarstw? Gdyby one mogły ocalić życie, to królowie i cesarze byliby nieśmiertelni! Zachciało ci się tylko, by żona twoja umarła z większą wystawnością i ceregielami jak twa matka, babka i prababka!

Gdyby Brindabana nie gnębił żal i smutek, tak że nie był w stanie myśleć, słowa te sprawiłyby mu niezawodnie pewną ulgę. Ani matka, ani babka nie zażywały lekarstw przed porzuceniem tego marnego świata, bo leżało to już w tradycjach rodu. Ale młodsza generacja nie chciała umierać za tę tradycję! W czasie kiedy działo się to, o czym opowiadamy, Anglicy dopiero co pojawili się u nas. Ludzie starzy, przerażeni obyczajami i poglądami młodego pokolenia, siedzieli po kątach i próbowali pocieszać się nieco, smoktając cybuchy fajek.

Koniec końców nowoczesny Brindaban rzekł swemu przestarzałemu ojcu: „Wynoszę się precz!”.

Ojciec bez najmniejszego wahania zgodził się, a ponadto wyraźnie i uroczyście zapewnił, że gdyby miał synowi swemu pozostawić w spadku jeden choćby złamany szeląg,

Asceta, Chciwość

to godzi się, by mu ten czyn bogowie policzyli jako zbrodnię przelewania świętej krwi krów. Brindaban, odpowiadając również uroczystą przemową, oświadczył, że gdyby kiedykolwiek cokolwiek przyjął od ojca, godzien się stanie kary zgotowanej matkobójcom!

Ta mała rewolucja wewnętrzna była dla wieśniaków, znudzonych wieczną jednostajnością życia, nader miłą rozrywką, gdy więc Dżagannath wydziedziczył swego syna, każdy z sąsiadów starał się go na swój sposób pocieszyć. „Tylko w tak zwyrodniałych czasach — mówili — mogło się zdarzyć, by z powodu żony mógł się poróżnić syn z ojcem!”. Wszyscy byli tego samego zdania i udowodnili ten pogląd przykładem. Jeśli komuś umrze żona, może sobie znaleźć drugą, ale gdy straci ojca, ani złotem, ani dobrym słowem nie może kupić sobie drugiego! Logice tej nic zarzucić nie było można, ale prawdopodobnie ta zupełna niemożliwość pozyskania drugiego ojca bardzo niewiele przyczyniała troski zwyrodniałemu synowi. Przeciwnie! Miał ją sobie za przywilej.

Również i stary Dżagannath nie cierpiał skutkiem rozłąki. Przede wszystkim zmniejszyły się od razu wydatki na utrzymanie domu, a po wtóre opuściła ojca obawa prześladowająca go dotąd stale, że syn jego i spadkobierca może go pewnego dnia otruć. Ile razy spożywał swą mizerną strawę, ciągle myślał o truciznie. Po śmierci synowej obawa ta zmniejszyła się znacznie, a po rozłące z synem znikła zupełnie.

Ale w sercu starca istniał pewien słabszy punkt. Brindaban zabrał z sobą czteroletniego syna swego, Gokula Czandrę. Ponieważ koszt utrzymania dziecka były małe, przeto wydatek ten nie obniżał miłości dziadka do wnuka. Co prawda, chociaż szczerze bolał nad tym, że syn zabrał dziecko, pocieszał się obliczaniem, ile zarabia miesięcznie przez nieobecność ich obu, ile to wynosi w ciągu roku i jaki musiałby być kapitał, który by równą sumę dawał z tytułu procentów.

Ale staremu coraz trudniej było wytrzymać w opustoszałym domu, gdzie Gokul Czandra nie płatał już teraz figlów. Nie było komu robić mu na złość, przeszkadzać w modlitwach, porywać i zjadać przygotowanych potraw, zabierać kałamarza i uciekać z nim, kiedy sumował długie kolumny cyfr i obliczał procenty. Niezmienny tryb codziennego życia, do którego nawykł od dawna, stał mu się ciężarem nieznośnym, od kiedy go nic nie psuło i nie mąciło. Doszedł do przekonania, że taki niebiański spokój znieść można chyba jeno po śmierci, w życiu przyszłym. Wzdychał ciężko i boleśnie spoglądając na dziury w kółdrze wydarte rączkami malca i dziwaczne rysunki atramentem na matach z szuwaru, będące dziełem tegoż samego artysty. Pewnego razu ostro zburczał chłopca za to, że podarł płócienne majtki w nader krótkim przeciągu dwu lat, a teraz łzy mu do oczu napływały, kiedy spozierał na te strzępy wiszące w sypialni na ścianie. Zdjął je, złożył starannie, schował uroczyście do skrzyni i uroczyście ślubował, że gdyby Gokul wrócił, to nie będzie nań burczał, choćby nawet co roku darł majtki.

Ale Gokul nie wracał, a biedny Dżagannath starzał się bardzo szybko.

Nie mógł już wytrzymać w domu jak dawniej i ciągle chodził. Nawet w porze południowej, kiedy każdy porządny człowiek we wsi spoczywał, jak przystoi, Dżagannath włóczył się po ulicach i zaułkach z fajką w ręku. Gdy go dostrzegły bawiące się dzieci, skupiały się, odsuwały na odległość zapewniającą bezkarność, a potem intonowały pieśń, jemu poświęconą przez miejscowego poetę, w której wymownymi słowy autor wielbił oszczędnościowe nawyczki bohatera. Nikt nie ważył się jednak wymienić jego rzeczywistego nazwiska, a to z obawy, by nie być zmuszonym do całodniowego postu. Nazywano go tedy podobnie — Dżaganasz — to znaczy mniej więcej: „niszczyciel świata”, gdyż Dżagannath znaczy tyle, co „pan świata”. Młode pokolenie nazywało go po prostu wampirem, a był po trochu podobny do tego stworzenia przez swą chudość i pomarszczoną skórę na twarzy.

II

Pewnego dnia Dżagannath szedł jak zazwyczaj ulicą wioski ocienioną mangami. Nagle spostrzegł chłopca nieznanego sobie, widocznie obcego przybysza. Chłopak przewodził zgrai wyrostków i właśnie objaśniał im plan jakiegoś nowego szelmostwa. Porwani jego energią i olśnieni nowością pomysłów uznali go inni chłopcy za swego wodza i poddali się jego władzy bez szemrania. W przeciwieństwie do innych chłopiec nie uciekł na widok starca, ale podszedł doń blisko i wytrzymał ze swego czandaru, czyli płachty okrywającej

Kłótnia, Ojciec

Tęsknota

plecy niby płaszcz, żywą jaszczurkę. Zwierzątko skoczyło na Dżagannatha, zbiegło po jego plecach i uciekło w zarośla. Starzec przeraził się i dobrą chwilę drżał na całym ciele ku ogólnej radości urwipolców stawiających kozły z uciechy. Dżagannath poszedł dalej, klnąc i łając. Ale nie uszedł daleko, gdy nagle znikła z jego pleców gamcza, czyli szal, a za moment ujrzał ją na głowie obcego chłopaka przemienioną w piękny turban.

Zbytki malca uczyniły na starcu wielkie wrażenie, odczuł coś w rodzaju przyjemności. Nie zdarzyło się dawno, by jakieś dziecko ośmieliło się doń zbliżyć. Przystanął, zaczął mówić, czynić uwodzicielskie obietnice i na koniec skłonił chłopca, by podszedł doń blisko, po czym zawiązała się między nimi rozmowa:

— Jak się zwiesz, chłopcze?

— Nitaj Pal!

— Skąd jesteś?

— Nie powiem!

— Kto jest twym ojcem?

— Nie powiem!

— A dlaczego?

— Bo uciekłem z domu!

— Czemuż uciekłeś?

— Bo mnie ojciec chciał posłać do szkoły!

Od razu stało się starcowi oczywiste, że jest daremnym marnowaniem grosza posyłać chłopców do szkoły, przeto ojciec Pala musiał być człowiekiem nader niepraktycznym, skoro tego nie zauważył.

— Słuchaj no, chłopcze! — rzekł. — Czy chcesz iść ze mną i zostać w moim domu?

— Ano dobrze! — oświadczył malec i zaraz rozgospodarował się u Dżagannatha z taką obojętnością i pewnością siebie, jakby jego dom był cieniem pod przydrożnym drzewem. Mało tego. Zaczął od razu stawiać żądania dotyczące spraw pożywienia i odzieży, a czynił to z takim spokojem, jak gdyby cały rachunek z góry uregulował. Jeśli mu się coś wydało niedostateczne albo nieodpowiednie, bez ceregieli kłócił się ze starcem zęb za zęb. Z łatwością byłby Dżagannath utrzymał w ryzach własne dziecko, ale ponieważ było to dziecko cudze, przeto musiał się poddać i uczynił to bez oporu.

III

Wszyscy mieszkańcy wioski zdumiewali się niepomału, że chłopak zdołał tak szybko opętać starego skąpca. Pewni byli, iż Dżagannath niedługo umrze i wielkim bólem przejmowało ich to, że niezawodnie całe swe mienie pozostawi temu przybłądzie. Uniesieni zawiścią, z ochotą uczyniliby chłopcu coś złego, ale starzec pilnował go jak oka w głowie.

Czasem groził Nitaj sam, że sobie pójdzie precz, a wówczas starzec wabił go obietnicą zapisania mu wszystkiego, co posiada. Chociaż chłopak był malcem, mimo to jednak pojmował dobrze, że obietnica ta to rzecz niemała.

Mieszkańcy wioski zaczęli tedy czynić poszukiwania za ojcem chłopaka. Topniały im serca z litości na myśl o tych biednych stroskanych rodzicach i oświadczyli zgodnie, że Nitaj to urwis bez czci i wiary, skoro może im taki ból zadawać. Gromadzili nad głową jego wszelakie klątwy, ale zaciętrzewienie, z jakim to czynili, świadczyło raczej o ich zawiści, jak poczuciu sprawiedliwości.

Pewnego dnia dowiedział się starzec, że niejaki Damodar Pal poszukuje swego syna i właśnie przybył w tę okolicę. Gdy to posłyszał Nitaj, zaniepokoił się bardzo, zrezygnował co prędzej z przyszłych bogactw i chciał uciekać. Ale Dżagannath uspokoił go, mówiąc:

— Skryję cię tak dobrze, że nikt cię nie znajdzie, nawet sami mieszkańcy tej wioski!

To podnieciło ciekawość chłopca i zawołał:

— Gdzież to? Pokaż mi zaraz to miejsce!

— Nie mogę cię tam zaprowadzić teraz — odrzekł starzec — bo spostrzegliby sąsiedzi. Musisz zaczekać do nocy!

Myśl o tajemnej kryjówce zachwycała chłopca. Postanowił zaraz po odejściu ojca użyć jej do zabawy w chowanego i założyć się z innymi, że go nie znajdą. Nie znajdą na pewno i wygra zakład. To myśl doskonała! A co za pyszny figiel! Pomyśleć tylko, że ojciec przeszuka całą wieś i odejdzie z kwitkiem!

W południe zamknął Dżagannath chłopca w swym domu i znikł na pewien czas. Gdy wrócił, zasypał go Nitaj pytaniami.

Gdy się ściemniało, rzekł chłopak: — Dziadku, idźmy teraz!

— Musimy zaczekać nocy! — odrzekł Dżagannath.

Po chwili krzyknął Nitaj: — Dziadku, już noc! Chodźmy!

— Ludzie we wsi nie pokładli się jeszcze spać!

Nitaj czekał, a potem powiedział:

— Już śpią! Dziadku, śpią wszyscy! Chodźmy!

Noc stawała się coraz głębsza, sen kleił powieki Nitaja i musiał czynić wielkie wysiłki, by nie zasnąć. O północy wziął starzec chłopca za rękę i wyszedł z domu. Szli omackiem ciemnymi ulicami. Nie było żywego ducha, a ciszę przerywało jeno czasem naszczekiwanie psa, któremu odpowiadały chórem inne. Czasem też przeleciał ptak nocny zdziwiony krokami ludzkimi o tej niezwyklej porze. Nitaj drżał ze strachu i ścisnął kurczowo dłoń starca.

Minęli niejedno pole uprawne i doszli w końcu do bagniska porośniętego kępami sitowia, nad brzegiem którego stała stara, opuszczona, na poły zniszczona świątynia. — Ach, to tu? — powiedział Nitaj tonem rozczarowania. Wyobrażał sobie tę kryjówkę całkiem inaczej. Nie było to wcale tajemnicze ani dziwne. Ileż nocy od czasu ucieczki z domu spędził w takich opuszczonych świątyniach? Było to, co prawda, wcale niezłe miejsce do zabawy w chowanek, ale inni chłopcy mogli go tutaj dosyć łatwo znaleźć.

Dżagannath wszedł do świątyni i podniósł jedną z fliz kamiennych podłogi. Zdumiony chłopiec spostrzegł podziemną komnatę, pośrodku której świeciła się lampa. Strach i ciekawość toczyły walkę w jego małym serduszkach. Dżagannath zstąpił w dół po drabinie, a Nitaj poszedł za nim.

Gdy się znaleźli na dole, chłopiec, rozejrzawszy się wkoło, zobaczył pod ścianami mnóstwo dzbanów z brązu, na środku zaś leżał dywan do odprawiania modlitw i stały ryneczki z cynobrem, pastą sandalową, kwiaty i inne rzeczy potrzebne do odprawiania pudży. Nitaj, chcąc zaspokoić swą ciekawość, sięgnął do jednego dzbanu i wyjął garść rupii i innych złotych monet.

Dżagannath zwrócił się doń i rzekł:

— Powiedziałem ci, Nitaju, że dam ci wszystko, co posiadam. W tych dzbanach mieści się cały mój majątek i oddaję ci go dzisiaj.

Chłopak podskoczył z radości w górę.

— Wszystko moje? I nie odbierzesz mi ani jednej rupii, dziadku?

— Jeślibym to uczynił — rzekł starzec uroczyście — natenczas niechaj trąd okryje ręce moje! Ale stawiam jeden warunek. Oto gdyby kiedyś zjawił się tutaj wnuk mój, Gokul Czandra, albo syn jego, albo wnuk czy prawnuk, wreszcie jakikolwiek jego potomek, to musisz mu oddać wszystko aż do ostatniego pieniążka, rozumiesz?

Chłopak myślał, że starzec zwariował, przeto odparł:

— Dobrze!

— Usiądź na tym dywanie! — rzekł Dżagannath.

— Po co?

— Muszę ci udzielić pudży!

— W jakim celu? — spytał chłopak z przestachem.

— Taki jest przepis.

Nitaj przysiadł na dywanie, a Dżagannath namaścił mu czoło pastą sandalową, zrobił mu czerwone kółko pomiędzy brwiami, otoczył wieńcem kwiatów jego szyję i zaczął mamrotać formułki czarodziejskie.

Biedny Nitaj bał się bardzo. Siedział przybrany jak bożek i słuchał formułek i zaklęć.

— Dziadku! — szeptał raz po raz.

Ale Dżagannath nie przestawał się modlić i nie odpowiadał wcale.

Gdy skończył, z wysiłkiem poprzyciągał dzbany do chłopca jeden po drugim i kazał mu złożyć takie ślubowanie:

— Przysięgam uroczyście, że cały ten skarb oddam Gokulowi Czandra Kundu, synowi Brinbadana Kundu, albo synowi, wnukowi czy prawnukowi rzeczonoego Gokula Czandra Kundu, albo wreszcie jakiemukolwiek innemu jego potomkowi prawowitemu!

Nad każdym dzbanem z osobna musiał Nitaj powtórzyć tę przysięgę, tak że w koń-

Obyczaje, Obrzędy,
Okrucieństwo, Ofiara

cu popadł w zupełne oszołomienie, a język nie chciał się poruszać w jego ustach. Gdy ceremonia się skończyła, powietrze w piwnicy stało się duszne, gęste od kopciuchy lampy i oddechów ich obu. Podniebienie chłopca wyszło zupełnie i wszystkie członki paliły go dotkliwie. Dusił się po prostu.

Lampa paliła się coraz to słabiej, mldłała, drżała i zgasła na koniec. Zapadła zupełna ciemność, a chłopak usłyszał, jak starzec wstępuje po szczeblach drabiny.

— Dziadku! Dokąd idziesz? — krzyknął przerażony.

— Odchodzę, a ty zostaniesz tutaj! Nie znajdzie cię nikt! Nie zapomnij imienia Gokula Czandra, syna Brindabana, wnuka Dżagannatha.

Wyciągnął na wierzch drabinę. Chłopak prosił głosem zdławionym strachem:

— Chciałbym wrócić do ojca!

Dżagannath położył na swoim miejscu kamienną płytę, a potem ukląkł i przyłożył do niej ucho. Usłyszał raz jeszcze wołanie Nitaja: — Ojcie! — potem rozległ się łoskot przygłuszony, jak by ciężki przedmiot upadł na podłogę, i zaległa cisza głęboka.

Dżagannath oddał pieczę nad skarbem swoim Yakowi, teraz zaczął kamienną płytę przysypywać ziemią. Skończywszy tę robotę, nasypał na całą podłogę cegieł i gruzu, a na wierzchu zasadził przygotowane trawy, małe roślinki i krzewy leśne. Noc minęła niemal, a on ciągle pracował, nie mogąc się oderwać od tego miejsca. Co chwila przykładł ucho do ziemi i nasłuchiwał.

Zdawało mu się, że z głębi ziemi, z dalekiej, przepastnej głębi, z samego jej środka dolatywały skargi bolesne. Zdawało mu się, że przesycona jest nimi ciemność i świat i że wszyscy ludzie świata, śpiący teraz, zerwą się ze snu. O... już wstają, siadają w łóżkach i nad słuchują.

Jak szalony sypał coraz to więcej ziemi na kamień. Chciał zdławić te jęki, ale raz po raz słyhać było słowa: — Ojcie! Ojcie!

Bił nogami w ziemię co sił i krzyczał: — Cicho bądź! Cicho... bo wszyscy cię usłyszą! — Ale ciągle wydawało mu się, że słyszy wołanie: — Ojcie!

Słońce ukazało się na niebie. Dżagannath opuścił świątynię i znalazł się w szczyrim polu. Ale i tu zawołał ktoś tuż za nim: — Ojcie! — Obrócił się przerażony i spostrzegł syna swego stojącego o kilka kroków.

— Ojcie! — powiedział Brindaban. — Słyszałem, że syn mój ukrywa się w domu twoim. Oddaj mi go!

Starzec rozwarł szeroko oczy, wykrzywił usta, pochylił się i wrzasnął: — Twój syn?

— Tak! Mój Gokul. Zwię się teraz Nitaj Pal, a ja przybrałem imię Damodara Pala. Oslawiony zostałeś, ojcie, tak w całej okolicy, że musiałem ukryć swe pochodzenie, gdyż inaczej ludzie nie chcieliby wymówić naszego nazwiska.

Z wolna podniósł starzec ręce w górę. Palce jego ruszały się, jakby chwytać chciał coś w powietrzu. Zachwiał się i padł zemdlony.

Przyszedłszy do zmysłów, zaprowadził syna swego do opuszczonej świątyni i gdy się w niej znaleźli, spytał: — Czy słyszysz jakieś wołanie?

— Nie! — odrzekł Brindaban.

To mu sprawiło widoczną ulgę.

Począwszy od tego dnia chodził wszędzie i pytał ludzi: — Czy słyszycie jęki i wołanie? — A ludzie wyśmiewali się ze zdzieciniałego starca.

W cztery lata później leżał Dżagannath na łożu śmierci. Coraz mglistszym wydawał mu się świat, przestawał go widzieć, coraz to ciężiej było mu oddychać. Nagle usiadł na posłaniu i zawołał jakby w szale gorączki:

— Nitaju! Ktoś mi zabrał drabinę!

Nie mogąc odnaleźć drabiny, by po niej wyjść ze swego straszliwego więzienia, gdzie nie było światła ni powietrza, padł na poduszki i ukrył się tam, gdzie nikt jeszcze odnalezionym nie został w ciągu długich wieków światowej zabawy w chowankę.

Był sobie król

Był sobie król...

Za naszych lat dziecięcych nie pytano nigdy:

— Co to za król? Gdzie żył?

Gdyż szło o króla z baśni. Mając lat siedem żaden z nas nie był ciekawy dowiedzieć się czegoś jeszcze o owym królu ni badać, czyli żył i panował w Kaszi lub Kanaudź, czy mu było na imię Siladitja lub Śaliwahan.

Sama owa najwyższa prawda, owa rzeczywistość nie zrównana zawarta w słowach:

— Był sobie król...

starczyła, by rozplomienić radością bez granic i świętym natchnąć uniesieniem małego słuchacza.

Tak było, teraz jest inaczej. Słuchacze są bystrzejsi i żądają większej ścisłości. Naturalnie, wszakże nastąpiły czasy krytycyzmu i nauki. Posłyszawszy taki początek baśni słuchacz uczuwa podejrzenie, kieruje reflektor wiedzy na oną mgławicę legendarną i pyta:

— No dobrze... ale jaki król?

Stosując się do zmienionych wymagań swych klientów, baśniopisowicze i ich głosiciele nie zadowalają się już dawną nieokreśloną formą, ale przybierając miny niezmiernie uczone, zaczynają tak:

— Był sobie pewnego razu król imieniem Adżataśatru...

Niestety i to nie starczy chciwemu wiedzy słuchaczowi naszych błogich oświeconych czasów. Uśmiecha się, spoziera spod oka, łyska okularami wiedzy i mówi do autora:

— Dobrze... dobrze, szanowny panie, ale... który Adżataśatru?

Na to autor, który przygotował się należycie:

— Każdy żak szkolny wie doskonale, że było trzech królów tego imienia. Adżataśatru I urodził się w XX wieku przed Chrystusem i zmarł wcześniej, mianowicie licząc dwa lata i osiem miesięcy życia. Bardzo mi przykro, ale nie zdołałem odnaleźć w archiwach ścisłych i dokładnych dat, szczegółów oraz całokształtu jego panowania. Adżataśatru II lepiej jest już znany historykom naszym. Nowa, wydana w latach ostatnich *Wielka Encyklopedia Historii* zawiera na stronie...

W tym momencie słuchacz współczesny doznaje ogromnego ukojenia. Sumienie naukowe przestaje mu doskwierać. Czuje, że może zaufać autorowi, który stoi na wysokości zadania, i mówi do siebie: „Usłyszę opowieść pożyteczną, pouczającą i ciekawą”.

O, jakże łatwo oszukać dzisiejszego krytycznego słuchacza! Wszyscy drżymy na myśl, że ktoś posądzi nas o brak naukowości, a kończy się na tym, że jesteśmy nieukami. Rezultat ów zaś osiągamy przebiegłą drogą, mozolną drogę badań.

Anglik posiada przysłowie: „Nie pytaj, a nie będę zmuszony cię okłamywać”. Siedmioletni chłopiec słuchający baśni wie o tym doskonale, przeto przez cały czas opowiadania milczy dyskretnie. A piękne zmyślenie niczym nieosłonięte, niewinne jako niemowlę, przejrzyste się staje jak prawda, jak krystaliczny, ożywczy potok górski. Natomiast zamaszyste, ciężkie, uczone kłamstwo czasów naszych musi prawdziwe swe oblicze ukrywać z zakłopotaniem pod fałdzistą draperią. Niechże w draperii onej znajdzie się bodaj najmniejsza dziurka, którą przeniknąć zdoła oko, natychmiast słuchacz czy też czytelnik odwraca się z oburzeniem i odrzą, po czym... autor może pakować manatki, sława bowiem jego przepadła z kretesem.

Za młodu... za młodu znaliśmy się wszyscy doskonale na łakotkach i słodycz uroczą baśni odkrywaliśmy metodą własną, nieomylną. Cóż nas wówczas obchodziły takie nieużyteczne sprawy, jak na przykład... wiedza? Szło nam jeno o... prawdę! Maleńkie, niezepsute serduszko wiedziało dobrze, gdzie jej pałac kryształowy i którą drogą wiedzie droga.

Dzisiaj wymagają ludzie, byśmy całe spisywali stronicie faktów, gdy sama prawda brzmi po prostu:

— Był sobie król...

Pamiętam pewien wieczór w Kalkucie.

Babka zaczęła bajkę, a na dworze szalała nawałnica. Miasto było zalane wodą, ludzie brodzili w niej z trudem, a w naszej ulicy sięgała przechodniom po kolana.

Serce moje wezbrało nadzieją tak silną, że była mi niemal pewnością. Pragnąłem, by nauczyciel się nie zjawił, by nie mógł przybyć onego wieczoru. Siedziałem w najdalszym kącie werandy i patrzyłem w ulicę, a serce mi biło... tak mocno... coraz mocniej. Nie

Wiedza

spuszczając oczu ze strug deszczu, a ile razy słabło jego napięcie, zbierając wszystkie siły woli, modliłem się:

— Boże... Boże... każ padać deszczowi mocno, bardzo mocno, aż do wpół do siódmej!

Byłem święcie przekonany, że powodem całej burzy, nawałnicy i powodzi jest wyłącznie sprawa wyrwania ze szponów nauczyciela biednego bezbronnego chłopczyka, przutulonego do kąciaka werandy pewnego domu w Kalkucie.

Nie wiem, czy modlitwa moja została wysłuchana, czy sprawiła to jakaś przyczyna niższego rzędu, prawo fizyczne lub coś podobnego, dosyć, że deszcz uparł się i padał dalej.

Niestety, uparł się także i mój nauczyciel. Punktualnie w czasie przeznaczonym na lekcję ujrzałem wynurzający się z zakrętu ulicy jego parasol. Wielka mydlana bańka nadziei w piersi mojej pękła i uczułem ból w sercu. „Zaprawdę” — pomyślałem — „jeśli istnieje kara w drugim życiu, odpowiadająca dokładnie winie, to nauczyciel odrodzi się w moim ciele, ja zaś przyjdę na świat jako jego nauczyciel”.

Zobaczywszy parasol, zerwałem się i co sił w nogach pobiegłem do pokoju matki. Matka i babka siedziały naprzeciw siebie przy stole, na którym stała lampa, i grały w karty. Wbiegłem, rzuciłem się na łóżko tuż koło matki i zawołałem:

— Matusiu droga, nauczyciel przyszedł, a mnie tak bardzo boli głowa! Czy muszę koniecznie odbyć lekcję dzisiaj?

Mniemam, że opowieść ta nie wpadnie w rękę dziecku nieletniemu, i ufam silnie, iż nie zostanie zamieszczona w podręczniku szkolnym. To, co uczyniłem, było bardzo, bardzo złe, a mimo to nie spotkała mnie najłżejsza nawet kara. Przeciwnie, występki moje zostały po królewsku nagrodzone i odniósł triumf.

Matka powiedziała:

— Dobrze! — a zwracając się do służącej, dodała: — Powiedz nauczycielowi, że lekcji dziś nie będzie.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, iż choroby mej rzekomej nie brała na serio, gdyż grała dalej w karty, nie zwracając wcale uwagi na mnie. Ja zaś, ukrywszy twarz w poduszki, śmiałem się długo i serdecznie. O, jakżeśmy się doskonale rozumieli oboje z matką.

Ale chyba wszyscy wiedzą dobrze, że udawanie choroby przez czas dłuższy to dla siedmioletniego chłopca rzecz niezmiernie trudna. Nie minęła minuta, a już uczepliłem się babuni, prosząc gorąco:

— Babuniu! Opowiedz mi bajkę!

Musiałem powtarzać tę prośbę nieskończoną ilość razy. Matka i babka grały dalej i nie zwracały na mnie uwagi. Na koniec matka powiedziała:

— Dajże nam spokój! Zaczekaj, aż skończymy partię.

Ale ja się upierałem:

— Babuniu, opowiedz mi bajkę!

Powiedziałem matce, że może jutro skończyć grać, a babka powinna teraz opowiedzieć bajkę.

Znudzona matka rzuciła karty i powiedziała:

— Trudno! Niech będzie bajka! Nie mogę sobie z tym smykiem dać rady.

Może pomyślała, że jutro nie będę jej nudził, bo przecież przyjdzie nauczyciel i zabierze mnie do nauki.

Widząc, że matka się poddała, rzuciłem się na babkę. Chwyciłem ją za rękę, tańcząc z zachwytem, i zaciągnąłem na łóżko pod siatkę od moskitów.

— Teraz opowiadaj, babuniu!

A babunia zaczęła:

— Był sobie król i miał królową.

„Jak na początek, niezłe” — pomyślałem — „miał tylko jedną!”.

Zazwyczaj królowie z baśni są na punkcie królowych wprost rozrzutni i gdy się dowiemy, że były na przykład dwie królowe, to nas zaraz ogarnia jakiś smutek. Jedna z nich musiała być niezawodnie nieszczęśliwa! No, ale w tej bajce niebezpieczeństwo nie zagrażało, wszakże miał tylko jedną jedyną.

Zaraz potem dowiedziałem się, że nie miał syna. Miałem lat siedem i nie sądziłem, że nieposiadanie syna może być przyczyną zmartwienia. Tym lepiej, zaważałby tylko.

Ale nie zdziwiłem się zbytnio, usłyszawszy, że król udał się do lasu pościć i zanosić błagalne modły w tym celu, by otrzymać syna. To jego rzecz. Ja osobiście udałbym się do lasu chyba po to, by ująć pazurów mego nauczyciela.

Król tedy poszedł, zostawiając królową wraz z małą córeczką, która rosła, rosła, aż wyrosła na śliczną królownę.

Minęło dwanaście lat. Król ciągle pościł i modlił się o syna, a ani razu przez cały czas nie pomyślał o swej córeczce. Królowna tymczasem rozkwitła całą krasą młodości. Mijał rok za rokiem, pora zamężcia mijała, król nie wracał. A królowa martwi się i płacze, i wdycha, i mówi:

„Czyż córka moja ma umrzeć niezamężną? O, biada mi! O, jakież smutny mój los!”

Posłała zatem gońców do króla, którzy go bardzo, bardzo prosili, by zechciał przybyć do pałacu na jedną jedyną noc i spożyć bodaj jedną jedyną wieczerzę. A król przystał na to.

Królowa przyrzędną własną ręką, przykładając się z niezmierną pilnością do pracy, sześćdziesiąt cztery potrawy, przysposobiła małżonkowi siedzenie z drzewa sandałowego i sama poukładała przysmaki na złotych talerzach oraz ponalewała napoje w srebrne kubki.

Za fotelem stanęła królowna z wachlarzem z piór pawich w dłoni. Po dwunastoletniej nieobecności wkroczył król do pałacu. Królowna poruszała wachlarzem, a piękność jej rozświetliła wszystkie komnaty. Król patrzył w oblicze swej córki i zapomniał usiąść i jeść.

Po długiej chwili zapytał królową:

„Powiedz mi, kim jest to dziewczę, którego piękność wydaje się być odblaskiem lic bogini. Czyją jest córką?”

Królowa dotknęła dłonią czoła i zawołała:

„O, jakże straszny jest mój los! Czyż nie poznajesz własnej córki swojej?”

Król zmieszał się i rzekł pełen podziwu:

„Widzę, że mała córeczka nasza wyrosła na piękną kobietę”.

„Naturalnie!” — odparła królowa, wdychając. — „Czyż nie wiesz, że minęło dwanaście lat!”

„Czemuż nie zaślubiłaś jej do tej pory?” — spytał król.

„Ciebie nie było!” — rzekła królowa. — „Jakże tedy mogłam znaleźć dla niej odpowiedniego małżonka?”

Królem owładnięto wzburzenie i zawołał:

„Pierwszy mężczyzna, którego ujrzę jutro, wychodząc z pałacu, zostanie jej mężem!”

Królowna poruszała dalej wachlarzem z pawich piór, a król ukończył biesiadę.

Gdy następnego ranka król wyszedł z bramy pałacu, spostrzegł syna pewnego bramina, zbierającego chrust i suche gałęzie w pobliskim lesie. Chłopak miał siedem lub osiem lat.

A król rzekł:

„On zostanie mężem córki mojej!”

Któż się oprzeć ośmieli woli króla?

Przywołano chłopca i musiał zamienić z królowną ślubne wieńce.

Przytuliłem się do babuni mocniej jak dotąd i gładząc jej białe włosy, spytałem gojącym szeptem:

— I cóż dalej?

Na dnie serca mego tailo się palące pragnienie, bym mógł znaleźć się na miejscu owego siedmioletniego męża cudnej królowny. Z dworu dochodził jednostajny chlupot wody. Gliniana lampka, u mego łóżka stojąca, płonęła niskim, mdłym płomyczkiem. Głos babuni brzęczał cichutko niby skrzydełka owada. Wszystko było jak tajń cudu, a z niej snuła się złota nić rozmarzeń. Zdało mi się, że ongiś... dawno... w zamierzchłym, nieokreślonym czasie zbierałem suche gałęzie w lesie przytykającym do pałacu dziwnego króla. Tam to pewnego ranka spotkało mnie szczęście. Oto zamieniłem wieńce małżeńskie z królowną, cudną jak sama bogini wdzięku. We włosach jej połyskiwała przepaska złota, złote kolczyki zwisały z jej uszek różowych, złocisty łańcuch opasywał jej wiotką kibić i złote obrączki brzękały u kostek jej nówek precudnych.

Gdyby babunia była autorem, ileż by musiała przydać objaśnień tej krótkiej, nikłej baśni! Przede wszystkim spytano by, po co król przebywał przez całych lat dwanaście

w lesie? Po wtóre, dlaczego królowny nie wydano za mąż? Jedno i drugie to oczywisty nonsens.

A choćby nawet aż do tego punktu czytelnicy wytrzymali bez krytyki, to niewątpliwie na samą wzmiankę o tak dziwnym małżeństwie powstałby rumor niesłychany i zewsząd rozległyby się protesty. Po pierwsze bowiem, małżeństwo to nigdy w ogóle zawarte nie zostało, a autor zmyśla. Po wtóre, jakże mogła królowna, pochodząca z kasty wojowników, poślubić chłopca z kapłańskiej kasty braminów? Czytelnicy musieliby nabrać przekonania, że autor potajemnie, w osłonie baśni, występuje przeciwko uświęconym długą tradycją wieków zwyczajom religijnym i społecznym urządzeniom narodu. Naturalnie zasypano by listami dzienniki.

Toteż modliłem się z całego serca do Boga, prosząc go, by babunia w następnym wcieleniu nie przysłała na świat jako postępowy wnuk swój, autor, ale ponownie jako stara zacofana babunia opowiadająca po prostu bajki.

— I co dalej? — spytałem, oczekując dalszego ciągu z biciem serca.

A babunia mówiła:

— Królowna zabrała z sobą swego maleńkiego męża i zbudować kazała wielki wspólny pałac o siedmiu bramach. Tam zamieszkała i zaczęła wychowywać chłopca.

Podskoczyłem kilka razy w łóżku, silnie objąłem ramionami poduszkę i spytałem:

— Cóż dalej?

— Malec chodził do szkoły, uczył się wielu rzeczy od różnych nauczycieli, a gdy wyrósł trochę, pytali go koledzy:

„Któż to jest owa piękna dama mieszkająca z tobą w pałacu o siedmiu bramach?”

Mały chłopiec bramiński sam był ciekaw, kim była owa dama. Ale pamiętał tylko, że pewnego dnia zbierał suche gałęzie, a potem uczyniło się jakieś zbiegowisko. Wszystko to stało się niezmiernie dawno... doprawdy nie mógł sobie przypomnieć szczegółów.

Minęło pięć lat. Koledzy pytali go ciągle:

„Kto jest owa piękna dama z pałacu o siedmiu bramach?”

Razu pewnego chłopiec wrócił ze szkoły do domu pogrążony w smutku i powiedział do królowny:

„Koledzy pytają mnie ustawicznie, kim jest owa piękna dama z pałacu o siedmiu bramach, a ja nie wiem, co odpowiedzieć! Powiedźże mi, kim jesteś?”

Królowna odparła:

„Zaczekaj... przyjdzie dzień, w którym się dowiesz!”

Chłopiec pytał odtąd codziennie: „Ktoś jest, piękna damo?”, a królowna powtarzała niezmiennie: „Zaczekaj... przyjdzie dzień...”

I znowu minęły trzy czy cztery lata.

Nareszcie poczęło synowi bramina brakować cierpliwości i rzekł: „Jeśli mi dzisiaj nie powiesz, kim jesteś, piękna damo, wiedz, że niezwłocznie opuszczę ten pałac o siedmiu bramach”.

Na to odpowiedziała:

„Powiem ci jutro!”

Gdy tylko nazajutrz młodzieniec wrócił ze szkoły, natychmiast poczył prosić:

„Powiedz mi nareszcie!”

„Powiem ci dzisiaj w nocy, po wieczery, gdy będziesz leżał w łóżku”.

„Dobrze!” — odparł i jął liczyć godziny dzielące go od nocy.

A królowna przysłała⁵ łożę jego białym kwieciem, napełniła wonnym olejem złotą lampę, zapaliła i postawiła u wezglowia. Potem przystroiła włosy, wzięła przecedną szafirową szatę i usiadłszy, jął liczyć godziny dzielące ją od nocy.

Kiedy małżonek królowny ukończył wieczery, nie mogąc nawet jeść skutkiem wzburzenia i niecierpliwości, i wreszcie znalazł się w złocistym łożu przysutym białym kwieciem, rzekł do siebie:

„Tej nocy niezawodnie dowiem się, kim jest piękna dama z pałacu o siedmiu bramach”.

Królowna posiliła się resztkami potraw, które pozostawił małżonek, a potem udała się, idąc powoli do komnaty sypialnej. Tej nocy miała dopełnić przyrzeczenia i powiedzieć mu,

Śmierć, Sztuka,
Dzieciństwo

⁵przysłać (daw.) — tu: opleść, przyozdobić. [przypis edytorski]

kim jest.

Kroczyła z wolna po stopniach ku łożu, a stanąwszy, pochyliła się nad młodzieńcem. Nagle spostrzegła, iż wąż skryty w kwiatach ukłulił jadowitym żądłem jej małżonka. I oto syn bramina, młodziuchny mąż jej, leżał na posłaniu z kwiatów bładny, cichy i martwy...

Serce mi bić ustało nagle i spytałem zdławionym szeptem:

— I co dalej?

— Co dalej... — powtórzyła babunia jak echo.

Nie warto, zaprawdę, snuć dalej bajki. W miarę opowiadania stałaby się coraz to niemożliwszą i nie zaspokoila nikogo.

Siedmioletni chłopczyzna nie wiedział, że... o ile istnieje coś dalej... poza grobem, żadna babunia ani prababunia tego opowiedzieć nie może.

Wiara dziecięca nie uznaje faktu zniszczenia. Nie przypuszcza, by coś mogło ustać, chwytając za płaszcz śmierci, obraca go na wszystkie strony i pyta: cóż dalej?

Jakże pojąć dziecku, iż baśń, opowiedziana o słodkim wieczorze, cudnym wieczorze pogromu nauczyciela, może się tak przeraźnie i nagle skończyć... Babunia musiała tedy otworzyć kluczem wrota niepodobieństwa, rozewrzeć podwoje tajemnej komnaty wiekuistości i... opowiadać dalej.

Uczyniła to bardzo prosto. Przywiązała martwe zwłoki do pnia bananu⁶, puściła je z prądem rzeki i poleciła czarodziejowi wygłosić odpowiednią formułę zaklęcia.

To starczyło. Onej bowiem przesiąkłej deszczem nocy śmierć utraciła dla chłopca całą przeraźną groźbę swoją i zdała mu się jeno głębokim snem jednej nocy. Zanim przebrzmiały ostatnie słowa, zapadły znużone powieki przyciśnione uspieniem.

Drobne ciałko chłopca płynie ułożone w łodzi odrętwienia po fali czasu, a jutro czarodziej-dzień wygłosi formułę zaklęcia i dziecko powróci na świat życia i słońca.

Powrót

Fatik Czakraarti był hersztem szajki wiejskich bandytów. Nowe szelmstwo wpadło mu do głowy. W nadrzecznym mule leżał gruby, ciężki pień drzewa, czekając, aż go cieśle przemieni w maszt okrętowy. Fatik rozkazał swym oberwańcom wyteńczyć wszystkie siły, by pień ruszył z miejsca i przetoczył go gdzie indziej. Zamierzał w ten sposób zdziwić i doprowadzić do pasji właściciela pnia, a potem śmiać się z niego do rozpuku. Wszyscy poparli tę propozycję i zgodnie zabrali się do dzieła.

Ale właśnie w chwili gdy figiel miał zostać wprowadzony w czyn, zjawił się młodszy brat Fatika, Makhan. Nadszedł powoli, leniwym krokiem i bez słowa usiadł na pniu.

Chłopcy w pierwszej chwili oniemieli. Jeden z szajki trącił nieśmiało Makhana i kazał mu wstać. Ale przybysz ani drgnął. Wyglądał na młodego filozofa rozważającego znikomość wszelakich zabaw i figlów tego świata.

Fatik wpadł w wściekłość.

— Makhan! — wrzasnął. — Wstawaj natychmiast albo sprawię ci wały⁷!

Makhan rozsiadł się jeszcze wygodniej. Każdy zrozumie, że Fatik winien był teraz, chcąc zachować wobec swego ludu powagę królewską, wykonać to, co zapowiedział. Ale w decydującym momencie zbrakło mu jakoś odwagi. Twórczy duch jego znalazł błyskawicznie wyjście z sytuacji i Fatik umyślił uczynić coś, co musi sprowadzić zwycięstwo nad bratem, a jednocześnie dać bandzie wasalów tym większą jeszcze uciechę.

Rozkazał przetoczyć pień razem z Makhanem, przewracając go oczywiście głową na dół, a Makhan, słysząc to zlecenie, uparł się i postanowił wytrwać na stanowisku. Nie przewidział jednak całego związanego z tym niebezpieczeństwa, jakie zawsze towarzyszy każdej ziemskiej sławie, na każdym polu.

Chłopcy rzucili się jak jeden mąż na pień, wołając:

— Raz... dwa... trzy... hura!

Drzewo drgnęło, ruszyło się z miejsca i potoczyło wraz z Makhanem, jego filozofią, sławą i wszystkim.

⁶banan — tu: bananowiec. [przypis edytorski]

⁷sprawię ci wały (daw. pot.) — zbiję cię, spuszczę ci lanie. [przypis edytorski]

Makhan przewalił się, spadł głową w muł, a banda ryczała z zachwytu. Fatik natomiast przestraszył się nieco. Wiedział, co teraz nastąpi. I w samej rzeczy, Makhan zerwał się z ziemi, ślepy niby los, wyjąc jak stado furii. Rzucił się na Fatika, podrapał mu twarz, obił go pięściami, obalił, skopał, a potem, płacząc w głos, pobiegł ku domowi.

Tak się skończył pierwszy akt dramatu.

Fatik otarł pokaleczoną twarz, usiadł na skraju zatopionej na poły łodzi nad rzeką i począł żuć w zębach zerwane źdźbło trawy. W tej chwili przybił statek i wysiadł zeń jakiś jegomość w średnim wieku, przyprószony siwizną, o czarnych wąsach.

Ujrawszy malca próżnującego w przystani, zatrzymał się i spytał, gdzie znajduje się dom rodziny Czakrawartich.

Fatik żuł dalej źdźbło i odparł półgębkiem:

— Tam... niedaleko...

Ale nie sposób było domyślić się, w którą stronę wskazywał, gdyż nie uczynił najłżejszego ruchu. Przybysz spytał przeto ponownie. Fatik pokiwał z lekka jedną nogą i powiedział:

— Niech pan sobie szuka...

Potem żuł dalej trawę, nie racząc patrzeć na siwego pana.

Nagle zjawił się służący i zawiadomił Fatika, że matka go wzywa, by natychmiast wracał do domu. Fatik nie uznał za stosowne nakłonić się do tego żądania, ale służący był na razie panem sytuacji. Bez ceregieli porwał Fatika za kołnierz, podniósł do góry i powłókł mimo energicznego oporu, machania rękami i zapierania się piętami w piasku.

Przybyszy do domu, Fatik spostrzegł matkę. Krzyknęła nań ze złością:

— Znowu obileś Makhana!

Fatik odparł z oburzeniem:

— Nie obilem go wcale! Kto to powiedział?

Ale matka wrzasnęła.

— Nie łzyj! Obileś go!

Fatik rzekł stanowczo:

— Powtarzam, nie obilem go! Spytaj samego Makhana!

Ale Makhan uważał za stosowne powtórzyć swe pierwotne zeznanie i oświadczył:

— Tak, mammo! Obił mnie.

Tego było za wiele. Fatik nie mógł znieść niesprawiedliwości. Przystąpił tedy do brata i zaczął go okładać, wołając:

— Masz, kłamco! Masz, donosicielu! Masz, zdrajco!

Matka opowiedziała się bez namysłu po stronie Makhana, chwyciła Fatika, odciągnęła go od brata i wlepiła mu ze swej strony kilka kuksów.

Fatik odepchnął ją, a matka krzyknęła:

— A to co? Więc ośmielasz się bić własną matkę?

Właśnie w tym krytycznym momencie zjawił się w progu domu szpakowaty, nieznaný jegomość. Spytał, co się stało. Fatik uczuł wstyd i zapłonął się cały.

Matka cofnęła się ze zdziwieniem i nagle gniew jej przemienił się w radość wielką. Poznała w przybyszu swego brata i zawołała:

— Dada! Kochany dada! Skądżeś się tu wziął?

Potem pochyliła się do samej ziemi i dotknęła rękami kolan jego. Brat niedługo po ślubie siostry wyjechał do Bombaju i wziął się do interesów. Podczas gdy był nieobecny, umarł mąż, ojciec Fatika i Makhana. Brat wdowy, nazwiskiem Bisszambher, powrócił niedawno do Kalkuty i zaraz wybrał się w te strony, by się dowiedzieć, co słyhać z siostrą. Musiał jej dosyć długo szukać.

Nastaly dni radosne. Brat rozpytywał siostrę, jak wychowuje swych synów. Dowiedział się, że Fatik jest jej plagą. Leniwy, nieposłuszny, rozpasany, jest wprost przeciwieństwem Makhana, który uczy się doskonale, dobry jest i łagodny niby baranek. Bisszambher, chcąc ulżyć siostrze, obiecał jej, że weźmie Fatika i będzie go wychowywał w Kalkucie razem z własnymi dziećmi. Wdowa przyjęła propozycję z wielką radością, a gdy wuj spytał Fatika, czy chce z nim jechać do Kalkuty, chłopiec uczuł się wniebowziętym i odparł głosem drżącym z uniesienia:

— Bardzo chętnie!

Biedna matka nie wiedziała, jak ma dziękować. Była uprzedzona do syna, a braci nie łączył żaden węzeł miłości. Bała się ustawicznie o Makhana, codziennie drżała, iż go Fatik utopi w rzece, że mu rozmiążdży głowę uderzeniem pięści albo w ogóle zamorduje w jakiś sposób. Jednocześnie ogarnął ją jednak smutek, gdy zauważyła radość, z jaką Fatik przyjął zaproszenie wuja.

Gdy już wszystko było ułożone, Fatik zaczął wuja zasypywać pytaniami, kiedy pojadą. Przez cały dzień był wzburzony i nie mógł sypiać po nocach. Ustąpił raz na zawsze Makhanowi swą sieć rybacką, latawca oraz świnki morskie. W ten czas nadchodzącej rozłąki hojność jego dla Makhana nie miała granic.

Po przybyciu do Kalkuty Fatik poznał swą ciotkę, której dotąd nie widział na oczy. Zaczynała nie była wcale uszczęśliwiona niespodzianym powiększeniem rodziny. Miała dosyć utrapienia z trzema własnymi synami i zgoła nie pożądała czwartego.

Poza tym ten wiejski wisus mógł fatalnie oddziaływać na jej dzieci. Natarła mężowi uszu, twierdząc, że popełnił ostatnie głupstwo.

Nie ulega wątpliwości, że nie ma nic chyba gorszego na tym padole płaczu jak czternastoletni chłopiec. To czysta plaga! Nie jest piękny, nie jest użyteczny, niepodobna go rozpieszczać jak malca, a zawsze wszystkim zawadza i złości ciągle każdego.

Jeśli mówi dziecinnie, zwie się go głuptakiem, gdy odpowiada jak dorosły, zasługuje oczywiście na miano przemądrzałego nicponia. Każde jego słowo staje się kamieniem obrazy, każdy ruch przedmiotem drwin. Chłopiec czternastoletni nie ma w sobie nic pociągającego. Wyrasta z szaleńczym wprost pośpiechem z ubrań, głos ma szorstki, załamujący się co chwila w jakiś pisk niemowlęcy, twarz jego staje się kwadratowa, brzydka. Można, zaprawdę, przebaczyć to i owo małemu dziecku, ale trudno, bardzo trudno usprawiedliwić nieuniknione nawet niedomagania czternastoletniego wyrostka.

Wyrostek taki jest ponadto arogancki i zarozumiały. Rozmawiając ze starszym, udaje dojrzałego, rozprawia, rezonuje, przeczy. Czasem napada go jakaś nieśmiałość, jakieś głupkowate drżenie...

Dodajmy, że mimo wszystko jest to wiek, w którym chłopiec z głębi serca pożąda miłości, sympatii, uznania i stałby się bezwzględnie oddanym niewolnikiem każdego, kto by uszanował jego porywy i myśli. Ale nikt nie śmie okazać mu jawnie miłości, gdyż łagodność owa, owa czułość każdego wydaje się niewłaściwa i szkodliwa.

Wśród połajanek i drwin, zawadzając każdemu, płacze się po świecie niby pies bezpański. I dlatego dla chłopca czternastoletniego jedynym miejscem pobytu na ziemi jest dom rodzicielski. Pobyt wśród obcych to wprost katusza, natomiast rajem, szczytem szczęśliwości staje się życzliwe spojrzenie kobiety i obejście z wyrostkiem wolne od pogardy i drwinek.

Fatik był w domu ciotki gościem nieproszonym, osobą zbyteczną. Znosił tortury wzgardy zadawane przez podstarzałą już kobietę i przeżywał codziennie upokorzenia. Ile razy poleciła mu coś załatwić, biegł wykonać, co chciała, i zawsze przesadził w zapale. Wówczas mówiła, że jest głupcem, nic nie potrafi, i odsyłała go do książek i zadań.

Zaniedbanie i moralny ucisk w domu ciotki gnębiły Fatika do tego stopnia, że nie śmiał oddychać. Czuł wielkie pożądanie wolnej, szerokiej przestrzeni, rad by był wybiegać się, nabrać w piersi powietrza. Ale nigdzie nie było rozłogów polnych. Otoczony ze wszystkich stron domami Kalkuty śnił jeno po nocach o dalekiej wsi ojczystej i tęsknił za powrotem do domu.

Z zachwytem myślał teraz o łące, gdzie po całych dniach puszczał latawca; zasłanych białym piaskiem brzegach rzeki, wzdłuż których wałęsał się do woli, śpiewając, krzycząc, ile dusza zapagnie; o samej rzece, w którą rzucał się i pływał o każdej porze dnia; o szajce wisusów, której przywodził niby udziałny król. A także myślał często z boleścią o tyrance matce swej, tak bardzo doń uprzedzonej, ścigającej go wyrzutami w dzień i w nocy.

Zbudziło się w chłopcu coś, co przypominało miłość zwierzęcia, fizyczną tęsknotę, pożądanie znalezienia się obok przedmiotu swego umiłowania, niewysłowioną rozterkę i niepokój wywołany oddaleniem, jakiś bezgłośny krzyk serca za matką... coś jak bek cielęcia o mroku.

Dziecko, Młodość,
Męczyzna, Wychowanie

Ów pęd nieokiełznany, podświadomy, ujawniał się strasznym wstrząśnieniem całego organizmu wątłego, nerwowego, niezdarnego, brzydkiego chłopięcia. Nikt tego nie dostrzegł, ale zło wżerało się ciągle, bez ustanku, i to coraz głębiej w jego ciało i duszę.

Nie było w całej szkole gorszego od Fatika ucznia. Gdy nauczyciel zadał mu pytanie, otwierał gębę i milczał. A gdy ciosy sypały się na jego plecy, cierpliwie czekał, aż ustaną.

Gdy inni chłopcy wybiegali na podwórze, by się pobawić, Fatik stawał zamysłony przy oknie i gapił się na dachy najodleglejszych domów. Dojrawszy na jakimś płaskim dachu igrające dzieci, uśmiechał się do nich i czuł dotkliwy ból w sercu.

Pewnego dnia zebrał całą odwagę i spytał:

— Wujaszku! Kiedy będę mógł wrócić do domu?

— Aż nadejdą wakacje! — odparł wuj.

Ale wakacje rozpoczynały się dopiero w listopadzie, tedy całe jeszcze długie miesiące trzeba było czekać na nie.

Pewnego dnia zgubił Fatik książkę szkolną. Nawet przy pomocy książek nie mógł sobie dać rady z zadaniami. Teraz pozbawiony tej pomocy stanął wobec ostatecznej katastrofy. Nauczyciel bił go codziennie niemiłosiernie. Popadł w stan takiego upadku, że nawet bracia wujeczni wstydzieli się z nim zadawać i nie przyznawali się doń, natomiast prześcigali w drwinach, docinkach i kułakach, spadających na głowę Fatika, wszystkich współuczniów. Na koniec, nie mogąc wytrzymać, poszedł do ciotki i przyznał się, że zgubił książkę.

Ciotka ściągnęła pogardliwie usta i rzekła:

— Ty urwipolciu wiejski! Czyż sądzisz, że przy ogromnych wydatkach na utrzymanie twoje i mojej rodziny mogę ci dziesięć razy w miesiącu sprawiać nowe książki?

Tegoż dnia, wracając ze szkoły, uczył Fatik silny ból głowy i dreszcze. Wiedział, że to niezawodnie malaria, i opanował go przestach na myśl, iż stanie się ciężarem ciotce. W wyobraźni ujrzał przeróżne sceny, jakie nastąpią, i powziął postanowienie.

Nazajutrz okazało się, że Fatik znikł jak kamfora. Szukano go w sąsiedztwie, ale bez skutku. Deszcz lał strumieniami całą noc, a ci, którzy szukali chłopca, wrócili przemokli do nitki. Bisszambher zawezwał policję.

Pod wieczór zatrzymała się pod mieszkaniem Bisszambhera kryta karetka policyjna. Deszcz padał ciągle, a na ulicach stała woda, nie mogąc pomieścić się w kanałach i spustach. Z karetki wysiedli dwaj policjanci, wynieśli Fatika i oddali go wujowi. Chłopiec był mokry od stóp do głów i pokryty błotem. Twarz jego była prawie czarna, powieki nabrzmiałe i czerwone od zapalenia, a całe ciało drgało spazmatycznie. Bisszambher wziął Fatika w ramiona i zaniósł go na łóżko. Ciotka, spojrzawszy na chorego, zawołała:

— O, ileż troski, ile kłopotu sprawia nam ten nicpoń! Czyż nie lepiej by było odesłać go do domu?

Fatik usłyszał te słowa, wybuchnął głośnym płaczem i zawołał:

— Wuju! Właśnie szedłem sam do domu, ale policja pochwyciła mnie i przywiozła z powrotem!

Gorączka wzmogła się bardzo i przez całą noc Fatik majaczył bezprzytomnie. Bisszambher wezwał lekarza. Fatik rozwarł płonące gorączką oczy i spytał:

— Wujaszku! Czy to już wakacje? Czy mogę jechać do domu?

Pytał drżącym głosem, patrząc w sufit, a Bisszambher ocierał oczy z łez. Potem ujął rozpalone ręce chłopca w swe dłonie i całą noc spędził u jego łóżka.

Chłopiec mamrotał coś niewyraźnie. Nagle koło północy zawołał błagalnie:

— Matko! Nie bij! Mówię szczerą prawdę!

Nazajutrz Fatik odzyskał na chwilę przytomność. Rozejrzał się po pokoju, jakby kogoś szukał, i wreszcie z wyrazem rozczarowania opuścił głowę na poduszkę. Obrócił się do ściany i jął wzdychać żałośliwie.

Bisszambher zrozumiał, o czym myśli, i pochylając się nad chłopcem, wyszeptał:

— Fatiku, posłuchaj... wezwałem matkę, by natychmiast przyjeżdżała!

Minął dzień. Lekarz oświadczył z poważną miną, iż stan chłopca jest bardzo groźny.

Fatik wołał od czasu do czasu:

— Dobra...! Cztery węzły! Dobra... pięć węzłów... dalej!

Słyszał razu pewnego okrzyki marynarzy sondujących dno rzeki i oto teraz mierzył i sam niezgłębioną toń jakiegoś morza...

Późnym wieczorem wpadła do pokoju matka Fatika i poczęła płakać, zawodzić i wydawać głośnie okrzyki.

Bisszambher chciał ją uspokoić, ale biedna kobieta rzuciła się na łóżko syna, wołając:
— Fatiku... drogie dziecko moje! Fatiku kochany...

Ręce Fatika, szarpiące ciągle koldrę, uspokoiły się na chwilę. Spojrzał w sufit i powiedział:

— Już nadeszły!

Matka zawołała znowu:

— Fatiku! Fatiku!

Chłopiec zwrócił z wolna w jej stronę głowę i, nie widząc nic, nie patrząc na nikogo, powiedział:

— Mamo! Wakacje... wakacje nadeszły!

Jego królewska mość — dziecko

I

Rajczaran miał zaledwie lat dwanaście, kiedy dostał się jako sługa do domu pana swego. Zaliczał się do tej samej co pan kasty, przeto powierzono jego opiece małego synka chlebobdawcy.

Mijały lata, chłopiec wyrastał. Już teraz nie przesiadywał na kolanach Rajczarana, ale chodził do szkoły. Ze szkoły udał się na uniwersytet, a po jego ukończeniu rozpoczął karierę wojskową. Aż do poślubienia żony nie rozstawał się z Rajczaranem, który był mu najbliższym sługą.

Gdy w domu zjawiała się młoda pani, Rajczaran zauważył, że teraz, miał jednego, ma dwu panów. Całe poprzednie znaczenie Rajczarana przeszło teraz na młodą panią. Zrazu było mu to przykre, ale wszystko zmieniło się na dobre, gdy Anukulowi przyszedł na świat synek.

Rajczaran uradował się niemal tak bardzo jak sam Anukul, pan jego, i niebawem przez niezmordowaną troskliwość i pieczę uzyskał przemożny wpływ nad malcem.

Po całych dniach kołysał go w ramionach, przemawiał doń w śmiesznym języku niemowląt. Przytulał do jego buzi twarz swoją i cofał ją, wykrzywiając się pociesznie, słowem, stał się niańką dziecka, a miłość doń wzrastała w nim z dniem każdym.

Malce nauczył się raczkować i przełazić próg. Ile razy Rajczaran zbliżał się, by go złapać, chłopiec wybuchał przeraźliwym krzykiem, a potem śmiał się do rozpuku i pełzał co sił, by uciec przed ramionami Rajczarana.

Wierny sługa zdumiewał się bystrością malca, którą okazywał w ucieczce, oraz chytrością w postępowaniu z nim i mówił matce z tajemną, pełną czci miną:

— Syn twój, pani, zostanie na pewno sędzią!

Czas płynął i nowe cuda jawiły się ciągle. Gdy dziecko zaczęło mówić, nastąpiła dla Rajczarana nowa era dziejów ludzkości. W dniu, kiedy malce nazwał ojca swego *baba*, matkę *mama*, a jego samego *Czanna*, zachwyty Rajczarana nie znał granic. Jak szalony biegał, zwiastując wszystkim ową nowinę.

Po pewnym czasie musiał Rajczaran okazać swe uzdolnienia na innych polach. Ujawniło się, że umie doskonale odgrywać rolę konia. Brał cugle w zęby i fikał nogami, bacząc, by jednak jeździec nie zjechał na ziemię. Potem musiał staczać ze swym wychowankiem boje i na końcu przewracać się, pokonany, na obie łopatki. Inaczej wrzask rozpaczliwy napelniał dom cały.

Nagle stało się, że Anukul otrzymał rozkaz przeniesienia się do odległego okręgu Padmy. Przejeżdżając przez Kalkutę, kupił synkowi mały wózek na kółkach z dwoma dyszelkami. Kupił mu również sukienkę z złotego atlasu, czapkę szamerowaną złotem i kilka obrączek pozłocistych na nogi i ręce. Ile razy Jego Dostojność raczył wyrazić ochotę udania się na przechadzkę, Rajczaran dobywał z ukrycia te przybory i stroił w nie uroczyście wychowanka.

Nastała pora dżdżów i lało po całych dniach i nocach. Nienasycona w zachłanności swej rzeka, niby wąż olbrzymi, pożerała całe zbocza, tarasy skalne, wsie, pola urodzajne i pokrywała falami łąki oraz piaszczyste ławice. Raz po raz dudnienie głucho ziemi zwiastowało zapadanie się skalnych brzegów w nurt rozszalały, którego szum gwałtowny słychać było o kilka mil wokół. Ponad rzeką kłębiły się masy piany, a oko śledzić nie było w stanie chyżości pędzących fal.

Pewnego dnia po południu niebo rozpogodziło się po trochu, a chociaż błakały się po nim chmury, powietrze było rzeźwe i wszystko zwiastowało przerwę w ulewie. Mały despota Rajczaran w dniu takim nie chciał, rzecz prosta, siedzieć w domu. Jego Dostojność rozsiadł się w swym wózku, a Rajczaran, wcisnąwszy się pomiędzy dyszelki, ciągnął go z wolną drogą. Niebawem znaleźli się wśród pól ryżowych nad brzegiem wody.

Nie było nikogo na polu, ni łódki na falach rzeki nie było. W dali na nieboskłoncie rozdarły się chmury i rozblęsnęło cudną gamą barw zachodzące słońce. Rajczaran milczał pogrążony w ekstazie podziwu.

Nagle rozległ się głos wychowańca:

— *Czanna...* patrz tam... piękne kwiatki!

Obejrzał się. Małec pokazywał paluszkami wystający ze żwiru i szlamu, roztrzaskany pędem wody pień drzewa kadamba. Jedna jedyna pozostała gałąź okryta była precudnym, lśniącym od kropel kwieciami.

Chłopiec ogarniał kwiaty łakomym spojrzeniem i Rajczaran wiedział dobrze, czego chce. Niedawno sporządził sam swemu wychowankowi z gałęzi tegoż drzewa mały wózek, a Jego Dostojność był tak uszczęśliwiony, że przez cały dzień ciągnął za sobą na sznurku ów pojazd. Rajczaran nie był zmuszony brać lejc w usta i fikać nogami, albowiem chłopiec sam zamianował się koniem, nadając Rajczaranowi wysoką godność woźnicy.

Ale nie miał dzisiaj ochoty włożyć aż po kolana w grząski muł, by dostać się do kwiatów, które były dosyć daleko od brzegu, poza rwącym pasmem wody. Dlatego zwrócił się w przeciwną stronę i, podnosząc palec w górę, zawołał:

— O... o... patrz no... ptaszek... ptaszek! — wykonał kilka małych skoków i prędko pociągnął wózek o kilka kroków dalej.

Ale nie tak łatwo wywieść w pole dziecko, które ma zostać chytrym i przebiegłym sędzią. Prócz tego w tej chwili nie było wokół niczego, co by mogło przykuć jego uwagę. Nawet dla takiego malca nie na długo starczy fantastyczny obraz ptaka, którego wcale nie ma.

Mały despota uparł się, Rajczaran był przeto bezsilny i musiał złożyć broń.

— Dobrze! — powiedział. — Siedz spokojnie w wózku i nie ruszaj się, a ja pójdę po kwiatki. Tylko pamiętaj nie chodzić za mną do wody! Rozumiesz?

Powiedziawszy to, obnażył nogi aż do kolan i wszedł w rozmiękły, śliski piasek.

Zaledwo odszedł, małec niezwłocznie wygramolił się z wózka i, jak mógł najszybciej, powędrował ku zabronionemu miejscu. Stojąc na brzegu, patrzył uśmiechnięty w perlący się, szumiący, wydający rozmaite głosy nurt. Wydało mu się, że tysiące fal niby stadko nieposłusznych dzieci ucieka przed jakimś niewidzialnym, potężnym Rajczaranem. Słyszał ich śmiech przekorny.

Pustota tych istot obudziła w małym ludzkim serduszkach ciekawość i niepokój. Nagle coś innego wpadło dziecku do głowy. Podniosło leżący opodal patyk i usiadło nad samą wodą. Pochyliło się, zamoczyło patyk w fali, niby to łowiąc ryby. Za moment wydało mu się znowu, że małe istoty wabią go do siebie... zapraszają do zabawy. Małec zaczął śmiać się, rzucił patyk i pochylił buzię nad rzeką.

Rajczaran zerwał kilkanaście kwiatów i zawrócił, niosąc swój łup w podółku. Twarz jego promieniała radością i szczęściem. Wyszedł na brzeg, zbliżył się do wózka i... onie-miał. Wózek był pusty.

Obejrzał się na wszystkie strony.

Pustka. Spojrzał znów na wózek... był pusty...

W pierwszej chwili uczył zamróz, jakby wszystka krew jego stała się lodem. Świat cały wokół zatonął niby w gęstej mgle. Z głębi rozdartej jego duszy wydzierano się wołanie rozpaczne. Przyzywał malca... wołał.

Ale żaden głos nie odpowiedział. Nie rozległ się przekorny śmiech dziecka, nie rozbrzmiał okrzyk radosny, powitalny. Tylko rzeka płynęła dalej, szumiąc, mruczając, śpiewając. Nie wiedziała o niczym, nie miała czasu zwracać uwagi na rzecz tak znikomą jak śmierć jakiegoś tam dziecka.

Gdy zapadł zmrok, matka malca uczuła niepokój i rozesłała na wszystkie strony posłańców. Rozbiegli się uzbrojeni w latarnie. Szukali i szukali, i na koniec przybyli nad brzeg Padmy. Tam ujrzeli Rajczarana brodzącego po rzece, biegającego po brzegu i polach i krzyczącego jak szaleniec.

Gdy go przyprowadzono do domu, upadł do nóg swej pani i nie mówił nic. Trzęsiono go, pytano, zaklinano na wszystkie świętości, by mówił, gdzie podział dziecko, ale zdołano zeń wydobyć tylko... że nic nie wie.

Wszyscy byli niemal pewni, że malec stał się ofiarą Padmy, mimo to jednak pozostała na dnie duszy niejaka wątpliwość. Bo oto właśnie tegoż dnia po południu widziano poza obrębem wioski bandę Cyganów. Tedy trochę podejrzania zaciężyło na tych włóczęgach, tak łasych, wiadomo, na dzieci.

Nieszczęśliwa matka posunęła się w swej rozpaczach aż do przypuszczenia, że Rajczaran sam sprzedał dziecko Cyganom. Przywołała go i, oddalwszy świadków, prosiła błagalnym głosem:

— Rajczaranie! Oddaj mi moje dziecko! Błagam cię. Dam ci złota, ile sam chcesz, tylko oddaj mi syna mego!

Rajczaran miał odpowiadać tłukł się tylko pięścią w czoło. Nie mogąc dojść do żadnego wyniku, wypędzono go po prostu z domu.

Anukul próbował odwieść żonę od bezrozumnego podejrzania i przekładał jej:

— Zważ tylko! Po cóż miałby Rajczaran dopuszczać się tej zbrodni? Czyż mu nie było dobrze? Czyż nie kochał dziecka?

Ale nie chciała słuchać. Powtarzała:

— Dziecko miało złoty łańcuszek i obrączki... Kto wie... kto wie!

Nie sposób było się z nią porozumieć.

II

Rajczaran powrócił do rodzinnej wsi. Aż do tej pory nie miał dzieci i nie było niemal nadziei, by mu się urodził syn. Ale właśnie tak się stało. Nie minął rok, a żona Rajczarana urodziła syna i w krótkim czasie po tym zmarła.

Zrazu wielkim gniewem wezbrało jego serce i zbudziła się głęboka odraza do dziecka. W głębi duszy jego utkwiło podejrzanie, iż zjawilo ono się jako uzurpator w miejsce zmarłego syna Anukula. Uważał też, że nie wolno mu być szczęśliwym, nie wolno kochać własnego dziecka po tym, co się stało z dzieckiem jego pana.

Gdyby nie siostra Rajczarana, świeżo owdowiała właśnie, zaprawdę syn jego nie byłby się długo cieszył życiem. Poczciwa kobieta zastąpiła mu matkę i uratowała malca.

Czas płynął, a w sercu Rajczarana nastąpiła z wolna przemiana. Stała się rzecz dziwna, działy się co dnia cuda, które wprawiały go w zdumienie graniczące ze strachem. Synek jego, nie uczony przez nikogo, zaczął raczkować, przelazić przez próg, a także objawiał spryt i chytryść niezwykłą, gdy szło o to, by uniknąć pogoni.

Przy tym głos jego, śmiech, płacz i ruchy... wszystko było uderzająco podobne do tamtego dziecka... do synka Anukula. Czasem na dźwięk głosu syna serce Rajczarana zaczynało tętnić dziko w jego piersiach. Zdawało mu się, że mały synek jego pana krzyczy kędyś w zaświatach ze złości czy trwogi, że zgubił swego *Czannę*.

Failna (takie imię nadała niemowlęciu siostra Rajczarana) zaczął niebawem gaworzyć. Nauczył się mówić *baba* i *mama*. Gdy Rajczaran po raz pierwszy usłyszał te dźwięki... nagle rozjaśniło mu się w głowie. Oto mały synek Anukula nie mógł się uwolnić od czaru miłości swego *Czanny* i powrócił doń, rodząc się ponownie w jego własnym domu.

Rajczaran miał na to aż nadto niewzruszalnych dowodów.

Po pierwsze: syn jego przyszedł na świat, jak tylko mógł najprędzej po śmierci synka Anukula...

Po drugie: żona Rajczarana nie mogła chyba wykazać się tak wielką ilością cnót i zasług, by jej miał być udzielony dar urodzenia syna w późniejszych już latach życia...

Po trzecie: syn jego łąził, chodził, mówił *baba* i *mama*, a ponadto zupełnie takie same wykazywał cechy sprytu i przebiegłości, godne sędziego, jak tamten... tamten malec.

Nagle przypomniał sobie straszliwe oskarżenie żony swego pana.

— Ach! — zawołał. — Serce matki nie myli się! Wiedziała dobrze, że jej ukradł dziecko!

Skoro już przyszedł raz do tego wniosku, uczuł niezgłębioną skruchę i zapragnął wynagrodzić zaniedbanie, w jakim żył dotychczas malec. Od tej pory duszą i ciałem oddał się na jego usługi i stał się najczulszym piastunem. Zaczął wychowywać dziecko, jakby to był syn zamożnych rodziców. Sprawił mu wózek z dwoma dyszelkami, żółtą atlasową sukienkę, szamerowaną złotem czapczkę. Stopił pozostałe po żonie ozdoby złote i zrobił mu obrączki na ręce i nogi, poza tym nie dopuszczał, by malec bawił się z dziećmi sąsiadów i sam niańczył go od rana do nocy.

Gdy dziecko wyrosło na chłopca, był on niesłuchanie rozpieszczony i grymaśny, a chodził ubrany tak wspaniale, iż dzieci całej wioski tytułowały go Jego Dostojność.

Kpiono sobie zeń ogólnie, a ojca uważano za wariata, o ile szło o syna.

Nadszedł czas nauki szkolnej. Rajczaran sprzedał swą niewielką posiadłość i udał się z chłopcem do Kalkuty. Tam udało mu się z trudem niemałym dostać miejsce służącego, a Failna zaczął chodzić do szkoły. Ojciec nie skąpił niczego, by dać mu jak najlepsze wykształcenie, ubranie i pokarmy. Sam zaś żył byle czym, garstką ryżu lub ziemniakami.

Był nad wyraz szczęśliwy i powtarzał sobie ciągle:

— Drogi mój panie! Kochasz mnie tak bardzo, iż z miłości raczyłeś przyjść na świat w ubogim domku twego *Czanny*. Przysięgam, że nie odmówię ci niczego i nie doznasz braku.

Minęło lat dwanaście. Chłopiec umiał już doskonale pisać i czytać. Był wesoły, zdrów i piękny. Wielką wagę przykładął do zewnętrznego wyglądu, zwłaszcza z nieopisaną starannością robił sobie rozdział⁸ pośrodku głowy. Miał pewną skłonność do rozrzutności i zamiłowanie do wykwintu, wydawał też pieniądze wedle fantazji.

Nigdy nie mógł jakoś uznać Rajczarana za swego ojca, a stało się to z powodu, iż Rajczaran zachowywał się wobec niego jak sługa przywiązany po ojcowsku do swego pana. Rajczaran ukrywał zresztą sam starannie wobec wszystkich, że Failna jest jego synem.

Uczniowie zakładu naukowego, do którego chłopiec uczęszczał, pokpiwali sobie nieraz z wieśniaczych manier Rajczarana i przyznać trzeba, że Failna sam brał żywy udział w tych żarcikach, ile razy ojciec był nieobecny.

Ale w gruncie rzeczy wszyscy uczniowie lubili dobrodusznego, tkliwego staruszka, a Failna kochał go nawet. Tylko przywiązanie to miało pewną cechę pobłażliwej laskawości.

Rajczaran starał się coraz to więcej, a pan jego był coraz mniej zadowolony z jego pracy. Nie mógł nań wprost patrzeć. A działo się to w znacznej mierze z winy samego *Czanny*, gdyż dobrowolnie przez całe lata cierpiał niedostatek, a przeto podupał na siłach i nie mógł należycie pełnić swych obowiązków. Stał się prawie nieużyteczny, zapominał o najważniejszych rzeczach, a rozum jego otepiał i przygasł. Tymczasem chlebobdawca był surowy, wymagał pracy wydajnej, sumiennej i nie chciał słuchać żadnych usprawiedliwień.

Pieniądze uzyskane ze sprzedaży posiadłości rozeszły się doszczętnie. Młodzieniec zaczął narzekać, żądał ciągle nowej odzieży i znaczniejszych kwot na wydatki osobiste.

III

Rajczaran powziął postanowienie. Porzucił swą posadę, zostawił Failnie pieniądze, jakie posiadał, i rzekł:

— Mam parę spraw załatwić na wsi. Idę i wrócę niedługo.

Udał się, jak mógł najspieszniej, do Barasatu, gdzie urzędował Anukul jako sędzia. Żona Anukula nie przeboleła dotąd straty. Smutna była ciągle tym więcej, że nie miała drugiego dziecka.

Pewnego dnia Anukul wypoczywał w podwórzu domu swego po trudach pracownego dnia. Żona jego kupiła właśnie przed chwilą za drogie pieniądze od wędrownego

⁸rozdział — tu: przedziałek. [przypis edytorski]

wykpigrosza jakieś ziele, które miało niewątpliwie spowodować przyjsie na świat syna. Nagle Anukul posłyszał, iż go ktoś wita. Wstał i wyszedł zobaczyć, kto przybył. Spozrzegł Rajczarana, a serce jego zmięкло jak wosk na widok starego wiernego sługi.

Zaczął go rozpytywać o różne rzeczy i prosił, by został w jego domu na zawsze.

Rajczaran uśmiechnął się z lekka i powiedział:

— Chciałbym pokłonić się pani, żonie Waszej Dostojności.

Anukul udał się wraz z Rajczaranem do komnaty, gdzie żona powitała starca z dużo mniejszą niż mąż jej serdecznością. Rajczaran nie zwrócił na to żadnej uwagi, skrzyżował na piersiach ręce i powiedział:

— To nie Padma zabrała wam syna, o pani! Jam go skradł!

— Boże Wielki! Co słyszę? Czyż to możliwe? Gdzież on jest? — zawołał Anukul.

— Jest u mnie. Pojutrze go przyprowadzę.

Była nazajutrz niedziela. Nie odbywały się rozprawy sądowe. Małżonkowie od rana patrzyli z utęsknieniem w ulicę, nie mogąc doczekać się Rajczarana. Przybył około dziesiątej, prowadząc za rękę Failnę.

Żona Anukula, nie pytając o nic, wzięła chłopca na kolana, płakała, to znów śmiała się z radości, dotykała jego twarzy, całowała włosy, czoło i wpijała się węń chciwymi, głodnymi oczyma. Chłopak wyglądał zdrowo i ubrany był jak pańskie dziecko.

Serce Anukula wzbierało miłością i rozrzewnieniem. Mimo to ozwał się w nim człowiek prawa i spytał:

— A czy masz, Rajczaranie, jakoweś dowody, że to moje dziecko?

Rajczaran cofnął się i powiedział prędko:

— Jakież mogą być dowody na czyn taki? Bóg sam jeden wie tylko, żem skradł syna twego, panie, poza tym nikt na świecie!

Anukul spojrzął na żonę i widząc, z jak dzikim wprost upojeniem trzyma chłopca w objęciach, pojął, że nie należy pytać o dowody. Mądrzejszą było rzeczą — uwierzyć na słowo. Zresztą skądże mógł wziąć człowiek tak stary jak Rajczaran takiego syna? I dla-czegóż miałby go okłamywać stary wierny sługa, bez żadnej dla siebie zresztą korzyści? Uczynił przeto postanowienie, ale dodał surowo:

— Rajczaranie, nie możesz pozostać w tym domu!

— A dokądże pójde, o panie? — spytał Rajczaran zdławionym głosem i złożył błagalnie ręce. — Wszakże jestem starcem. Któż mnie weźmie do służby?

Żona Anukula odezwała się:

— Niech zostanie. Chłopak mój będzie zadowolony. Ja mu przebaczam!

Ale sędziowskie sumienie Anukula nie mogło się z tym pogodzić.

— Nie! — odpowiedział. — Tej zbrodni nie można mu przebaczyć. Sprzeciwia się to zasadom sprawiedliwości.

Rajczaran rzucił się na ziemię i objął nogi Anukula.

— Panie! — zawołał. — Pozwól mi pozostać! To nie ja! To Bóg ukradł twe dziecko!

Kiedy Anukul usłyszał, że Rajczaran składa swą winę na Boga, uczył w sumieniu swym jeszcze większe oburzenie i odrzekł:

— Nie! Nie mogę na to zezwolić! Nie mógłbym ci odtąd w niczym zaufać. Popełniłeś zdradę!

Rajczaran wstał z ziemi i powiedział:

— Powtarzam, nie ja to uczyniłem!

— Więc któż? — spytał Anukul.

A Rajczaran rzekł:

— Mój los!

Żaden wykształcony człowiek nie mógł się zgodzić na takie wyjaśnienie, przeto Anukul pozostał nieugięty.

Failna dowiedziawszy się, że jest synem bogatego sędziego, nie zaś biednego Rajczarana, zawrzał zrazu gniewem, gdyż uczył się pokrzywdzony, pozbawiony swych praw rodowych przez długie lata. Widząc jednak niedolę Rajczarana, powiedział do nowego ojca wspaniałomyślnie:

— Przebac mu, ojczcie! Jeśli mu nie pozwolisz mieszkać w naszym domu, to bądź tak dobry i wyznacz mu jakąś miesięczną rentę! Jest biedny i stary!

Los

Rajczaran usłyszawszy te słowa, zamilkł. Po raz ostatni spojrzął na syna, skłonił się dawnym chlebobdawcom nisko, a potem wyszedł i znikł w nieprzeliczonym tłumie zaludniającym ten świat.

Przy końcu miesiąca posłał Anukul trochę pieniędzy do wsi rodzinnej starego sługi. Ale zwrócono mu tę kwotę. Nie było we wsi nikogo imieniem Rajczaran.

Kapłanka⁹ Wisznu

I

Onego czasu, gdy wstręt do mojej osoby osiągnął u pewnej liczby czytelników swój świetny punkt kulminacyjny... onego czasu, gdy nazwisko moje pojawiało się tak często w dziennikach przybrane w laurowy wieniec klątw i wymyślań przebujnych... onego czasu uczulem potrzebę skrycia się w jakiś cichy zakątek, gdzie mógłbym przestać zawadzać ludziom... ba, nawet własnego zapomnieć istnienia.

Posiadam niewielki domek na wsi pod Kalkutą, o kilka mil od miasta, i tam mogę sobie siedzieć spokojnie jak mysz w dziurze. Mieszkańcy miejscowi nie znają mnie prawie, a w każdym razie nie mają o mnie wyrobionej opinii. Wiedzą, że nie jestem zwyczajnym bezmózgim letnikiem ani łowcą przyjemności postronnych, albowiem nie kalam nigdy ciszy nocy wiejskiej hałaśliwością miasta. Nie uważają mnie też za ascetę, bo te drobne fakty z mego życia, jakie pochwytały, świadczą, że mam zamiłowanie do pewnych wygód. Nie biorą mnie za wędrownika czy badacza, gdyż, mimo że jestem z natury włośczęgą, wałęsam się po polach zupełnie bez celu. Nie są nawet pewni, czym kawaler, czyli też żonaty, gdyż nie widzieli mnie nigdy z dziećmi. Nie mogąc tedy sklasyfikować mnie w żaden sposób, nie mogąc stanowczo przydzielić ani do fauny, ani do flory, zostawili dziwaka w spokoju i dobrze mi z tym.

W ostatnim dopiero czasie dowiedziałem się, że istnieje we wsi stwora ludzka, która żywo się mną interesuje. Poznajomiliśmy się pewnego parnego lipcowego popołudnia. Od rana padał deszcz i powietrze mokre było jeszcze i ciężkie od mgły, niby powieki po długim płaczu.

Siedziałem rozleniwiony i patrzyłem bezmyślnie na łaciatą krowę pasącą się na przeciwległym brzegu rzeki. Słońce złoćło przecudnie jej mokrą sierść. Przyszło mi na myśl pytanie, czemu ludzie z tak wielkim nakładem kapitału otwierają fabryki ubrań? Przecież pozbawiają się przez to nieźrównanej ozdoby, ukrywając się przed słońcem i jego promieniami.

Zatopiony w tych i innych jeszcze rozważaniach, płynących mi leniwo przez głowę, nie wiedziałem, co się wokoło dzieje, zdziwiłem się tedy bardzo, ujrzawszy przed sobą kobietę w średnim wieku.

Rzuciła się na kolana i dotknęła czołem podłogi. Miała pouczepiane do odzienia małe bukietki. Odpięła jeden i podała mi w splecionych modlitewnie dłoniach, mówiąc:

— Oto ofiara dla Boga mego!

Potem szybko wstała i wyszła. Słyszac te słowa, uczulem się tak przelęknionym, że zaledwo pobieżnie ogarnąłem ją spojrzeniem i, gdy wyszła, nie wiedziałem doprawdy, jak wygląda.

Całe zdarzenie było bardzo proste, ale pozostawiło mi jakieś dziwne wrażenie, przepełniło mnie jakimś nowym odczuciem faktów. Spojrzałem znowu na łaciatą krowę. Młaskając językiem, gryzła soczystą trawę i oganiała się od much. Wydała mi się teraz czymś głębokim i tajemniczym. Czytelnikom pozwalam wybuchnąć zdrowym, głupkowskim śmiechem, ale wyznaję, że serce me wezbrało modlitewnym uwielbieniem. Życie i użycie życia stało mi się adoracją Boga. Zerwałem kilka gałęzi z drzewa mangowego, udałem się na przeciwległy brzeg i podałem krowie wonną, przepojoną rosą strawę. Czyniac to, miałem wrażenie, że składam ofiarę bogom życia.

Sława

Tajemnica

Pobożność

⁹kapłanka — w wersji ang. *devotee*, tj. gorliwa wyznawczyni, głosicielka. [przypis edytorski]

W następnym roku (czytelnicy w dalszym ciągu zaszczycali mnie swą pogardą) wróciłem do mego domku. Było jeszcze zimno, jak zawsze pod koniec lutego. Poranne słońce zazierało do mych okien. Byłem mu wdzięczny za dar ciepła. Pisałem właśnie, gdy służący zawiadomił mnie, iż kapłanka Wisznu pragnie ze mną pomówić. Z roztargnieniem powiedziałem: „Niech przyjdzie”, i pisałem dalej.

Przyszła, skłoniła się nisko, dotykając mych stóp, a ja poznałem w niej od razu kobietę widzianą przelotnie w zeszłym roku. Teraz mogłem się jej lepiej przyjrzeć. Przekroczyła już wiek, w którym kobieta może być piękna lub brzydka.

Wysoka, rosła, barczysta, trzymała się nieco pochyło, zapewne skutkiem ciągłych niskich pokłonów. Ale zachowanie jej nie nosiło cechy trwożliwości czy uniżenia. Najbardziej uderzały oczy. Zdało mi się, że mają władzę patrzenia wskroś dali niezmiernej, że zbliżają rzeczy odległe, a obejmują rozproszone szczegóły pobliza.

Gdy weszła i spojrzała, uczułem jakby pchnięcie.

— Cóż to znaczy? — spytała. — Czemuś mnie zawezwał tutaj przed tron twój, o Boże? Widywałam cię zazwyczaj pośród drzew i to było lepsze. Tam winniśmy się byli spotkać.

Zapewne widziała mnie w ogrodzie, a ja jej nie dostrzegłem. W ostatnich dniach cierpiałem na katar i nie wydaląłem się z domu. Składałem hołd zachodzącemu słońcu z tarasu willi. Po krótkim milczeniu powiedziała:

— O, Boże mój, daj mi kilka dobrych słów!

Zaskoczony tym niespodzianym żądaniem odparłem bez namysłu, zupełnie bezwiednie:

— Nie daję słów dobrych ani nie przyjmuję ich. Otwieram tylko oczy i milczę. A wówczas wszystko widzę i słyszę, nawet w zupełnej ciszy. Kiedy na ciebie patrzę, jest tak, jakbym cię słyszał.

Popadła w jakieś dziwne wzburzenie, słuchając słów moich i wykrzyknęła:

— Bóg mówi do mnie, nie tylko usty¹⁰, ale całym ciałem swoim.

Powiedziałem:

— Gdy milczę, słyszę całym ciałem. Przybyłem umyślnie z Kalkuty, by usłyszeć ten dźwięk.

— Wiem o tym! — odparła żywo. — Dlatego też przyszłam do ciebie!

Zaczęła mnie żegnać. Pochyliła się nisko i dotknęła rękami stóp moich. Uczułem, że drgnęła nerwowo, spostrzegłszy, iż mam trzewiki. Sądziła że nogi moje są bose.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyszedłem z pokoju i usiadłem na tarasie płaskiego dachu willi. Poprzez linię drzew od południa widziałem całą okolicę, roztocz pól pustych jeszcze i objętych snem. Słońce wynurzało się po stronie wschodniej z zakrzewia trzciny cukrowej, tuż obok, wpół ukryta w kępie drzew rysowała się wieś. Z gąszczu ciemnego drzew onych wystrzelała z nagłą drogą, wiła się wśród pól, gdzieś ku wsi sąsiedniej, zatracając się na kraju widnokregu we mgle porannej.

Trudno było określić, czy słońce już weszło, czy nie, bowiem ciężki, nieprzejrzysty opar zwiślał w koronach drzew. Ujrzałem kapłankę. Szła przez omgle, podobna ciemnemu ruchliwemu punktowi. Domyśliłem się raczej, że to ona. Śpiewała pieśń pochwalną, pobrzękując na cymbałach.

Po jakimś czasie uniosła się mgła czy też opadła i słońce, niby patriarcha wsi, rozsiadło się powyż dachów, poglądając na codzienny skrzący pracy ludzkiej po domach i w polu.

Siedziałem przy biurku, chcąc zaspokoić pożądlivość mego nakładcy w Kalkucie, nagle jednak posłyszałem odgłos kroków na schodach i weszła kapłanka, nucąc z cicha jakąś pieśń. Podniosłem głowę znad papieru.

Powiedziała:

— Boże mój! Wczoraj spożyłam coś niecoś z wieczerzy twej jako święty dar.

Przeraziłem się i spytałem, jak się to stać mogło.

— O — powiedziała — to rzecz prosta! Siedziałeś przy stole, ja zaś stałam u drzwi kuchni. Gdy ci niesiono potrawy, wzięłam kilka kąsków.

¹⁰usty — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

Było to dla mnie niezbyt miłą niespodzianką, gdyż wszyscy w całej wsi wiedzieli, że byłem w Europie i jadłem z Europejczykami. Nie porzuciłem oczywiście jarstwa¹¹, ale prawowierności mego kucharza nie należało poddawać zbyt bystrej analizie, a ortodoksi uważali potrawy me wprost za nieczyste.

Spostrzegłszy me zdziwienie i niepokój, rzekła:

— Boże mój! Po cóż przychodziłabym do ciebie, gdybym nie mogła jeść stawy twojej?

Spytałem, co na to mówią ludzie jej własnej kasty. Oświadczyła, że sama rozniosła wieść po całej wsi, a nawet sąsiednich. Ludzie pobożni zrazu trzęśli głowami, ale potem przyznali, że tak czynić powinna, gdyż to jest jej droga życia.

Dowiedziałem się, że pochodzi z dobrej rodziny, że matka jej była zamożna i chciała, by córka pozostała w domu. Ale ona sama obrała dołą żebrać. Spytałem, w jaki sposób żyje i czy coś posiada.

Opowiedziała mi wszystko. Rodzina dała jej kawał pola, ale ona woli żebrać o strawę od drzwi do drzwi.

— Chleb użebrany to boski dar! — rzekła.

Podumałem chwilę nad jej słowami i zrozumiałem, co miała na myśli. Gdy otrzymamy kawałek chleba od bliźnich jako jałmużnę, zwracamy myśl naszą ku Bogu, dawcy wszystkiego. Jeżeli natomiast jedzenie dostaje nam się z domu, codziennie i regularnie, zatracamy tę świadomość i przepajamy się urojeniem, jakoby to była rzecz naturalna, jakoby to było naszym prawem.

Miałem wielką ochotę zapytać o jej męża, ale nie uczyniłem tego, albowiem sama dotąd nie wspominała o tym nawet pośrednio.

Przekonałem się rychło, że kapłanka niewielki czuła respekt dla owej części wsi, gdzie mieszkali ludzie kast wyższych.

— Nigdy nie dadzą nic ku chwale Boga, mimo że posiadają największy udział w jego darach. Biedni natomiast chwalą Boga, żyją przykładnie i tak też umierają.

Spytałem, dlaczego nie idzie do owych bezbożnych ludzi i nie stara się nawrócić ich na dobrą drogę?

— Byłaby to najwyższa forma służenia Bogu! — dodałem z uroczystym namaszczeniem.

Sam słyszałem od czasu do czasu tego rodzaju nauki i uważałem zawsze za wskazane powtarzać je ku zbudowaniu słuchaczy.

Ale słowa moje niewielkie uczyniły wrażenie na kobiecie. Podniosła na mnie wielkie okrągłe oczy i rzekła:

— Powiadasz tak: Bóg jest z grzesznikami, przeto jeśli im uczynisz coś dobrego, czynisz dobrze Bogu? Czy to myślałeś?

— Tak... to właśnie chciałem powiedzieć.

— Rozumiem! — odparła niemal porywczo. — Rozumiem... Bóg jest niewątpliwie z grzesznikami, jakżeby inaczej zresztą mogli żyć! Ale to dla mnie jest niczym... mego Boga tam nie ma! Mego Boga wśród grzeszników czcić nie mogę, gdyż go tam nie znajduję. Szukam go tam, gdzie wiem, iż jest!

Mówiąc to, skłoniła się przede mną głęboko. Wiedziałem, co miała na myśli, oto sama nauka o wszechobecności Boga nie zda się na nic. Prawda, iż Bóg przenika wszystko stworzenie, ale jest abstrakcją i dlatego oddziaływać na nas nie może. Nie czujemy jej sercem. Natomiast istność Boga odczuta we własnej duszy to jest dopiero prawdziwa rzecz żywa.

Nie wiem, czy mam objaśniać czytelnikom, że hołd, jaki mi oddawała, nie odnosił się wcale do mnie. Nie mam prawa zbyt wysoko stawiać mych czytelników, przeto powiem wyraźnie: kapłanka, zasypując moją osobę oznakami czci, zgoła nie uwzględniała przy tym mej indywidualności ludzkiej. Byłem jej tylko narzędziem czci Boga, czymś w rodzaju żywego ołtarza. Toteż zgoła nie było moją rzeczą przyjmować hołdy czy je odrzucać. Nie składał ich nikt mnie, jeno samemu Bogu. Teraz, zdaje mi się, drodzy państwo, znacie pierwszą literę alfabetu... a może i nie znacie jej...

Gdy kapłanka znów się pojawiła, byłem zagłębiony jak zawsze w pisanium.

¹¹jarstwo (daw.) — wegetarianizm. [przypis edytorski]

— Biedaku! — rzekła mi. — Cóż za straszne popełniłeś zbrodnie, że Bóg mój obarczył cię takim brzemieniem pokuty. Ile razy przyjdę, zawsze piszesz lub czytasz.

— Bóg łaskawy jest i daje swym dzieciom, które na nic się przydać nie mogą, zajęcie, gdyż inaczej wkroczyłyby na ścieżkę grzechu. Muszą one czynić różne zgoła niepotrzebne rzeczy, które chronią je od złego.

Tak jej powiedziałem, a kapłanka oświadczyła, że znieść nie może owych zapór, jakie mnie od niej ciągle przedzielają. Ile razy chce mnie widzieć, musi przełamywać opór służby, która nie pozwala jej iść wprost do mej pracowni. Ile razy chce dotknąć nabożnie stóp moich, zawsze natrafia na trzewiki, a kiedy ze mną rozmawiać pragnie, dusza ma błąka się wśród dzikiego ostępu wykształcenia.

Nim odeszła, złożyła ręce i powiedziała:

— Boże mój! Dziś rano czułam nogi twe w piersiach moich. O, jakże były chłodne! I nie miały na sobie trzewików, ale były bose, jak przystało. Długo trzymałam je w nabożnym skupieniu na głowie mojej. Odczułam swą prawdziwą istotę. Toteż nie było już po tym po co przychodzić do ciebie. Ale wpadło mi do głowy, że może to było jeno złudzenie, dlatego przybyłam.

Na stole stał wazon z kwiatami. Podczas jej obecności ogrodnik przyniósł świeże kwiaty, a zabrał zwiędłe. Kapłanka patrzyła na to, co czynił, i nagle spytała:

— I to ma być koniec? Chcesz wyrzucić te kwiaty? Daj mi je lepiej!

Wzięła kwiaty w dłonie złożone w kształt czary, a dzierząc je z wielką troskliwością, pochyliła głowę i wpatrywała się w nadwędłe rośliny. Po chwili podniosła oczy i powiedziała:

— Kwiaty twe więdną, gdyż nigdy na nie nie patrzysz. Gdybyś spozierał na nie często, rzuciłbyś niebawem całą swoją pisaninę i książki.

Zawinęła bukiet w skraj sukni, położyła go sobie na głowie gestem nabożnej czci i powiedziała z szacunkiem:

— Pozwól, bym zabrała Boga mego z sobą.

Patrząc na to, co czyni, uświadomiłem sobie, że kwiaty w mieszkaniach naszych nie doznają należytej sobie pieczy. Za mało je kochamy i niemal nie patrzymy na nie. Wkładamy je do wazonów i tkwią w nich niby grupa nieposłusznych uczniów stojących rzędem w ławce, czekających wymiaru kary.

Kapłanka przysła tegoż jeszcze wieczoru i usiadła u stóp moich, na płaskim tarasie dachu.

Mówiła:

— Rozdałam ludziom kwiaty. Chodząc od drzwi do drzwi dawałam każdemu po trochu i śpiewałam ku chwale Boga. Beni, naczelnik wsi naszej, śmiał się ze mnie i z mojego szacunku dla ciebie. Powiedział: „Czemuż marnujesz dlań tyle hołdów? Czyż nie wiesz, że w całej okolicy wszyscy go lają i złe mają o nim wyobrażenie!”. Czy to prawda, Boże mój? Czy naprawdę są oni niedobrzy dla ciebie?

Zadrzałem całym ciałem. Przeraziłem się naprawdę. Więc plama farby drukarskiej może przybrać tak ogromne rozmiary?

Kapłanka ciągnęła dalej:

— Beni ubzdurał sobie, że może jednym dmuchnięciem zagasić płomyk mej czci. Ale to nie mały płomyk, to wielkie, potężne ognisko. Powiedz mi, o Boże mój, czemu oni bluźnią tobie?

Odrzekłem:

— Zasluguję na to. Z wielką żądzą rozglądam się wokoło i czyham na ludzkie serca, by je skraść.

— Sam widzisz dobrze — powiedziała — jak mało warte są te serca. Pełne trucizny! To powinno cię uleczyć z twej żądz.

— Człowiek, w którego duszy zapanowała żądza, ciągle jest wystawiony na możliwość poniesienia klęski. Żądza owa sama dostarcza zabójczej trucizny wrogom jego!

Tak rzekłem, ale kapłanka pospieszyła z odpowiedzią:

— Bóg jest miłosierny. Biję nas własną dłonią naszą i wypędza z serc naszych truciznę. Kto zdzierży wytrzymać cierpliwie uderzenia Boga, będzie uratowany!

Chciwość, Pożądanie,
Klęska, Miłosierdzie

II

Onego wieczoru opowiedziała mi historię swego życia. Gwiazdy wschodziły, zachodziły, jawiły się nowe, a ona opowiadała wszystko, aż do końca:

— Mąż mój był człowiekiem prostym. Ludzie uważali go nawet za głuptaka, ale ja wiem: ci, którzy czują i myślą po prostu, patrzą samej prawdzie w oblicze. Zawiadywał on doskonale domem i prowadził interesy jak należy. Potrzeby jego zawsze były małe, pragnień dalekich nie żywił nigdy, przeto gospodarował oszczędnie i był zadowolony z tego, co posiadał. Nie mieszał się w sprawy innych ani też nie starał się zrozumieć czynów ani pożądań bliźnich swych.

Rodzice męża mego zmarli jeszcze przed naszymi zaślubinami i zostaliśmy sami na świecie. Wstyd mi wyznać, ale mąż mój zawsze czuł dla mnie pewien rodzaj czci i uznawał mnie za istotę wyższą od siebie samego. Ja zaś pewna jestem, że głębiej niż ja wnikał w istotę rzeczy, mimo że ja umiałam się lepiej wysłowić.

Najwyższy szacunek, jakim można obdarzyć ludzką istotę, żywił mąż mój dla swego Guru-Thakura (duchowego przewodnika), i to nie tylko szacunek, ale nawet miłość. A miłość taka, do jakiej zdolny był mąż mój, nieczęsto jawi się na świecie.

Guru-Thakur był młodszy od mego męża. O, jakże był piękny!

Mąż bawił się z nim w latach chłopięcych i od tego czasu oddał się duszą i ciałem przyjacielowi młodości. Guru-Thakur wiedział, jak prostodusznym jest mąż mój, przeto stroił zeń żarciki, dokuczał mu po trochu i wykpiwał go.

Czynili to także inni towarzysze zabaw i bawili się doskonale. Ale mąż znosił wszystko z niewysłowioną cierpliwością.

W czasie kiedy weszłam w progi męża jako żona jego, Guru-Thakur bawił w Benares, gdzie pobierał nauki. Mąż mój pokrywał wszystkie koszta. Miałam lat osiemnaście, gdy Guru-Thakur wrócił do naszej wioski.

W piętnastym roku życia zostałam matką. Ale byłam za młoda, nie umiałam pielęgnować dziecka. Lubiłam pogawkę z sąsiadkami i często całymi godzinami paplałam po ulicach, a nawet wpadałam w złość wielką, ile razy dziecko zmuszało mnie do pozostania w domu, by się nim zaopiekować.

Ach, mój Bóg-dziecko zjawił się na ścieżce życia mego, ale zabawki nie były dlań przygotowane. Zapukał do serca matki, nie otwarło się... milczało. Odszedł tedy ode mnie zagniewany, a ja od tej pory szukam mego Boga po całym świecie, wałęsając się boleśnie.

Malec stał się radością życia ojca swego. Mąż cierpiał bardzo z powodu mojej beztroskiej lekkomyślności. Ale dusza jego była cicha i nie umiał wysłowić bólu swego.

Dziwna rzecz, ale mimo iż zaniedbywałam dziecko ciągle, malec kochał mnie jak nikogo na świecie. Wydawało się, iż ciągle się boi, że go opuszczę i pójdę gdzieś daleko. Nawet wówczas, gdym była przy nim, co chwila spoglądał na mnie, ustawicznie śledził spojrzeniem każdy mój ruch. Może dlatego właśnie, że nieczęsto widywał mnie, w tak gwałtowny sposób objawiał pragnienie przebywania w moim pobliżu.

Ile razy udawałam się nad rzekę, a czyniłam to codziennie, stawał się niespokojny, wyciągał swe drobne rączyny i wołał, by go zabrać z sobą. Ale kąpiel była dla mnie wielką uciechą, nad rzeką spotykałam się z przyjaciółkami, toteż za nic w świecie nie chciałam się obarczać dzieckiem.

Był wczesny ranek sierpniowy. Przez cały dzień poprzedni zwiślały na całym niebie ciężkie, mokre chmury. Kazałam służącej uważać na malca, a sama udałam się do kąpieli. Dzieciak płakał, widząc, że odchodzę, ale nie zwracałam na to uwagi. Nie zastałam nikogo jeszcze nad rzeką. Byłam najlepszą pływaczką w całej wsi. Rzeka silnie wezbrała skutkiem ciągłych deszczów. Wypłynęłam daleko, aż na sam środek, na znaczną odległość od brzegu.

Naraz posłyszałam wołanie: „Mamo! mamo!”. Obróciłam głowę i ujrzałam mego malca. Biegł pospiesznie ku wodzie i wołał mnie ciągle. Krzyknęłam, by zaczekał, ale on biegł dalej, śmiejąc się i pokrzykując.

Nogi i ręce zesztyniały mi z przerażenia. Zamknęłam mimo woli oczy, by nie widzieć, co się stanie. Gdym otwarła powieki, wołanie i śmiech mego malca zamilkły na zawsze.

Matka, Miłość niespełniona

Przypłynęłam do brzegu, wyłowilałam z wody ciało uniesione prądem o znaczny kawał w dół i wzięłam w ramiona mego drogiego malca, który mnie tyle razy prosił daremnie, bym go z sobą zabrała. Zabrałam go teraz, ale nie patrzył mi już w oczy i nie wołał: „Mamo!”.

Zjawił mi się Bóg w postaci dziecka. Ale zaniedbałam go. Płakał ciągle z mej winy. Teraz wszystkie owe grzechy zwały się na moją duszę straszliwym brzemieniem. Gdy malec mój był ze mną, zostawiałam go samego. Kiedy zmarł, wspomnienie jego uczepiło się mnie, otoczyło niby ciężki łańcuch i kajdan owych zrzucić nie zdołam już nigdy.

Bóg sam jeden wie, ile wycierpiał mąż mój. Ach, czemuż nie ukarał mnie za zbrodnię okropną? Byłoby lepiej dla nas obojga. On jednak umiał jeno trwać w cichym bólu i znosić ciosy z przerażającą cierpliwością świętego.

Szalałam z rozpaczy, gdy wrócił do wsi Guru-Thakur. Dawniej łączył z nim męża mego stosunek młodocianej przyjaźni i miłości. Teraz cześć, jaką mąż zaczął mu okazywać, nie miała wprost granic. Nie śmiał w jego obecności przemówić słowa, nie śmiał, zda się, odetchnąć przejęty uwielbieniem dla świętobliwości i wiedzy Guru-Thakura.

Uprosił znakomitego męża, by mi dodał nieco otuchy i wlał trochę pociechy w duszę. Guru-Thakur począł mi czytać i objaśniać święte księgi. Ale nie wywierały one na mnie żadnego większego wrażenia. Cała wartość ich leżała dla mnie w głosie nauczyciela, który chwyciłam chciwie. Bóg używa melodii głosu ludzkiego za środek przepojenia duszy cudnym napojem zaziemskiej prawdy. Nie posiada nic lepszego i sam pije z tej samej czary... tak mówi Pismo.

Miłość i cześć męża dla Guru-Thakura, niby obłok kadzidlany, napełniła dom nasz świątynnym aromatem. Okazywałam mu tę samą cześć i uzyskiwałam spokój. Widziałam teraz Boga mego w jego postaci. Przychodził każdego ranka i zostawał na obiedzie. Pierwszą moją myślą, gdym wstała, było przyrządzenie dlań posiłku, który wydawał mi się niebiańskim darem Boga. Palce moje śpiewały, krzątając się koło potraw, jakie dlań obmyślałam.

Kiedy mąż zauważył, jaką cześć powzięłam dla naszego mistrza, szacunek jego dla mnie zwiększył się jeszcze. Przy tym Guru ze swej strony objawiał coraz większy zapał w objaśnianiu mi świętych ksiąg. Tedy mąż nabrał przekonania, że, sam będąc niepodatnym z powodu swej naiwności do wyższej duchowej wiedzy, zdoła osiągnąć dla mnie wtajemniczenie w wielkie prawdy boskie.

Minęło pięć lat w ciszy i nauce, a całe dalsze długie życie moje mogłoby się było tak przesnuć. Atoli pod powierzchnią, w niedostrzegalnej głębi, działo się coś tajemnego. Nie mogłam tego odkryć. Odkrył to Bóg mego serca. Nadszedł dzień, w którym całe życie nasze przewróciło się, niby rola pod lemieszem pługa losu, i wyszło na wierzch, co było ukryte na dnie.

Był skwarny letni ranek. Wyszędłszy po kąpeli z wody, szłam w mokrych sukniach ku domowi cienistą aleją. Na skrócie drogi pod drzewem mangowym spotkałam Guru-Thakura. Szedł do kąpeli z ręcznikiem przewieszonym przez ramię i deklamował sanskryckie wiersze. Szaty przepojone wodą przyłgnęły mi ściśle do ciała, czując się tedy naga, nie śmiałam mu się pokazywać na oczy i usiłowałam przemknąć niepostrzeżenie zaroślami. Ale spostrzegł mnie i zawołał po imieniu.

Stanęłam, drżąc cała, spuściłam oczy i czułam, że lecę w jakąś przepaść. Skierował na mnie oczy i rzekł po chwili: „O jakże piękne jest ciało twoje!”.

Wydało mi się, że ponad głową moją rozbrzmiał chór ptaszęcych głosów w koronie manga skrytych. Wszystkie krzaki brzeżące drogę rozplomieniły się żarem purpurowego kwiecica. Niebo i ziemia, i wszystko wokół zawiroowało w jakimś szaleńczym tanie wesela.

Nie wiem, jak doszłam do domu. Wiem tylko, że wpadłam do komnaty, gdzie oddajemy cześć Bogu. Ale pustkę znalazłam, pustkę niezmierną. Nie było się do kogo modlić. Patrzyłam przerażona, a przed oczyma latały mi krążki świetlne, jakie siały się poprzez gałęzie drzew w onej alei, kędy wracałam z kąpeli.

Guru-Thakur przybył dnia tego jak zawsze przed obiadem i pytał męża, gdzie jestem. Szukał mnie wszędzie, ale nie mógł znaleźć.

Ziemia mi się odmieniła pod nogami, niebo nad głową, słońce przybrało dziwne... dziwne oblicze! Wzywałam w przestrachu Boga mego... ale odwrócił się ode mnie.

Nie wiem, jak minął ów dzień. Wiedziałam, że muszę w nocy spotkać się z mężem. Ale noc ciemna i cicha to czas, kiedy dusza męża mego wynurza się z oświetła dziennego i wstępuje na czarne niebo jak gwiazda. Słyszałam nieraz słowa, które zdumiewały mnie głębią swoją, potęgą wiedzy i poznania.

Nieraz zajęta pracą późno wracałam do sypialni. Zawsze mąż czekał na mnie, siedząc na ziemi i rozmawialiśmy przez chwilę, nawiązując zazwyczaj do ostatnich nauk Guru-Thakura.

Gdy tej nocy weszła do komnaty — nieco po północy — ujrzałam, że śpi, leżąc na podłodze. Nie budząc go, położyłam się cicho, zwrócona twarzą do stóp jego. Po jakimś czasie uczułam kopnięcie nogą w piersi. To był wyrok.

Gdy nazajutrz zbudził się mąż, siedziałam przy nim. Pierwszy przebrzask świtu, siejąc się poprzez gęstwę stojącego wprost okna chlebowego drzewa, okrył szafirową posową wnętrze sypialni. Było tak wcześnie, że wrony spały w gniazdach, nie rozpoczynając krakania.

Pochyliłam się do jego stóp i dotknęłam ich czołem. Usiadł osmutniały, jakby żałował marzenia sennego, które uleciało wraz z przebudzeniem, i spojrział niepewnym wzrokiem w mą twarz.

Zaczęłam mówić:

„Powzięłam postanowienie. Muszę porzucić świat. Nie mogę być dłużej twoją. Muszę iść precz z twego domu!”

Zdawało mu się zapewne, że śni jeszcze, gdyż nie wyrzekł słowa.

„Wysłuchaj mnie!” — błagałam. — „Zrozum mnie! Pojmij inną żonę! Muszę iść... iść... gdzie oczy poniosą!”

Nareszcie przemówił:

„Nie rozumiem tej gadaniny. To jakieś szaleństwo! Któż ci kazał porzucać świat?”

„Guru-Thakur!” — odparłam.

Zmieszał się bardzo.

„Guru-Thakur!” — krzyknął. — „Kiedyż to udzielił ci tej rady?”

„Wczoraj rano, gdy wracałam z kąpeli”.

„Czemuż to udzielił ci owej rady?” — spytał, a głos jego drżał z lekka. Mówił, patrząc na mnie z uwagą.

„Nie wiem!” — odparłam. — „Spytaj go! Zapewne powie ci, jeśli sam wie”.

Mąż odparł:

„Można porzucić świat, nie przestając żyć na nim dalej. Nie masz potrzeby opuszczać domu. Od tej godziny świat i dla mnie istnieć przestał”.

Zamilkł. Siedzieliśmy oboje bez słowa na ziemi w półmroku. Gdy się rozwidniło, powiedział:

„Udamy się razem do niego!”

Złożyłam ręce i powiedziałam:

„Nie ujrę go już nigdy w życiu!”

Spojrzał mi w twarz. Spuściłam oczy. On nie rzekł ni słowa. Wiedziałam, że zapuścił spojrzenie w głąb mej istoty i wie, co się tam dzieje...

W tym doczesnym życiu miałam tylko dwie istoty, które mnie kochały naprawdę — syna i męża. Miłość ta była Bogiem moim i dlatego nie mogła cierpieć fałszu. Jedna z tych istot opuściła mnie, drugą porzuciłam sama... Teraz mogę posiadać jeno prawdę... prawdę samą... nic mi nie pozostało...

Dotknęła czołem ziemi przed stopami moimi, wstała, pochyliła się nisko i wyszła.

Kuma

I

Jako bardzo młoda mężatka wydałam na świat nieżywe dziecko i sama znalazłam się niemal na progu śmierci. Minęło dużo czasu, zanim zaczęłam przychodzić do siebie. Jednocześnie wzrok mój stawał się coraz to słabszy.

Mąż mój był w owym czasie studentem medycyny i mam wrażenie, że poniekąd odpowiadało mu, iż może wypróbować na mnie lekarskie zdolności. Zaczął sam leczyć me oczy.

Mój starszy brat przysposabiał się wówczas do egzaminów prawniczych. Pewnego dnia przybył w odwiedziny i przeraził się stanem moim.

— Co ty robisz? — spytał męża. — Rujnujesz po prostu wzrok Kumy. Powinieneś natychmiast wezwać specjalistę!

Mąż odparł z urazą:

— Po co? Cóż innego może uczynić najzdolniejszy lekarz? Wszystko czynię, co trzeba. Przypadek jest zresztą bardzo prosty i znane mi są wszystkie środki zaradcze!

Dada rzekł na to ze złością:

— A więc nie widzisz różnicy między sobą a doświadczonym profesorem, kierownikiem specjalnego wydziału medycznego?

Mąż odparował podnieconym głosem:

— Powiedz, czy przyjąłbyś ode mnie poradę prawniczą, gdybyś się ożenił i miał proces z rodziną żony o jej majątek? Dlatego nie mogę zgodzić się na tve rady medyczne.

Spierali się, a ja powiedziałam sobie w duchu, że podobna jestem do biednej trawy na polu, która najbardziej cierpi, gdy walczą z sobą potężni królowie. Walczyli z sobą, a ciosy padały we mnie. Nie mogłam się zresztą zgodzić na to, by krewni, wydawszy mnie za męża, mieszały się potem w nasze domowe sprawy. Moja radość czy cierpienie to rzecz męża mego i basta.

Od dnia, kiedy weszła na porządek dzienny sprawa chorych oczu, stosunek brata i męża uległ naprężeniu.

Zdziwiłam się bardzo, gdy pewnego dnia pod nieobecność męża przywiózł do mnie lekarza. Ale coż miałam robić. Lekarz zbadał bardzo sumiennie oczy i potrząsnął głową. Oświadczył, że dalsze zaniedbywanie choroby może mieć bardzo smutne następstwa. Napisał receptę, a dada posłał zaraz do apteki. Gdy lekarz wyszedł, prosiłam gorąco brata, by się w to nie mieszał. Miałam pewność, że tajemne wizyty lekarza źle się skończyć muszą.

Sama byłam zdumiona, iż mogłam rozmawiać w tak stanowczy sposób z dadą, przed którym czułam respekt zbliżony bardzo do strachu. Zdaje mi się, że on także zdziwił się niepomału mej energii. Potem milczał przez chwilę i powiedział:

— Zgoda. Nie będę już wzywał lekarza, ale przyrzeknij mi, że będziesz zażywała lekarstwo, gdy je przyniosą.

Dada poszedł, a lekarstwo przyniesiono z apteki. Wzięłam flaszki, proszki, receptę i rzuciłam razem do studni.

Zachwiany nieco w swej wierze oraz podniecony wmieszaniem się dady mąż zaczął leczyć me oczy z większą jak dotąd troskliwością i próbował najróżniejszych środków. Spełniałam każde jego polecenie, bandażowałam oczy, nosiłam kolorowe szkła, zapuszczałam krople, zażywałam proszki, a nawet brałam tran mimo obrzydzenia, jakie mi sprawiał.

Ile razy wrócił ze szpitala, pytał mnie ze strachem, jak się czuję.

— O, dużo lepiej! — odpowiadałam niezmiennie.

Doprowadziłam z czasem do mistrzostwa w okłamywaniu jego i samej siebie. Gdy zauważyłam, że cieknięcie z oczu wzmaga się, pocieszałam się myślą, że to właśnie bardzo korzystnie, gdy wypłynie tyle złej cieczy, gdy zaś objaw ten ustawał, czułam podziw dla sztuki lekarskiej męża mego.

Ale po pewnym czasie cierpienie stało się wprost nieznośne. Nie widziałam już prawie nic, a ponadto po całych dniach i nocach bolała mnie głowa.

Spostrzegłam, że mąż zaniepokoił się bardzo. Czułam, iż szuka pozoru jakiegoś, by zawezwać lekarza. Uprzedzając rzecz, sama poprosiłam, by go wezwał.

Widoczną sprawiło mu to ulgę. Jeszcze tego samego dnia przybył z lekarzem Anglikiem. Nie wiem, co lekarz powiedział po konsultacji, ale wywnioskowałam, że sahib bardzo jasno wyluszczył sprawę memu mężowi.

Gdy odszedł, mąż siedział przez długi czas bez słowa. Ujęłam jego dłonie w swe ręce i powiedziałam:

— Cóż to za brutal z tego lekarza? Dlaczego nie wezwałeś lekarza hinduskiego? Byłoby to znacznie lepiej. Czyż ten człowiek może lepiej znać stan mojej choroby jak ty?

Milczał przez dobrą chwilę, a potem rzekł zdławionym głosem:

Żona

— Kumo, oczy twe muszą być operowane!

Udałam, że się gniewam na niego z powodu, iż zatajał tak długo ten fakt przede mną, i powiedziałam:

— Wiedziałeś o tym od samego początku i nie powiedziałeś mi nic! Czyż sądzisz, że jestem dzieckiem i boję się operacji?

Odzyskał otuchę i rzekł:

— Niewielu jest mężczyzn, którzy by mężnie poddawali się operacji.

Roześmiałam się.

— Ach... mężczyźni... — odrzekłam. — Wy jesteście zazwyczaj odważni tylko wobec żon waszych!

Spojrzał na mnie poważnie i powiedział:

— Masz słuszość! Jesteśmy niesłuchanie zarozumiali i próżni.

Spłoszyłam tę jego powagę śmiechem:

— Czy pewny jesteś, że w próżności mężczyźni mogą prześcignąć kobiety?

Gdy zjawił się dada, powiedziałam mu:

— Kochany bracie. To lekarstwo, które zapisał twój lekarz, byłoby mi bardzo dobrze zrobiło, ale stało się, że przez omyłkę zamieniłam flaszki i miksturę przeznaczoną do picia przykładałam do oczu. To pogorszyło tak bardzo mój stan, że teraz konieczna jest operacja.

Dada odparł:

— Nie przychodziłem do ciebie, gdyż leczył cię mąż!

— Nie — zawołałam. — Sama kurowałam się potajemnie lekarstwami, które mi zapisał twój lekarz.

Ileż muszą w życiu nakłamać kobiety! Gdy jesteśmy matkami, kłamiemy, by uspokoić dzieci nasze, a jako małżonki czynimy to samo, by ukoić ojców naszych dzieci. Nigdy nie możemy żyć bez przymusu kłamstwa.

Słowa moje sprawiły, że stosunek brata mego do męża znacznie się poprawił. Dada czynił sobie wyrzuty, że mnie zmusił do tajemnicy przed mężem, a mąż żałował bardzo, iż nie usłuchał rady dady, kiedy była jeszcze stosowna pora.

Koniec końców za zgodą obydwu przybył lekarz angielski i zoperował lewe oko. Ale było ono już za słabe, by wytrzymać operację, i zagaśł w nim ostatni promyk światła, jaki tlił jeszcze przedtem. Niedługo potem nieprzenikniona ciemność okryła także i drugie oko.

Pewnego dnia stanął mąż nad moim łóżkiem i powiedział:

— Nie mogę ukrywać dłużej przed tobą i sobą, Kumo. Ja jestem przyczyną twego nieszczęścia. Ja pozbawiłem cię wzroku!

Czułam, że lży dławią go w gardle, wzięłam tedy dłoń jego w obie ręce i powiedziałam:

— To i cóż? Uczyniłeś, co było twym prawem. Gospodarzyłeś wedle woli dobrem twoim. Wyobraź sobie, że przyszedłby jakiś obcy lekarz i pozbawił mnie wzroku! Jakąż miałabym wówczas pociechę? Teraz zaś wiem, że stało się wszystko jak trzeba, gdyż to, co mnie spotkało, przyszło z twojej ręki. Wszak pamiętasz przecież, że gdy Ranhandra zauważył, iż nie starczy jednego lotosu, by wyrazić cześć Bogu, wyjął swe oba oczy i złożył na ołtarzu. Ja oczy me oddałam memu bogu i nie żałuję tego wcale. Teraz, gdy ujrzysz coś, co ci się podoba, przychodzisz i opowiadasz mi, ja zaś żywię się słowami niby darem oczu twych, który mi niesiesz.

Nie wiem, czy w onej¹² chwili powiedziałam to wszystko, gdyż nie sposób pod wrażeniem wysłowić całej swej myśli. Ale rozmyślałam po całych dniach nad takimi słowami. A ile razy czułam się przygnębiona albo kiedy chwilami światłość miłości poczynala przygasać i połyskiwać mętnym płomykiem, powtarzałam sobie w duchu owe słowa jedno po drugim, jak dziecko powtarzające zdania bajki, której słucha w skupieniu. I w takich chwilach uczuwałam czysty powiew radości, miłości i pokoju.

W chwili rozmowy naszej powiedziałam mężowi dosyć, by pojął, co się mieści w moim sercu.

— Kumo! — odezwał się mąż. — Nieszczęście, które spowodowała moja zarozumiałość, odwrócić się już nie da. Ale mogę uczynić jedno, mogę nie odstępować od ciebie i starać się zastąpić ci opowiadaniem tyle wrażeń wzrokowych, ile tylko możliwe będzie.

¹²on, onego (daw.) — ten, tego. [przypis edytorski]

— Nie! — powiedziała mu. — Nie chcę tego! Nie mogę się zgodzić, byś z domu twego uczynił szpital ślepców. Jedno tylko pozostaje do zrobienia: musisz się powtórnie ożenić!

Kiedym mu tłumaczyła, że to jest konieczne, głos mój drżał lekko. Pokaszliwałam tedy, usiłując pokryć wzruszenie, ale nie dał mi skończyć i zawołał:

— Kumo! Wiem, że jestem błaznem, pyszałkiem i tak dalej, ale łajdakiem nie jestem. Słuchaj! Jeślibym się miał kiedyś ożenić powtórnie... wówczas... wzywam na świadka mego boga domowego Gopinata... niech na moją głowę spadnie najstraszniejszy cios, który zamyka duszy przyszłe życie... niech będę skazany na karę pisaną ojcobójcy!

Ach! Nie powinnam była zezwolić nigdy na ową straszliwą przysięgę. Niestety, łzy zdławiły mi głos, a szalona radość, wprost nieznośna, aż do bólu posunięta radość nie dała mi wyrzec słowa. Ukryłam w poduszki ośleplą twarz i lkałam długo... długo. Kiedy wreszcie spłynęła fala łez, przytuliłam do piersi kochaną jego głowę.

— O... — powiedziała — po cóż składałeś tę okropną przysięgę! Czyż myślisz, że doradzam ci powtórne małżeństwo dla zaspokojenia twych uciech zmysłowych? Nie! Myślałam, że potrzebna ci jest kobieta dla pełnienia różnych codziennych usług, które do tej pory stanowiły mój przywilej.

— Usługi... usługi... — powiedział. — Służba może je doskonale spełniać. Czy masz mnie za wariata, który wprowadza w dom swój niewolnicę i zaprasza, by raczyła zająć ołtarz, na którym królowała dotąd bogini?

Wymawiając słowo „bogini” uniósł moją głowę w obu dłoniach i wycisnął pocałunek w owym świętym u każdego człowieka miejscu, gdzie widnieje znak kasty, pomiędzy łukami brwi. Wówczas otwarło się trzecie, święte oko boskiego poznania i dusza pojęła prawdę zaświata.

Powiedziałam sobie w duchu:

— No, to dobrze! Nie jestem w stanie oddawać mu teraz rozlicznych drobnych usług w domowych sprawach. Tedy podniosę się w wyższe sfery. Sprowadzę nań błogosławieństwo niebios. Precz z wszelkim kłamstwem, choćby w dobrym celu. Usunąć muszę chytre podstępny. Niech znikną z życia mego drobnostkowe środki i środeczki ludzkie.

Przez cały dzień czułam jakieś rozdwojenie w duszy. Zapuściła we mnie silne korzenie radość z powodu, iż mąż mój, złożony tak straszliwą przysięgę, nie będzie mógł pojąć drugiej żony. Ale nowa bogini, która obrała sobie we mnie siedlisko, szeptała czasem:

„Może nadejść chwila, kiedy lepiej by uczynił mąż twój, łamiąc przysięgę i żeniąc się powtórnie”.

Na to odpowiadała moja kobiecość:

„Może być... Może być, ale przysięga przysięgą i nie ma na to rady!”.

„Dobrze — mówiła znów bogini — tylko nie masz się z czego cieszyć”.

Ponownie odcięła się uparta kobiecość:

„To prawda, co mówisz, wszystko w porządku, ale mimo to przysięga go wiąże”.

Spór ten trwał, zda się, bez końca. Wreszcie bogini zamilkła, a cierń ponurego strachu legł na mnie. Nie mogłam się cieszyć ze zwycięstwa kobiecości.

Pełen skruchy mąż nie chciał zdać na ręce służby tych czynności, które spełniałam dawniej. Załatwiał wszystko sam. Sprawiało mi to niewysłowioną rozkosz, że byłam od niego zależna w każdej najdrobniejszej sprawie. W ten sposób miałam go ciągle przy sobie, a pożądanie ciągłej jego obecności rozrosło się we mnie potężnie od chwili utraty wzroku.

Oczy me straciły swą część tej obecności; tym silniej upominały się o nią inne zmysły. Kiedy go nie było, doznawałam wrażenia, że wiszę gdzieś w powietrzu i że zatraciłam związek z całym realnym światem.

Dawniej, wyczekując na jego powrót ze szpitala, otwierałam okno i długo wpatrywałam się w ulicę. Ulica ta była ogniwem łączącym mój świat z jego światem. Teraz, gdy przysło, pozostałe zmysły moje wybiegały z domu, szukając go wszędzie. Zapadł się most, który nas łączył, i legła pomiędzy nim a mną niesiężna¹³ przepaść. Ile razy opuścił brzeg,

¹³niesiężny (daw.) — niedosięgniony, nieosiągalny, taki, którego nie można dosięgnąć (niesiężna przepaść: przepaść, przez którą nie można sięgnąć drugiego brzegu). [przypis edytorski]

na którym stałam, otchłań zdawała się rozszerzać coraz szerzej i głębiej, w nieskończoność. Cóż mogłam uczynić? Nic... tylko dożyć czasu, aż wróci ze swojego na mój brzeg urwiska.

Tak wielka tęsknica i taka zupełna zależność nie może być dobra w skutkach. Kobieta jest już, jako taka, znacznym dla mężczyzny ciężarem. Dodać do tego ślepotę, znaczy tyle, co życie jego zniweczyć doszczętnie. Przyrzekłam sobie, że sama znosić będę me nieszczęście i nie dozwolę, by jego przysłoniły zwoje przenikającej wszystko ciemności.

W niepojęcie krótkim czasie dokazałam tej sztuki, że mogłam przy pomocy czucia, słuchu i węchu pełnić wszystkie niemal poprzednie me obowiązki domowe. Ćwiczyłam się wytrwale, ale też wyniki były zadziwiające. Spostrzegłam nawet, że wielu czynności dokonywam teraz z większą niż przedtem zręcznością.

Wzrok zazwyczaj raczej przeszkadza, rozprasza uwagę, niż pomaga w pracy ręcznej. Stało się to już wówczas jasne, gdy z wolna wzrok traciła, że w miarę jego zaniku inne me zmysły coraz to spokojniej zaczęły funkcjonować, dochodząc niemal do doskonałości.

Ćwicząc się ustawicznie i gromadząc doświadczenie, doszłam do tego, że mogłam przejąć na nowo czynności dokonywane przez męża. Zrazu żalił się, iż nie pozwalał mu dopełniać pokuty, ale nie mówił z głębi przekonania. Cokolwiek mi opowiadał, czułam, że sprawia mu to niesłychaną ulgę, gdy drobnostkowe czynności te odkłada na bok. Nie może w żaden sposób wypełnić życia mężczyzny obsługiwanie ślepej kobiety.

II

Mąż mój ukończył studia medyczne. Opuściliśmy Kalkutę i udaliśmy się do małego miasteczka, gdzie on zaczął praktykować jako lekarz. Odczułam z radością mimo ślepoty, że spoczęłam jakby na łonie matki. W ósmym roku życia wyjechałam z wioski rodzinnej do Kalkuty. Od tej pory minęło lat dziesięć i wspomnienie ojczyzny zbladło wśród wielkomiejskiego środowiska.

Dopóki mogłam widzieć, ruchliwość miasta, zmieniające się ciągle obrazy, praca i krzątanie nerwowa przysłoniły te wspomnienia dziecięce, ale gdym oślepa, poznałam, że Kalkuta jeno oczy wabiła i bawiła, duszy zaś wypełnić treścią nie była w stanie.

Teraz dopiero rozbłysły obrazy wspomnień i to tak świetnie, jak gwiazdy występujące jedna po drugiej na niebo u schyłku dnia.

Był początek listopada, gdyśmy wyruszyli z Kalkuty do Harsingpuru. Miejscowość sama była mi nieznana, ale otoczyły mnie natomiast dobrze zapamiętane z dawnych czasów zapachy i szelesty wiejskie.

Od świeżo zoranych pól szedł rzeźwy wiew poranny, nozdrza łaskotał słodki, wytworony zapach kwitnącej gorczycy, z oddali płynęły tony fujarki pasterza. Wszystko to, nawet trzeszczący pogłos dwukołowego wozu wieśniaczego, zaprzęzonego w bawołu i podskakującego na wyboistej drodze, napełniało duszę mą, świat mój, niewypowiedzianym zachwytem.

Wspomnienie minionego życia wraz z całą masą zapachów i dźwięków stało mi się żywą teraźniejszością, a oczy nie mogły mi powiedzieć, że się myślę. Cofnęłam się wstecz i przeżywałam ponownie dziecięce lata. Jednego jeno brakło mi... Matki nie było koło mnie!

Oglądałam ojczyznę oczyma ducha. Widziałam grupę wyniosłych drzew brzeżących staw wiejski. Widziałam najdokładniej babkę moją. Siedziała na ziemi, rozpuściła swe rzadkie siwe włosy i nastawiła do słońca przygarbione plecy. Zajęta była, jak zawsze, robieniem z mąki soczewicy małych krągłych kulek, które suszono potem i gotowano. Widziałam ją wybornie, nie mogłam sobie tylko przypomnieć piosenek, jakie wówczas nuciła cichym, drżącym głosem.

Gdy wieczorem zaczęły ryczeć krowy, spostrzegłam zaraz matkę moją obchodzącą z wielką latarnią obory i całe podwórze. Zapach mokrego siana i gryzący dym płonącej słomy przenikały mi wprost do serca. Zdawało mi się, że słyszę poddźwięk gongów świątyni chwiejących się od wiatru, co płynie od rzeki.

Kalkuta pełna hałasu i gadania czyni, że serce zamiera. Zatracają się tam owe wszystkie przecudowne obowiązki życia i tracą swą niewinność i świeżość.

Pamiętam, pewnego dnia przyszła jedna z przyjaciółek i rzekła:

Małżeństwo, Kobieta,
Pozycja społeczna

Wzrok

Miasto

Wieś

Wspomnienia

— Kumo! Czemu się nie złościsz? Gdyby mąż mój postąpił ze mną w ten sposób, nie chciałabym go znać!

Próbowała obudzić we mnie gniew na niego z powodu, iż tak długo nie wzywał lekarza.

Odpowiedziałam:

— Dość mi cierpień spowodowanych ślepotą. Po cóż mam zwiększać je jeszcze, pozwalając rozpanoszyć się w moim sercu nienawiści do męża?

Przyjaciółka, słysząc mą staromodną, bezsensowną jej zdaniem gadaninę, potrząsnęła z politowaniem głową i odeszła pełna pogardy. Ale mimo iż dałam jej odpowiedź szczerą, słowa posłyszane pozostawiły we mnie swój jad i dusza nie była już całkiem czysta od chwili, gdy zostały wypowiedziane.

Kalkuta znieprawia serca. Martwieją od próżnej gadaniny i stają się zatwardziałe. Gdy wróciła na wieś, odżyły na nowo i wyblękitniały dziecięce nadzieje i wiary, prawdą się stało na nowo wszystko to, co mi nią wówczas było. Bóg zstąpił ku mnie i przepełnił mój świat swą obecnością.

Pochyliłam się ku mężowi pewnego razu i powiedziałam:

— Dobrze, że nie mam wzroku, bo mam ciebie!

Ach! Powiedziałam więcej, niż miałam prawo powiedzieć. Wszystko, co wolno powiedzieć kobiecie, zamyka się w słowach:

— Chcę ci zostać wierną!

Nawet gdybyśmy stracili wszystko, musimy żyć dalej.

III

Spędziliśmy razem kilka szczęśliwych miesięcy. Mąż uzyskał pewne wzięcie jako lekarz, a wraz z tym przyszedł pieniądź.

Niestety do pieniędzy przywiązana jest klątwa. Nie mogę oczywiście oprzeć się na żadnym konkretnym wydarzeniu, ale przez właściwą ślepcom wzmoczoną siłę chwytania wrażeń poznałam, że wraz z wzrastającym dobrobytem mąż mój zmieniać się począł szybko.

W młodszych latach posiadał wybitne poczucie sprawiedliwości i ludzkości i często wyrażał gotowość pomagania biednym chorym, gdy rozpocznie praktykę. Oburzał się niejednokrotnie na kolegów, którzy nie tkną pulsu pacjenta, zanim nie schowają do kieszeni honorarium.

Teraz zauważyłam zmianę. Stał się dziwnie bezlitosny. Pewnego razu odprawił szorstko biedną kobietę, która go błagała, by przez miłosierdzie ratował jej jedyne dziecko. Poprosiłam go o to sama, a wówczas niby to zbadał malca, ale tak pobieżnie, że nie mogłam tego brać serio, i odprawił nieboraczkę z kwitkiem.

Dopóki byliśmy niezamożni, mąż mój nie okazywał zachłanności na pieniądze. Był w każdym calu człowiekiem honoru, gdy szło o sprawy pieniężne. Od czasu jednak, gdy zgromadził w banku znaczny zapas gotówki, zaczął robić różne interesy, zamykał się na całe godziny z byle jakim, szubrawym nieraz agentem szachrującym ziemią czy lasami, a konferencje te nie wróżyły nic dobrego.

Unosił go jakiś prąd... Zachodziłam w głowę, co mogło być powodem zmiany w mężu moim, człowieku, którego znałam, zanim ośleplam. Wspominałam dzień, kiedy pocałował mnie w miejsce święte, pomiędzy łukami brwi, i postawił na ołtarzu bogini. Co się z nim stało! Człowiek rzucony w proch szalonym porywem namiętności może powstać pod wpływem pędu ku odnowie. Ale ludzie, co wiedną z dniem każdym bardziej w palącym żarze gorączki, wysuszającej ich duchową treść, ludzie, w których pasożyty pożądlivosti przerastają, biorąc górę nad samym życiem wewnętrznym... ci ludzie stąpają z wolna ku takiej śmierci, ku takiej martwocie, z której nie masz już zmartwychwstania.

Rozłąka spowodowana ślepotą to drobiazg zgoła zewnętrzny. Ale... Nie mogę o tym myśleć bez drżenia... Ale owo uczucie, że go nie ma przy mnie w ten sposób, jak to było onego dnia, kiedyśmy zrozumieli, że jestem ślepa na zawsze... och! To jest rozłąka straszna, to jest rozłąka niepowetowana!

Skryłam się w świątynię serca z młodą wiecznie miłością moją i niezłomną wiernością. Ale mąż mój porzucił owo zacisze, wyrzekł się niewiedzących uczuć, nad którymi czas nie

Przebaczenie

Los

Pieniądź, Lekarz

Chciwość, Namiętność

ma władzy. Poszedł, na straszną wybrał się wędrówkę po bezwodnej pustyni, opanowany szaleńczą żądzą złota.

Czasem czyniłam sobie wyrzuty, że biorę rzecz zbyt tragicznie. Nie wszystko jest chyba tak złe, jak mi się wydaje, mówiłam sobie. Przesadzam, albowiem ślepa jestem. Być może, że posiadając wzrok pogodziłabym się ze światem rzeczywistym. Ale na ogół biorąc, w takim oświetleniu przedstawiał mi się teraz mąż, takie przeżywałam nastroje i takim oddawałam się fantazjom.

Pewnego dnia zjawił się w domu naszym pewien stary muzułmanin. Prosił męża, by udał się do chorej jego wnuczki.

— Babu! — powiedział. — Jestem biedny człowiek, ale chodź ze mną, a Allah ci to wynagrodzi!

Mąż mój odparł lodowato:

— Nic mi nie przyjdzie z wynagrodzenia twego Allacha. Sięgnij lepiej sam do kieszeni, a pójdę z tobą!

Posłyszawszy to, spytałam się w duchu samej siebie, czemu Bóg nie uczynił mnie głuchą, przydając tę łaskę ślepotcie mojej. Staruszek westchnął głęboko i poszedł. Posłałam za nim dziewczynę służebną, by go przyprowadziła do mnie. Spotkałam go u drzwi wiodących do wnętrza domu i wręczając trochę pieniędzy, powiedziałam:

— Proszę cię, przyjm to ode mnie. Zawezwij zaraz dobrego lekarza do wnuczki i pomódl się za męża mego!

Przez cały dzień nie mogłam przelknąć jadła. Mąż, powstawszy z popołudniowej drzemki, zapytał mnie:

— Co ci jest? Wyglądasz tak mizernie!

Byłam bliska kłamstwa. Chciałam jak dawniej odpowiedzieć:

— To nic...

Ale przeminęły już czasy wykrętów i oszustwa, przeto rzekłam otwarcie:

— Od długiego już czasu waham się. Chciałabym ci coś wyznać. Trudno to było wydobyć na wierzch samym myśleniem. Nie wiem, czy potrafię wypowiedzieć to, co mam na myśli. Ale pewna jestem, że sam wiesz dobrze, co się stało. Oto rozeszliśmy się w dwie przeciwne strony.

Roześmiał się z przymusem i odparł:

— Ha, trudno, zmiana to prawo natury!

— Wiem o tym! — rzekłam. — Są jednak rzeczy wiekuiste na tym świecie!

Spoważniał i powiedział:

— Wiele jest kobiet, które mają rzeczywiste powody troski. Jedne cierpią z powodu, że mężowie nie zarabiają, ile im potrzeba, inne znów dlatego, że mężowie przestali je kochać. Ty zaś, droga Kumo, trapiś się bez żadnego rzeczywistego powodu.

Zrozumiałam w tej chwili, że właśnie ślepotą moją dała mi zdolność widzenia świata nieulegającego przemianom. Tak... Tak... Jestem inna niż wszystkie kobiety i mąż mój nie zrozumie mnie nigdy.

IV

Leniwo płynęło życie moje obok jego życia przez długi, długi czas. Potem w monotonii tej nastąpiła przerwa. Ciotka męża przybyła do nas w odwiedzinach.

Pierwsza przemowa, z jaką wystąpiła po przywitaniu, brzmiała w ten sposób:

— Jakaż to szkoda, droga Kumo, że utraciłaś wzrok! Współczuję ci serdecznie, nie rozumiem tylko, jak możesz obarczać własnym nieszczęściem swego męża! Powinnaś go skłonić, by się ożenił powtórnie.

Nastąpiła przykra cisza. Gdyby mąż mój powiedział coś żartobliwego albo roześmiał się w twarz ciotce, wszystko byłoby dobrze. Ale on zaczął się jękać, wahać i na koniec powiedział tonem głupkowatego:

— Tak ciocia sądzi? Nie... nie, proszę o tym nie wspominać!

Ciotka zwróciła się do mnie.

— Czyż nie mam racji, Kumo? — spytała.

Roześmiałam się w głos.

— Może byś się zwróciła z pytaniem tego rodzaju do osoby bardziej kompetentnej, droga ciociu! — odparłam. — Wszakże złodziej nie pyta o przyzwolenie tego, komu zamierza sięgnąć do kieszeni.

— Masz słuszość! — odrzekła łagodnie. — Drogi Abinaszu — ciągnęła dalej, zwracając się do męża — może byśmy pomówili w cztery oczy... Cóż ty na to?

Po kilku dniach mąż spytał ciotki, w mojej obecności, czy nie zna jakiejś dziewczyny z dobrej rodziny, która by chciała zgodzić się do naszego domu celem pomagania mi w pracy. Wiedział dobrze, że pomocy takiej nie potrzebuję.

Ja nie otworzyłam ust.

— O, znajdzie się mnóstwo dziewcząt! — odrzekła ciotka. — Mój siostrzeniec ma właśnie córkę w sam raz na wydaniu. Jest śliczna, nie możesz zapragnąć piękniejszej, a już ja ręczę, że niezawodnie zostaniesz mile powitany jako kandydat na małżonka.

Mąż roześmiał się nieszczerze, wyjąkał słów kilka i rzekł nareszcie z wahaniem:

— Ależ, cioteczko! Nie powiedziałem dotąd słowa o małżeństwie...

— Jakże możesz wymagać — odparła — by dziewczyna z dobrego domu zamieszkała u ciebie na stałe bez ślubu?

Przyznał, że jest to zupełnie słuszne zapatrywanie, i trwał potem w jakimś nerwowym milczeniu.

Zostałam sama jedna poza zamkniętymi podwojami mojej ślepoty, a gdy się oddalił, zawołałam do Boga mego:

„Ratuj go, Panie!”.

W kilka dni potem, ukończywszy modły przed ołtarzem domowym, zawróciłam do wyjścia. Nagle uczułam dotknięcie dłoni ciotki.

Uścisnęła mnie z wylaniem i powiedziała:

— Kumo! Dziewczyna, o której mówiliśmy niedawno, przybyła. Na imię jej Hemangini. Uszczęśliwiona będzie z poznania cię. Hemo, zbliż się, zapoznam cię z siostrą twoją.

W tej chwili wszedł do pokoju mąż mój, udał wielkie zdziwienie na widok dziewczyny i chciał się cofnąć.

— Abinaszu, drogi chłopcze! — zawołała ciotka. — Nie uciekajże! Cóż to znowu za maniery? Oto córka mego siostrzeńca, Hemangini, która przybyła do was w odwiedziny. Hemo, ukłoń się doktorowi!

Ciągle udawał bardzo zdumionego i wypytywał ciotkę o to, kiedy, jak i z jakiego powodu przybyła dziewczyna.

Czułam cały fałsz i pustkę owej komedii, wzięłam Hemangini za rękę i zaprowadziłam ją do mego pokoju. Przeciągnęłam lekko dłonią po jej twarzy, ramionach i włosach i przekonałam się, że ma około piętnastu lat i jest bardzo piękna.

Gdy dotykała jej twarzy, wybuchnęła nagle śmiechem i powiedziała:

— Cóż robisz, siostrze? Czy mnie może hipnotyzujesz?

Słodko brzmiał jej śmiech. I zaraz pierzchnęło wszystko, co mnie od niej dzieliło. Oto czyłam jej szyję ramieniem i powiedziałam:

— Droga moja. Próbuję cię zobaczyć!

Znowu przesunęłam dłoń po jej policzku.

— Jak to próbujesz mnie zobaczyć? — spytała ponownie, śmiejąc się. — Czyż jestem melonem w ogrodzie, który się obraca, by się przekonać, czy dojrzały i miękki?

Widocznie nie wiedziała zupełnie, iż straciłam wzrok, powiedziałam tedy:

— Siostrze, jam jest ślepa.

Zamilkła. Wydało mi się, że widzę jej wielkie piękne oczy spoglądające na mnie z politowaniem. Była zmieszana i zamyślona. Po długiej chwili rzekła:

— Tak... Teraz wiem, dlaczego twój mąż zaprosił ciotkę, by przyjechała i zamieszkała u was.

— O, nie — odpowiedziałam — mylisz się! Nie wzywał jej wcale, przybyła sama...

Hemangini wybuchła ponownie rozgłosnym śmiechem.

— Poznaję po tym kochaną cioteczkę! — zawołała. — Co za uprzejmość z jej strony, że przyjechała nieproszona wcale. Ale teraz... Bądź pewna, droga siostrze, nie pozbędziesz jej się tak łatwo... O... Znam ja ją!

Urwała nagle i zmieszana się znowu.

— No, dobrze... — powiedziała. — Ale nie pojmuję, po co mnie ojciec tutaj wysłał? Może ty wiesz?

Podczas naszej rozmowy weszła do pokoju ciotka. Hemangini zwróciła się do niej i spytała:

— Kiedy zamierzasz jechać do domu, cioteczko?

Ciotka wybuchnęła jak mina:

— Cóż za pytanie? Nie widziałam równie niespokojnej jak ty istoty. Dopiero co przybyłam, a ona chciałaby jechać dalej...

— Wszystko bardzo ładnie, droga ciociu — odparła Hemangini — ale to dotyczy jeno ciebie, albowiem przybyłaś w dom krewnego. A cóż ja tutaj mam do roboty? Oświadczam wyraźnie, że nie pozostanę tu wcale długo, bo to nie ma sensu!

Ujęła w dłonie moją rękę i dodała:

— Prawda, droga siostrze, że mam słuszność?

Przyciągnęłam ją do siebie bez słowa. Ciotka popadła w ogromne zakłopotanie. Czula, że wodze wypadają jej z rąk. Nagle zaproponowała Hemangini, by się obie udały do kąpieli.

— Nie! — odparła Hemangini, obejmując mnie. — Wolę z nią pójść!

Ciotka ustąpiła z obawy oporu, w razie gdyby ją chciała zabierać przemocą.

Po drodze, niedaleko rzeki, spytała mnie Hemangini:

— Dlaczego nie masz dzieci?

Przeżona tym nieoczekiwanym pytaniem odparłam nieśmiało:

— Jakże ci powiedzieć? Bóg mi nie dał dziecka... Oto powód!

— Nie, to nie jest powodem! — rzekła szybko Hemangini. — Musisz mieć jakiś grzech na sumieniu. Spójrz na przykład na moją ciotkę. Jest również bezdzietna i rzuca się wprost w oczy, że serce jej jest złe. Ale jakież zło tkwić może w twoim sercu?

Zabolały mnie te słowa. Na pytanie o grzechu, co mą duszę obciążało, nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Westchnęłam tylko ciężko i zawołałam spośród rozłogów mej pustki do Boga:

„Boże, ty wiesz dlaczego!”

— Czemu wdychasz, siostrze? — spytała Hemangini ze współczuciem, a potem dała wesoło:

— Nic sobie nie rób ze mnie... Nikt mnie nie traktuje serio!

I znowu śmiech jej rozgłośnie poleciał po falach rzeki.

V

Przekonałam się, że w zawodowych zajęciach mego męża poczęły się zdarzać coraz to częstsze i dłuższe przerwy. Odmawiał teraz stale wyjazdów do chorych w dalsze strony, a unikał starannie nawet pacjentów mieszkających w pobliżu.

Dawniej przychodził do komnat w głębi domu położonych tylko w południe, w porze posiłku, i wieczór, teraz atoli, uniesiony dziwną pieczołowitością o zdrowie ciotki, składał jej ciągle i to długie wizyty. Poznawałam, że znajduje się w jej pokoju, po tym, iż wołała rozgłośnie Hemangini, by przyszła lub by przyniosła szklanek wody. Z początku dziewczyna spełniała, czego od niej żądano, potem atoli zupełnie wypowiedziała posłuszeństwo.

Daremnie ciotka nawoływała i wabiła słodkim głosem:

— Hemo! Hemuniu! Hemangini!

Dziewczyna, uniesiona politowaniem, czepiała się mnie. Milczała pod wpływem strachu i smutku. Często przytulała się do mnie, a wówczas czułam, że drży niby ścigana łania, niewiedząca dobrze, jaki będzie jej los.

Tak stały sprawy, gdy niespodzianie przybył w odwiedziny mój brat. Wiedziałam, jak bystry posiada dar obserwacji i jak bezwzględnie osądza wszystko. Obawiałam się, by mego męża nie pociągnięto do odpowiedzialności i nie wzięto pod śledztwo, toteż usiłowałam prawdziwy stan rzeczy ukryć pod maską głośniejszej wesołości. Zdaje się jednak, że zbyt mocno napięłam łuk i złudzenie jego prysło. Nie umiem już udawać.

Mąż mój począł niedwuznacznie nalegać, by dada wyjeżdżał, ciągle pytał, kiedy to nastąpi. Niecierpliwość jego wzrosła niebawem do obrażających wprost rozmiarów, toteż

Grzech, Los

bratu nie pozostało nic innego, jak wracać do Kalkuty. Przed odjazdem położył mi dłoń na głowie i długo ją tam trzymał. Czułam, że drży, a kiedy mnie błogosławił, łza spłynęła z jego oczu.

Pamiętam dokładnie, że działo się to pewnego kwietniowego wieczoru. Był dzień targowy i ludzie, przybyli po sprawunki rano, wracali teraz gromadnie do domów. W powietrzu wisiała groza burzy, ostry zapach mokrej ziemi i mgłą przepojony wiatr czułam wyraźnie mimo zamkniętych okien. W pokoju mym nigdy nie świeci się lampa, gdy jestem sama, a to z obawy, że suknie mogłyby się na mnie zapalić lub zdarzyć by się mogło inne jakieś nieszczęście. Siedziałam w ciemności na podłodze sypialni i zanosilał modły do Boga mego czarnego świata.

— O, Boże mój! — wołałam. — Ukryłeś przede mną oblicze twoje! Nie mogę cię zobaczyć! Jestem ślepa! Dzierzę ostatkiem sił wiosło serca mego, strzaskane wiosło, a ręce spływają krwią. Fale za mocno biją, nie mogę podoląć burzy... Jakże długo jeszcze będziesz mnie doświadczał, o, Boże mój!

Oparłam głowę o posłanie i zakałam głośno. Nagle poczułam, że posłanie rusza się z lekka. Za chwilę przypadła do mnie Hemangini, otoczyła ramieniem mą szyję i otarła łzy. Nie wiem i nie dowiem się zapewne nigdy, czemu leżała po ciemku na moim łóżku onego wieczoru i na co tam czekała. Nie pytała o nic. Nie wyrzekła słowa. Położyła tylko chłodną dłoń na moim czole, pocałowała mnie i wyszła.

Nazajutrz rano oświadczyła Hemangini ciotce w mej obecności:

— Niechże ciocia zostaje sobie tu, jeśli chce, ja wyjeżdżam do domu w towarzystwie naszego sługi!

Ciotka odrzekła, że nie potrzebuje jechać sama, gdyż pojedzie z nią razem. Potem z uśmiechem i zalotnym grymasikiem wyjęła z pluszowego pudelka pierścionek z perłą i powiedziała:

— Patrz no, droga Hemangini, co za śliczny pierścionek przywiózł dla ciebie Abinasz.

Hemangini wyrwała jej klejnot z ręki.

— Patrz no, ciociu... — zawołała żywo — patrz no... Jak umiem celnie rzucać!

Pierścionek warknął w powietrze i spadł prosto do podwórzowej cysterny.

Ciotka wpadła w szał. Nie mogła do siebie przyjść ze złości, oburzenia i zdziwienia. Najeżyła się cała, parskając jak kot, gryzła wargi, wreszcie zwracając się do mnie, prosiła kilkakrotnie:

— Kumo! Droga Kumo! Proszę cię na wszystko... Nie mów Abinaszowi o tym dziecinnym wybryku... Proszę cię bardzo! Okropnie by się gniewał...

Zaręczyłam jej, że słowo z ust mych nie wyjdzie i nie ma się czego obawiać.

Nazajutrz, przed odjazdem do domu, Hemangini objęła mnie serdecznie i powiedziała:

— Droga moja, nie zapomnij o mnie... Nie zapomnij nigdy!

Pogładziłam ją po twarzy i odrzekłam:

— Siostro! Ślepi mają dobrą pamięć!

Przytuliłam do piersi jej głowę i ucałowałam czoło i włosy. Uczyniło się wokół szaro i smutno, świat mój opustoszał. Wesele, piękno i młodość były tak blisko, siedziały tuż obok na gałęzi, nagle podniosły skrzydełka i uleciały niby ptaszęta.

Kiedy brakło Hemangini, wstałam i zaczęłam szukać wyciągniętymi ramionami wzdłuż i wszerz po moim pustym świecie. Zali mi zostało coś jeszcze?

W jakiś czas potem przyszedł mój mąż. Udawał, że czuje ogromną ulgę po odjeździe ciotki. Ale słowa jego były przesadne i puste. Narzekał także, że pobyt ciotki bardzo mu zaszkodził w praktyce.

Dotychczas istniała pomiędzy nami jedna tylko zaporą, zaporą mojego kalectwa, teraz wzniosła się nowa. Było nią świadome milczenie o Hemangini. Udawał zupełną obojętność, ale wiedziałam, że otrzymywał listy z wiadomościami o niej.

Pewnego dnia z początkiem maja służąca weszła rano do mej sypialni i spytała:

— Proszę pani! Co znaczą te przygotowania w przystani rzecznej? Gdzie pan doktor wyjeżdża?

Wiedziałaż zaraz, że coś ważnego ma się stać, ale odpowiedziałam obojętnym głosem:

— Nie mogę ci tego powiedzieć!

Klejnot, Zaręczyny

Służąca nie śmiała pytać dalej. Westchnęła tylko i wyszła.
Późnym wieczorem przyszedł mój mąż i rzekł:
— Muszę jechać do pewnego pacjenta. Mieszka daleko. Wyruszę jutro wczesnym rankiem i będę może dwa lub trzy dni w podróży!
Podniosłam się z łóżka. Stałam przed nim i zawołałam głośno:
— Czemu kłamiesz?
Zaczął się jękać:
— Jak to... Ja kłamię?
— Chcesz się żenić! — zawołałam.
Milczał. W pokoju zaległa zupełna cisza. Przemówiłam pierwsza.
— Odpowiadaj! — krzyknęłam. — Prawdaż to?
— Prawda... — powtórzył bezwiednie, jak echo.
— O, nie! — oświadczyłam stanowczo. — Nie pozwolę na to! Uratuję cię od tego wielkiego nieszczęścia, nie dopuszczę, byś popełnił ten straszny grzech! Czyż nie jestem żoną twoją? Czyż nadaremnie istnieje Bóg?
W pokoju było cicho, jakby wszystko zmieniło się w kamień.
— Cóż uczyniłam? — spytałam. — W czymże zgrzeszyłam? Czemu chcesz innej żony?
Zaczął mówić powoli:
— Powiem ci całą prawdę. Boję się ciebie. Ślepotą zamknęła cię jakby w fortocy, do której nie mam przystępu. Nie jesteś już dla mnie kobietą. Jesteś straszliwa jak Bóg. Nie mogę pędzić z tobą codziennego życia. Pożądaj kobiety zwyczajnej, całkiem zwyczajnej, z którą bym mógł kłócić się do woli, bawić się, żartować, kobiety, którą bym mógł porządnie wyłajać...
— Otwórz me serce i spójrz! — zawołałam. — Jestem właśnie taką zwykłą, najwzwyklejszą kobietą... Tą samą dziewczyną, jaką byłam przed naszym ślubem. Pragnę wierzyć, kochać, czcić...
Nie pamiętam dobrze słów, jakich użyłam. Wiem tylko, że powiedziałam:
— Biorę Boga na świadka, że nie dopuszczę, byś dokonał haniebnego występku... Byś złamał przysięgę! Zanim się stanie zbrodnia, ja zostanę wdową albo zginie Hemangini!
Nagle zrobiło mi się słabo i padłam zemdlna na ziemię. Gdy przyszła do siebie, trwała jeszcze noc... Ptaki nie śpiewały w gałęziach drzew. Męża nie było, poszedł.
Cały dzień następny spędziłam na modlitwie przed ołtarzem domowym. Wieczorem runęła na dom straszna burza z błyskawicami, grzmotami, a wicher dał przeraźliwie. Skulona u ołtarza nie prosiłam Boga, by wyratował męża mego od burzy, mimo że w tej chwili musiał się znajdować na rzece. Błagałam o to jedynie, aby, bez względu na to, co się ze mną stanie, mąż mój uchroniony został od wielkiego grzechu.
Minęła noc. Znowu cały dzień spędziłam u ołtarza na modlitwie. Wieczorem usłyszałam szelest, pukanie do drzwi i kroki. Gdy drzwi otwarto, znaleziono mnie podobno bez zmysłów na ziemi i zaniesiono do sypialni.
Przyszedłszy do siebie, posłyszałam, że ktoś szepce mi do ucha:
— Siostro!
Poznałam, że leżę u siebie, z głową opartą o kolana Hemangini. Poruszyłam głowę i usłyszałam ostry szelest jej sukni. Szelest wydawała jedwabna suknia ślubna.
— Boże! — jęknęłam. — Nie wysłuchałeś mych modłów! Mąż mój popełnił straszny grzech!
Hemangini pochyliła się i powiedziała słodkim szeptem:
— Siostro! Kochana siostro! Przybyłam prosić cię o błogosławieństwo ślubne.
Zrazu ciało moje uczyniło się sztywne niby pień drzewa tknięty ciosem piorunu. Potem usiadłam i, zmuszając się do słów, powiedziałam z wysiłkiem:
— Czemuż bym cię nie miała pobłogosławić? Wszakże nie uczyniłaś nic złego...!
— Złego? — powtórzyła Hemangini. — Gdyś ty szła za mąż, nie mówiłaś, by to było złe. Czemuż wspominasz o tym teraz, gdy ja za mąż wychodzę?
Roześmiała się ochoczo.
Próbowałam odpowiedzieć podobnym śmiechem, a w duchu powiedziałam sobie:

Kaleka, Mąż

„Modlitwa moja nie była ostatnią na tym świecie. Dziej się wola Boża! Niechże na moją głowę spadnie cios, byłem nie zatraciła w bezmiarze bólu wiary w Boga i nadziei”.

Hemangini pochyliła się znowu, dotknęła moich nóg, a ja powiedziałam:

— Bądź szczęśliwą, zażywaj niezmaconej pomyślności.

Uczyliłam znak błogosławienia. Ale Hemangini to nie wystarczało.

— Droga siostrzo! — prosiła. — Nie dość mi błogosławieństwa twego, musisz dopełnić naszego szczęścia. Musisz czcigodnymi, świętymi rękami wprowadzić męża mego w swój dom. Czy pozwolisz, by przyszedł?

Z najwyższym wysiłkiem powiedziałam:

— Dobrze, niech przyjdzie!

W chwilę potem usłyszałam znane mi dobrze kroki oraz pytanie:

— Jak się masz, Kumo droga?

Podskoczyłam w górę, padłam na poduszki i krzyknęłam:

— Dada!

Hemangini wybuchnęła śmiechem.

— Czyż go będziesz i teraz uważała za starszego brata? — śmiała się. — Oho! Minęły czasy, kiedyś mu oddawała winną cześć! Traktuj go teraz jak smarkacza, targaj za uszy, za włosy, gdyż popełnił szalone głupstwo i ożenił się ze mną, twą młodszą siostrą!

Nagle zrozumiałam. Mąż mój uchroniony został od zbrodni. Nie upadł w przepaść grzechu.

Wiedziałam dobrze, że dada postanowił nie żenić się wcale, a od śmierci matki naszej nie było w rodzinie nikogo, kto by nań nalegał. Tedy ja sama, ja, popadłszy w straszliwą opresję, sprawiłam modłami, iż tak się stało. Ożenił się, by mnie wyratować.

Łzy radości popłynęły z oczu moich, czułam ich strumienie na policzkach, ale powstrzymać nie mogłam. Dada gładził mnie powolnym ruchem po włosach, Hemangini tuliła się do mnie, szczebiotała i śmiała się wesoło.

Przez całą niemal noc leżałam bezsennie w łóżku. Czekałam pełna strachu na powrót męża. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak zniesie upadek planów swoich, wstyd i rozczarowanie.

Nad samym ranem ktoś uchylił drzwi pokoju. Usiadłam, wyciążając słuch. Poznałam kroki męża mego. Serce biło gwałtownie w piersiach. Zbliżył się do łóżka, usiadł i ujął moją dłoń.

— Dada — powiedział — uratował mnie od nieszczęścia. Chwilowe opętanie zmysłów ciągnęło mnie coraz silniej w przepaść. Byłem zaślepiony tak, że nie miałem sił zerwać pęt. Bóg jeden wie, jakie brzemie nieodpornego przymusu dźwigałem na barkach, wsiadając na statek. Zdawało mi się, że jadę na pogrzeb własnej duszy. Nagle zerwała się okropna burza, niebo runęło na ziemię. Kiedy wszyscy drżeli o swe życie, ja doznawałem radości i pożądałem śmierci w nurtach rzeki. W ten sposób rozcięty zostałby fatalny splot, w który się dałem uwikłać.

Ale stało się inaczej. Przybivszy do Maturgani dowiedziałem się, iż jestem wolny. Brat twój zaślubił Hemangini. Nie mogę wysłować, z jaką radością i wstydem jednocześnie przyjąłem tę nowinę. Pospieszyłem z powrotem na statek. W chwili gdy ruszałem z powrotem, miałem jasną świadomość, że poza tobą nie ma dla mnie prawdziwego szczęścia. Jesteś zaprawdę boginią!

Śmiejąc się i płacząc, odpowiedziałam mu:

— Nie... Nie... Nie chcę być już boginią. Chcę być twą żoną, zwyczajną żoną i koniec! Jestem kobietą, jakich pełno na świecie!

— Droga moja! — rzekł mi jeszcze. — Nie czyn mi już wstydu i nie nazywaj mnie, nawet w myślach, nigdy bogiem swoim... dobrze?

Nazajutrz rozbrzmiało miasteczko wesołym dźwiękiem konch, ale nikt nie śmiał ni słowem wspomnieć onej szaleńczej nocy, tknąć wspomnienia chwil przeraźliwych, kiedy to groziła nam wszystkim zatrać na straszliwych, niepojętych, powikłanych drogach bytu.

Śmierć Kadambini

I

Wdowa Saradaśankara, dziedzicznego pana (zamindara) Ranihatu, nie miała nikogo we własnej rodzinie. Ojciec, matka, rodzeństwo, wszyscy poumierali jedno po drugim. W rodzinie męża także nikt jej bliskim nie był... nie mogła zwać „swoim” nawet męża i syna. Pokochała synka brata mężowskiego Saradaśankary miłością wielką i głęboką.

Po przyjściu dziecka na świat matka jego chorowała bardzo długo i ciężko, tak że ciotka zając się musiała pielęgnowaniem i hodowaniem malca.

Gdy kobieta wychowuje dziecko innej kobiety, to miłość dlań jest tym większa, że nie ma żadnego prawa do tego uczucia. Pozbawiona przywilejów macierzyństwa i pokrewieństwa, posiada jeno miłość. A miłość sama, jak wiadomo, nie może praw swych poprzeć żadnym dokumentem przez społeczeństwo za ważny uznawanym.

Nie chce nawet takiego dokumentu, o nic się nie upomina, ale ze zdwojoną namiętnością kocha, cała oddana owemu niepewnemu szczęściu kochania. Cała tedy zatajona dotąd w sercu wdowy miłość przelała się na dziecko.

Pewnej nocy miesiąca Śrabanu zmarła nagle Kadambini. Z jakiegoś nieznanego zresztą powodu serce jej nagle bić ustało. Poza tym cały świat szedł dalej swoją drogą, tylko w tej wątlej, cichej piersi, przepełnionej miłością wierną i wielką, zegar życia stanął na zawsze.

Celem uniknięcia nieprzyjemności ze strony policji czterej służący bramińscy zamindara wzięli ciało i bez żadnych ceremonii pogrzebowych zanieśli je na miejsce spalenia.

Miejsce to leżało w znacznej odległości od wsi. Była tam chata, obok niej zbiornik na wodę i olbrzymi figowiec. Zresztą nic więcej. Dawniej płynęła tędy rzeka, ale wyschła obecnie do sucha. Jeszcze zanim się to stało, odkopano część koryta i spuszczone resztę wody do zbiornika, by mieć ją pod ręką na potrzeby kultu zmarłych. Ludność uważała zbiornik za część rzeki i oddawała mu cześć przysługującą wodzie płynącej.

Służący przyniósłszy ciało, złożyli je w chacie. Czekali na drzewo. Czas mijał. Dwaj z nich, znecierpliwieni czekaniem, wyszli przed chatę, chcąc się dowiedzieć, co jest przyczyną spóźnienia. Po odejściu Nitaja i Guruczarana na straży przy zmarłej pozostali Bidhu i Banamali.

Była ciemna noc miesiąca Śrabanu. Ciężkie chmury zwisały z nieba. Obaj siedzieli milcząco w czarnej chacie. Na nic im się nie zdały zapalki i lampy. Zapalki przemokły i zapalić się w żaden sposób nie chciały, zaś w lampach zabrakło oleju.

Po długim milczeniu ozwał się Bidhu:

— Bracie, byłoby dobrze zapalić sobie fajeczkę. Ale spieszyliśmy się i nie wzięliśmy z sobą tytoniu.

Banamali rzekł:

— Pójdę i przyniosę tytoń oraz zapalki.

Wiedząc, czemu Banamali chce się oddalić, a bojąc się z tego samego powodu zostać sam z ciałem, powiedział Bidhu:

— Tak? Chcesz iść? Ja mam sam zostać? O, nie...

Umilkli obaj. Czas płynął powoli. Pięć minut zdało się godziną. Każdy kłął w skrytości serca tych dwu, którzy odeszli. Niewątpliwie, zamiast iść po drzewo, wyszukali sobie jakieś miłe zakątek, siedzą teraz i gwarzą przy świetle i winie.

Cisza była wokół. Od zbiornika dolatywał jeno rechot żab i ćwierk świerszczy. Nagle wydało się obu służącym, że nosze drgnęły, a ciało obróciło się na bok. Bidhu i Banamali przerazili się i zaczęli mruczeć:

— Ram... Ram...

W chacie rozległo się głębokie westchnienie.

Zerwali się z miejsc, wypadli z chaty i pobiegli co sił w nogach w kierunku wsi. Ubiegłszy około trzech kilometrów, natknęli się na towarzyszy wracających z latarniami. Poszli, jak się okazało, po światło i tytoń i nie wiedzieli, kiedy przybędzie drzewo. Oświadczyli tylko, że już została ścięta sosna, a gdy ją rozrąbią, paliwo będzie dostarczo-

Podstęp, Strach, Trup

ne. Bidhu i Banamali opowiedzieli, co im się zdarzyło. Nitaj i Guruczaran wyśmiali się z nich i zwymyślali za to, że zaniedbali obowiązku i uciekli.

Niezwłocznie udali się wszyscy czterej do chaty. Gdy weszli, przekonali się naocznie, że ciało znikło. Nosze były zupełnie puste. Patrzyli po sobie. Czyż ją porwał szakal? Ale nigdzie nie było widać szczątków ubrania.

Wyszedszy z chaty, zobaczyli odbity na mule, który się zgromadził pod drzewami, świeży lekki trop stopy kobiecej. Zamyślili się nad tym, co należy uczynić. Saradaśankar nie był łatwowiernym głuptakiem i nie uwierzyłby w bajkę o duchach, przeto postanowili oświadczyć, że ciało zostało spalone.

Nad ranem zjawili się ludzie z drzewem. Czterej służący bramińscy zwymyślali ich za próżniactwo i powiedzieli, że znaleźli drzewo w chacie i dokonali spalenia zwłok. Nikt się temu dziwić nie potrzebował, zwłaszcza że zwłoki to nie jest skarb mogący skusić kogoś do grzechu kradzieży.

II

Każdy wie o tym, że nawet wówczas, kiedy nie ma żadnego objawu życia, życie owo często przebywa w utajeniu i rozpocząć się może na nowo w ciele martwym na pozór. Kadambini nie zmarła, motor jej życia stanął nagle, z innego zgoła powodu.

Odzyskawszy przytomność, spostrzegła, że ze wszystkich stron otacza ją ciemność. Zauważyła także, że nie leży na swej pościeli. Zawołała głośno:

— Siostro!

Ale nie było odpowiedzi. Usiadła przerażona i przekonała się, że spoczywa na noszach pogrzebnych. Jednocześnie poczuła ból w piersiach i skurcz w gardle. Siostra starsza właśnie grzała mleko dla dziecka, w chwili gdy Kadambini mdlejąc, padła na poduszki i jęknęła:

— Siostro, przynieś dziecko... Tak mi słabo!

Potem wszystko okryła ciemność taka, jak kiedy ktoś wyleje atrament na zeszyt szkolny. Wspomnienia i świadomość Kadambini znikły, litery w księdze świata utraciły w jednej chwili swoje kształty. Wdowa nie mogła sobie przypomnieć, czy dziecko i tym razem, jak zazwyczaj, zawołało słodkim głosikiem:

— Ciociu!

Nie mogła sobie przypomnieć, czy opuszczając tę ziemię, by udać się w długą podróż śmierci, otrzymała pożegnalny dar serca, opłatę miłości na przebycie granic państwa milczenia. Zrazu, tak sędzę przynajmniej, uważała czarne miejsce, gdzie się znalazła, za dom Yamy¹⁴, gdzie nic nie widać, niczego nie słyhać, nic robić nie można, jeno trwać w wieczystym czuwaniu.

Ale nagle wiatr wpadł do chaty przez otwarte drzwi i usłyszała rechot żab. Przypomniała sobie wszystkie pory dżdżów, jakie przebyła w ciągu krótkiego życia, i uczuła żywo powinowactwo ciała swego z ziemią. Za chwilę mignęła błyskawica i Kadambini ujrzała zbiornik wody, wielki figowiec, rozległą równię oraz grupę drzew w dali.

Wspomniała, że czasem przychodziła tutaj w noc księżycowe kąpać się, i uświadomiła sobie, że drżała zawsze, ile razy ujrzała zwłoki przyniesione do chaty celem spalenia.

W pierwszej chwili chciała wrócić do domu. Ale potem szepnęła do siebie:

— Umarłam! Jakże mogę wracać? To przyniosłoby nieszczęście żywym! Porzuciłam królestwo życia. Jestem duchem.

Snua dalej myśli. Gdyby tak nie było, naonczas jakżeby mogła wyjść z domu Saradaśankary, ze strzeżonych dobrze komnat niewieścich, i jakże mogła przybyć sama tak daleko, aż do miejsca palenia zwłok. Zresztą gdzież są ludzie, którzy mają spalić jej ciało? Przecież nie sposób, by nie dopełniono obrzędów pogrzebowych. Przywiodła sobie na pamięć ostatnie swe chwile w oświetlonym, pełnym życia domu Saradaśankary i zestawiła ten obraz z pustką, nocą, chatą ciałopalną i swą obecnością tutaj. Nie, nie było żadnego węzła łączącego te dwa fakty. Nie mogła się zaprawdę zaliczać do żywych istot, była czymś strasznym, niepojętym, przeraźliwym... była własnym duchem.

Uświadomiwszy to sobie, uczuła, że zerwane zostały wszelkie nici łączące ją ze światem. Wydało jej się, że posiada siły niezwykajne, że swoboda jej jest nieograniczona.

Śmierć, Duch

¹⁴Yama (mit. hind.) — bóg śmierci. [przypis edytorski]

Mogła czynić, co chciała, iść, dokąd się podoba... Oszałała, upojona tą nową ideą wypadła wichrem z chaty i znalazła się na miejscu palenia ciał. Nie czuła strachu ni wstydu.

Szła prędko, ale po chwili uczuła, że bołą ją nogi, a ciało chyli się ku ziemi w znużeniu. Równia szła w bezkresy. Gdzieś tam widniały pola ryżowe, czasem zapadała po kolana w wodę.

Zaczęło świtać. Posłyszała pierwsze głosy ptaków w gęstwie bambusu otaczającej odległe domy. Nie mogła sobie określić nowego stosunku swego do świata żywych i do ziemi. Dopóki znajdowała się w ciałopalni, u zbiornika, okryta czarną nocą Śrabanu, nie znała trwogi, bowiem czuła się obywatelką swego państwa. Teraz gdy dniało, strachem przejmował ją widok siedzib ludzkich. Ludzie i duchy boją się siebie wzajem, albowiem pokolenia ich mieszkają na innych brzegach rzeki śmierci.

III

Odzienie Kadambini pokryło się lepkiem błotem, dziwne myśli i nocna wędrówka nadały jej wygląd obłąkanej. Można się jej było przestraszyć i dzieci by ją zarzuciły gradem kamieni albo rozpierzchyli się na jej widok w popłochu. Na szczęście pierwszy człowiek, jakiego napotkała, był to podróżny. Zbliżył się i rzekł:

— Matko, wyglądasz na uczciwą kobietę. Gdzież to idziesz sama i w tak zawałanym ubraniu?

Kadambini, niezdolna zebrać myśli, spoglądała nań w milczeniu. Nie mogła sobie wyobrazić, że stoi jeszcze w jakimś stosunku do świata, że wygląda na uczciwą kobietę, że podróżny może jej o coś pytać.

A on powtórzył:

— Chodź, matko! Odprowadzę cię do domu. Powiedz mi, gdzie mieszkasz?

Kadambini zamysliła się. Było nonsensem wracać do domu mężowskiego, a rodzicielskiego domu nie miała. Przyszła jej na myśl przyjaciółka lat dziecięcych. Nie widziała Jogmai od dawna już, ale pisywały do siebie co pewien czas. Raz wyniknął pomiędzy nimi spór. Kadambini twierdziła, że Jogmaja nie odwzajemnia jej miłości jak należy, a Jogmaja, przeciwnie, wymawiała przyjaciółce oziębłość i niezdolność pojęcia miłości prawdziwej. Obie pewne były, że, spotkawszy się raz, nie rozstaną się już nigdy.

Kadambini powiedziała podróżnemu:

— Chcę iść do domu Śripati w Nisindapurze.

Udawał się do Kalkuty, przeto, mimo że dość odległe, Nisindapur leżało na jego drodze, zaprowadził więc Kadambini do domu Śripati i przyjaciółki spotkały się. Zrazu nie poznały się, potem jednak odnalazły wzajem rysy lat dziecięcych.

— Co za szczęście! — wykrzyknęła Jogmaja. — Nie marzyłam już o tym, że cię zobaczę! Ale w jakim sposobie dostałaś się tutaj, siostrze? Jakże mógł zezwolić ojciec męża twego, byś podróżowała pieszo?

Kadambini milczała chwilę, potem rzekła:

— Siostrze, nie pytaj. Daj mi kącik w twym domu i weź za swoją niewolnicę. Chcę pracować i pomagać ci.

— Co? — krzyknęła Jogmaja. — Ty moją niewolnicą? Ty, moja ukochana Kadambini...

Mówiła długo w tym sensie.

Właśnie w tej chwili wszedł Śripati. Kadambini patrzyła nań przez chwilę wzrokiem tępym, potem wyszła z komnaty wolnym krokiem. Nie zakryła wcale twarzy, nie ujawniła obyczajności właściwej kobiecie i nie oddała czci panu domu. Jogmaja w obawie, by mąż nie uprzedził się do przyjaciółki, zmyśliła na poczekaniu misterny wykręt. Ale Śripati, słuchając z całym poddaniem się wszystkiego, co mówiła, nagle przerwał potok jej wymowy i Jogmaja uczuła coś nieokreślonego, co nie było przyjemne.

Kadambini przybyła, ale nie była już podobna do przyjaciółki. Śmierć stała pomiędzy nimi. Nie mogła żyć się poufale z innymi, gdyż własne istnienie wprawiało ją w zaskopowanie, a świadomość ogarniała inne horyzonty. Często patrzyła na Jogmaję tępym wzrokiem i myślała:

„Oto ona ma swego męża, swą pracę, żyje we własnym świecie, tak odległym od mego. Dzieli się miłością i obowiązkami z ludźmi podobnymi do siebie. Ja zaś jestem znikomym cieniem tylko. Ona żyje, ja trwam w wieczności”.

Jogmaja czuła także jakiś niepokój, nie mogła jednak zdać sobie sprawy, skąd pochodzi. Kobiety nie lubią rzeczy tajemniczych, bo chociaż niepewność można zmienić w poezję, bohaterstwo czy wiedzę, w żaden sposób nie można wstawić jej do rachunków gospodarczych. Dlatego, gdy kobieta czegoś nie rozumie, niweczy tę rzecz albo zapomina o niej, wreszcie próbuje przetrworzyć na swój użytek. Jeśli i to jej się nie powiedzie, wpada w gniew.

Im bardziej zamyślona i niepewna była Kadambini, tym usilniej wypytywała Jogmaja, jaki smutek ciąży na jej duszy.

Wyłoniło się jeszcze inne niebezpieczeństwo. Kadambini czuła strach przed sobą samą, nie mogła zaś uciec przed sobą. Ludzie bojący się duchów boją się czegoś, co stoi poza nimi, tam gdzie wzrok ich nie sięga. To jest strach. Tymczasem Kadambini nie bała się niczego stojącego poza nią, nie bała się owych zaświatowych duchów. Jedynym źródłem strachu była dla niej własna jej istota. Gdy znalazła się wśród nocy, w ciszy zupełnej, sama w swojej stancyjce, wydawała okrzyki. Tak samo drżała na całym ciele, ujrzawszy wieczorem przy lampie cień swój na ścianie. Patrząc na trwożliwość Kadambini, wszyscy w domu odczuwali strach i doszło do tego, że służbie i Jogmai samej wydawało się teraz ciągle, że widzą duchy.

Raz o północy Kadambini szlochając, zapukała do przyjaciółki i prosiła błagalnie:

— Siostrze! Pozwól mi położyć się u stóp twoich, nie zostawiaj mnie samej!

Jogmaja wpadła w gniew, a jednocześnie ogarnął ją dreszcz przerażenia. W pierwszej chwili chciała po prostu wygnąć precz przyjaciółkę. Poczciwy Śripati zdołał jednak uspokoić żonę, a potem po wielu usiłowaniach powiodło mu się odprowadzić Kadambini do jej izdebki.

Nazajutrz Jogmaja zawezwała niespodzianie do siebie męża. Od razu zasypała go wyrzutami:

— Cóż z ciebie za mężczyzna? Kobieta ucieka z domu teścia swego i przybywa do ciebie... mija cały miesiąc, a ty ni słowem nie dałeś jej do zrozumienia, by wracała! Nie słyszałam z twej strony najmniejszego protestu. Proszę cię, powiedz mi zaraz, co to ma znaczyć?... Oooo... wszyscyście jednacy... znam ja was...

Większość mężczyzn ma takie upodobanie do swych żon, że wbrew rozsądkowi, dobrowolnie dają się terroryzować i zwałać na się winy, do których się nie poczuwają. Śripati miał zamiar wzruszyć Jogmaję i przysiąc, że przyjacielska jego sympatia dla opuszczonej, ale pięknej Kadambini nie była ani na włos większa, jak należy, ale zachowaniem swym nie udowodnił tego zgoła.

Powiedział żonie, że widocznie w domu teścia obchodzono się z wdową po synu w sposób tak haniebnym, iż znieść tego dłużej nie mogła i, chcąc nie chcąc, schroniła się do przyjaciółki. Nie ma ni ojca, ni matki, czyż tedy może ją opuścić? Na tym zakończył całą sprawę, gdyż nie miał zamiaru dręczyć Kadambini przykrymi dla niej pytaniami.

Ale żona nie przestawała czynić wysiłków, by pobudzić do czynu swego opieszalego władcę i pana, tak że widział się w końcu zmuszonym, dla świętego spokoju, zawiadomić teścia Kadambini o stanie rzeczy. Ponieważ napisanie listu uznał za niedostateczne, tedy postanowił udać się osobiście do Ranihatu, przekonać się naocznie o wszystkim, a potem odpowiednio postąpić.

Poszedł tedy, a Jogmaja odezwała się do Kadambini:

— Siostrze! Nie wypada, byś tutaj dłużej przebywała! Cóż ludzie na to powiedzą?

Kadambini spojrzała na przyjaciółkę tępym wzrokiem i odparła:

— Ludzie? A cóż mnie z ludźmi łączy?

Jogmaja osłupiała. Po chwili przyszła do siebie i powiedziała ostrym tonem:

— Jeśli ciebie ludzie nie obchodzą, to jednak obchodzą nas. Jakże przeto usprawiedliwimy przed nimi, że trzymamy u siebie kobietę, która jest członkiem innej rodziny i winna się znajdować w domu swego teścia?

Kadambini odparła z jakimś zdziwieniem:

— A gdzież jest dom mego teścia?

„Niech ją diabli biorą!” — zakrzyknęła w duchu Jogmaja. — „Ciekawam, co za brednie jeszcze usłyszę?”.

A Kadambini ozwała się:

— Cóż ja mam wspólnego z wami? Wszak nie przynależę do tej ziemi! Wy, ludzie, śmiejecie się, płaczecie, kochacie się, każdy z was bierze, co mu przystoi, i trzyma w rękę dobro swoje... Ja patrzę tylko na to wszystko. Wy jesteście ludźmi żywymi... ja jestem cieniem tylko. Nie pojmuję, doprawdy, po co Bóg pozostawił mnie na ziemi... czemu się dotąd po niej walęsam...

Słowa te i spojrzenia były tak dziwne, że Jogmaja zrozumiała nieco zachowanie się Kadambini. Naturalnie nie pojęła wszystkiego, ale nie czując się na siłach wydalić ją z domu, a także widząc bezskuteczność dalszych pytań, odeszła pogrążona w myślach.

IV

Śripati wrócił z Ranihatu późno w nocy. Była godzina dziesiąta, a deszcz lał strumieniami. Zdawało się, że ulewa nie ustanie nigdy, a noc trwać będzie wiecznie.

Jogmaja spytała natychmiast:

— I cóż?

— Mam bardzo dużo do powiedzenia! — odrzekł.

Poszedł zmienić przemoczone odzienie na suche, potem zjadł kolację, a wreszcie położył się do łóżka. Palił fajkę i milczał. Był bardzo wzruszony.

Żona tłumila długo ciekawość, ale nie mogąc wytrzymać, zbliżyła się w końcu do jego posłania i spytała:

— Cóż się dowiedziałeś?

— Przekonałem się, iż popełniłaś wielką omyłkę.

Jogmaja uczuła się dotknięta. Kobiety nie myślą się nigdy, a jeśli się to nawet stanie, to rozsądny mężczyzna nie powinien ni słowem wspomnieć o takim fakcie. Lepiej uczyni, jeśli weźmie skutki na swoje barki. Jogmaja ozwała się:

— Może raczysz mi powiedzieć, w czym się omyliłam?

— Kobieta, którą przyjąłś w dom nasz, nie jest twą przyjaciółką lat dziecięcych, imieniem Kadambini!

Jogmaja rozgniewała się, słysząc te słowa. Złościło ją zwłaszcza to, że słyszy je od własnego męża.

— Co? Ja miałabym nie poznać przyjaciółki? Muszę dopiero od ciebie zasięgać informacji? Doprawdy rozsądny z ciebie człowiek!

Śripati wyjaśnił żonie, że nie ma tu co rozprawiać o jego rozsądku, gdyż może swe słowa poprzeć dowodami. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż przyjaciółka Jogmai, Kadambini... zmarła.

— Słuchaj! — powiedziała oburzona. — Nie przecz... Pewna jestem, iż nie trafiłeś do domu Saradaśankarów, ale zaszedłeś gdzie indziej i przynosisz same poprzekręcane plotki. To wszystko brednie. Po cóż w ogóle chodziłeś? Napisz list, wyślij pocztą, a wszystko się wyjaśni.

Śripati obraził się, iż żona mu nie wierzy i podejrzewa, że sprawność jego władz umysłowych jest niedostateczna. Przytoczył tedy wszystko, co mógł, opowiadał szczegółowo, co widział, cytował nazwiska. Ale wszystko było daremne. Nadeszła północ, a oni spierali się jeszcze z sobą.

Zgodzili się tylko na jedno, mianowicie na to, że Kadambini musi się z ich domu wynosić. Śripati upierał się przy twierdzeniu, że rzekoma przyjaciółka jego żony jest inną osobą, a Jogmaja przyszła do przekonania, że jest prawdziwą, tylko wygnano ją z domu za złe prowadzenie się i dlatego twierdzą, iż umarła, co ma być rozumiane symbolicznie. Żadne z małżonków nie chciało ustąpić drugiemu, a wśród sporu zapomnieli całkiem, że Kadambini śpi w sąsiednim pokoju, i krzyczeli na całe gardło.

Mąż wołał:

— A to dopiero awantura! Powtarzam ci, że słyszałem na własne uszy, że umarła!

— Co mnie to obchodzi! — upierała się żona. — Wierzę własnym oczom! Dla mnie to najlepszy dowód... ta kobieta jest niezawodnie Kadambini!

Kobieta, Mężczyzna

Po chwili Jogmaja, chcąc przygwoździć męża i udowodnić mu jak na dłoni omyłkę i fałsz, wzięła się na sposób.

— No, dobrze! — ozwała się. — Powiedz mi dokładnie, kiedy wedle ciebie umarła Kadambini?

Sądziła, że zwycięży, jeśli wykryje sprzeczność pomiędzy datą śmierci a datą ostatniego listu przyjaciółki, i zamknie mężowi raz na zawsze usta.

Wymienił jej dzień i przekonali się oboje, że data zgadzała się dokładnie z wilią dnia, w którym Kadambini zjawiała się w ich domu.

Jogmaja zadrżała, a Śripati także uczuł dreszcz na plecach.

W tej chwili otwarły się drzwi. Wpadła fala mokrego wiatru i lampa zgasła. Ciemność wdarła się do komnaty i wypełniła cały dom. Kadambini stała pośrodku sypialni. Deszcz szeleścił po ścianach, oknach i dachu.

Kadambini powiedziała głośno:

— Jogmajo! Jestem twą przyjaciółką Kadambini, ale nie żyję już... umarłam w dniu podanym przez męża twego!

Jogmaja wrzasnęła śmiertelnie przerażona, Śripati nie mógł mówić.

— Umarłam... to prawda. Ale nie uczyniłam ci żadnej krzywdy. Nie mam miejsca pośród żywych i nie mam miejsca pośród umarłych... O... dokądże mam iść?

Płacząc rozgłośnie, jakby chciała zbudzić śpiącego wśród tej strasznej ulewnej nocy Stwórcę, powtórzyła raz jeszcze:

— O! Dokądże mam iść?

Powiedziawszy to, opuściła przyjaciółkę, leżącą w omdleniu na ziemi w ciemnej sypialni, i poszła w świat szukać miejsca dla siebie.

V

Trudno opisać, jak Kadambini dostała się do Ranihatu. Zrazu nie pokazywała się nikomu. Cały dzień spędziła w ruinie jakiejś świątyni, ginąc niemal z głodu. Dopiero kiedy deszczowe popołudnie przemieniło się w czarną noc, a ludzie skryli się przed ulewą po domach, wyszła na świat.

Serce jej biło mocno, gdy stanęła pod domem teścia swego. Zasłoniwszy twarz gęstym welonem, otrzymanym od przyjaciółki, weszła do środka. Służba pilnująca bramy nie stawiała jej przeszkód. Myśleli zapewne wszyscy, że to jedna ze służebnych wraca, spełniwszy polecenie.

Pani domu, żona Saradaśankara, grała w karty ze swoją synową. W kuchni krzątała się kucharka. Synek szwagierki leżał chory w sypialni. Kadambini, niepostrzeżona przez nikogo, dostała się do tej właśnie komnaty. Trudno zbadać, czemu wróciła do domu teściów, nie wiedziała tego sama. Czuli tylko, że pragnie zobaczyć swego ukochanego malca. Nie zdawała sobie sprawy, co ma czynić i mówić.

Zobaczyła dziecko śpiące w oświetlonym pokoju. Miało zaciśnięte piąstki, a ciałem jego wstrząsały dreszcze. Na widok malca serce Kadambini wezbrało palącym pragnieniem. O, gdybyż mogła przytulić to biedne ciało do piersi swojej! Jednocześnie przyszło jej na myśl:

— Mnie już nie ma! Któż spostrzeże? Matka jego przepada za kartami, pogwarką i towarzystwem. Przez cały czas, kiedy pielęgnowałam dziecko, nie dbała o nie wcale, nie pragnęła go nawet widzieć. Któż się teraz zajmie malcem? Kto mnie zastąpi?

Chłopiec przewrócił się na bok i na pół przez sen zawołał:

— Ciociu! Wody!

Drogi, kochany malec nie zapomniał dotąd ciotki. Z gorączkowym pośpiechem nalala wody do szklanki, wzięła malca na ręce i dała mu się napić.

Dopóki chłopiec spał, nie widział w tym nic dziwnego, że ciotka napoiła go wodą. Nawykł do tego. Kiedy jednak Kadambini, ulegając wewnętrznej potrzebie serca, pocałowała go i zaczęła bujać na rękach, obudził się i objął ją za szyję.

— Czy to prawda, cioteczko — spytał — że ty umarłaś?

— Tak, kochanku! — odparła.

— Ale wróciłaś do Satiska? O, proszę cię, nie umieraj już drugi raz!

Duch, Wygnanie,
Tajemnica

Zanim zdołała odpowiedzieć, stała się rzecz straszna. Do pokoju weszła służąca z miską sago. Na widok Kadambini upuściła naczynie i padła na ziemię. Na odgłos upadku porzuciła jej pani karty i weszła do sypialni. Spojrzała i skamieniała, nie mogąc ruszyć się ani mówić. Dziecko widząc, co się dzieje, przeraziło się także. Zaczęło płakać i wołać:

— Idź sobie! Idź sobie, ciociu!

W tej chwili zrozumiała Kadambini, że żyje, że nie umarła. Dawne otoczenie, pokój, meble, ukochany malec, miłość jego, wszystko to stało się na powrót żywe, bliskie, nie było ni śladu przerwy w przyczynowym łańcuchu zjawisk. Gdy mieszkała u przyjaciółki, wydawało się jej, że to, w czym żyła przedtem, znikło. Jeden krzyk dziecka zmienił wszystko. Zwracając się do szwagierki, powiedziała:

— Czemuż boisz się mnie, siostrze? Wszakże jestem tą samą, jaką byłam zawsze. Czyż mnie nie poznajesz?

Szwagierka nie mogła znieść dłużej wstrząsu nerwowego i padła zemdlna. Do sypialni wszedł sam szwagier Saradaśankar. Złożył ręce i zaczął mówić błagalnym głosem:

— Kadambini! Co czynisz? Czy nie masz litości? Satik to mój syn jedyny... Czemuż jemu ukazujesz się właśnie? Czyż dziecko to nie jest członkiem własnego rodu twego? Od czasu, gdyś odeszła, z każdym dniem było z nim coraz gorzej, ciągle wołał: „Ciociu! ciociu!”. Ale wszakże opuściłaś ten świat, rozerwij tedy, błagam cię, złudną oponę Mai... Oddamy ci wszystkie hołdy i całą cześć umarłym należną!

Kadambini nie mogła dłużej słuchać i powiedziała:

— Ja nie umarłam, nie umarłam. Jakże was zdołam przekonać? Żyję! Żyję!

Podniosła urnę brązową stojącą na ziemi, uderzyła się nią w czoło. Krew spłynęła po twarzy.

— Patrzcież! Krew! Tedy żyję!

Saradaśankar stał niby słup kamienny, dziecko krzyczało ze strachu, obie zemdłone kobiety leżały na ziemi.

— Nie umarłam! Żyję! — zawołała Kadambini raz jeszcze, potem wybiegła z pokoju, przesunęła się szybko po schodach, skierowała się ku studni podwórzowej i skoczyła w głąb. Saradaśankar usłyszał z pierwszego piętra plusk wody.

Przez całą noc trwała ulewa, deszcz padał na drugi i na trzeci dzień jeszcze.

Śmiercią swą stwierdziła Kadambini dowodnie, że nie umarła.

Duch

Głodne kamienie

Zetknęliśmy się z tym człowiekiem w pociągu, wracając z kuzynem do Kalkuty z wycieczki wakacyjnej. Sądząc po stroju i zachowaniu, mieliśmy go zrazu za mahometanina z głębi kraju, kiedy jednak zaczął mówić, nie wiedzieliśmy zupełnie, co o nim myśleć. Mówił o najrozmaitszych rzeczach z taką pewnością, że można było przypuszczać, iż moźni tego świata zawsze we wszystkich sprawach zasięgali jego rady. Jak dotychczas byliśmy zupełnie szczęśliwi, nie mając najmniejszego pojęcia o tym, że w grze są jakieś nieznanne, niesłychane siły, że Rosjanie już idą na nas, że Anglicy knują naszą zgubę, zaś niezgoda panująca wśród przywódców narodowych musi doprowadzić do jakiegoś przełomu. Ale nasz nowy przyjaciel oświadczył z wiele mówiącym uśmiechem: „Między niebem a ziemią, Horacio, dzieje się znacznie więcej, niż twe dzienniki piszą”¹⁵.

Ponieważ dotychczas nigdy jeszcze nie opuszczaliśmy domu, człowiek ten imponował nam nadzwyczajnie. Przy najmniejszej sposobności uciekał się do nauk przyrodniczych, przytaczał Wedy lub cytował wiersz któregoś z perskich poetów, a ponieważ my nie mogliśmy rościć sobie pretensji do znajomości nauk przyrodniczych, Wed lub perskiego, nasz podziw dlań wzrastał oczywiście z każdą chwilą, zaś krewniak mój, teozof, był głęboko przekonany, że nasz towarzysz podróży posiada cudowną magnetyczną czy okultystyczną siłę, ciało astralne czy jakieś inne tym podobne nadnaturalne właściwości. Z pobożnym zachwytem słuchał najniedorzeczniejszych bredni, jakie wychodziły z ust

¹⁵*Między niebem a ziemią, Horacio, dzieje się znacznie więcej, niż twe dzienniki piszą* — nawiązanie do wypowiedzi Hamleta z tragedii Shakespeare’a: *O Horacy, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom* (tłum. J. Paszkowski). [przypis edytorski]

naszego niezwykłego towarzysza podróży, a nawet robił sobie po kryjomu notatki. Zdaje mi się, że nadzwyczajny mąż zauważył to i wcale nie brał za złe.

Stanąwszy na stacji, na której trzeba się było przesiadać, zebraliśmy się w poczekalni, aby zaczekać na swój pociąg. Była dziesiąta wieczór, a ponieważ słyszeliśmy, iż pociąg z powodu zepsucia szyn będzie miał prawdopodobnie znaczne opóźnienie, rozesłałem na ławce koc i już chciałem się na nim położyć, aby się spokojnie przedzierać, gdy naraz ów nadzwyczajny mąż zaczął powoli i z namysłem opowiadać następującą historię. Oczywiście o śnie tej nocy mowy już nie było.

— Kiedy z powodu pewnej różnicy zdań w sprawach administracyjnych zrezygnowałem ze swego stanowiska w Dżunagarh i wstąpiłem do służby nizama Hajderabadu, zostałem jako energiczny młody człowiek mianowany natychmiast poborcą podatkowym od bawełny w Baricz.

Baricz jest miejscowością zachwycającą. Susta, wesoło gawędząc, skacze w dolinę przez kamienie i żwir i drobi potem, niby zręczna tancerka, pod drzewami lasu leżącego u stóp samotnych gór. Liczące sto pięćdziesiąt stopni schody prowadzą z rzeki w górę, zaś nad schodami, na brzegu rzeki u stóp gór, stoi opuszczony pałac marmurowy. Dokoła nie ma nigdzie ani jednej chaty, bo wieś Baricz ze swym targiem bawełnianym leży w znacznej odległości od pałacu.

Przed jakimś dwustu pięćdziesięciu laty cesarz Mahmud Szah II zbudował sobie ten samotny pałac na letnie mieszkanie. Za jego czasów były z fontann strumienie wody różanej, a na chłodnych płytach marmurowych komnat, w których powietrze odświeżano za pomocą sztucznych wonnych deszczów z rozpylaczy, siedziały dziewczeczki perskie z włosami rozpuszczonymi przed kąpielą i pluskając delikatnymi bosymi nóżkami w wodzie basenów, śpiewały do dźwięku gitary gazele¹⁶ swych winnic.

Fontanny nie szmerzą już, pieśni ucichły; różane stópki nie drepcą wdzięcznie po białym jak śniegi marmurze. Dziś pałac jest tylko odległą samotną kwaterą takich jak ja poborców podatkowych, jęczących pod brzemieniem samotności i pozbawionych towarzystwa nadobnych kobiet. Karim Khan, mój stary woźny, kilkakrotnie przestrzegał mnie przed tą kwaterą. „W dzień może pan tam siedzieć” — mówił — „ale na noc niech pan nie zostaje!”. Odprowadzałem go ze śmiechem. Służba oświadczyła, że gotowa pracować w pałacu do zmierzchu, ale wieczorami będzie odchodzić. Nie miałem najzupełniej nic przeciwko temu. Dom był tak okrzyczany, iż nawet złodzieje z zapadnięciem ciemności nie śmieli się do niego zbliżyć.

Zrazu samotność tego opuszczonego pałacu dławiała mnie jak zmora. Siedziałem w biurze do późna i pracowałem tak długo, jak tylko mogłem, a potem wracałem późnym wieczorem do domu wyczerpany i znużony, kładłem się natychmiast i zasypiałem.

Ale nim tydzień minął, zaczął pałac wywierać na mnie niesamowity wpływ. Trudno to opisać lub kazać komuś w to uwierzyć, ja jednak miałem wrażenie, jak gdyby cały dom był żywym organizmem, który mnie powoli zupełnie pożera.

Być może, że zaczęło się to, jak tylko w dom ten wszedłem, ale ja przypominam sobie dokładnie dzień, w którym pierwszy raz zdałem sobie z tego sprawę.

Było to z początkiem lata, a ponieważ targ nie był bardzo ożywiony, nie miałem wiele do roboty. Tuż przed zachodem słońca siedziałem w fotelu nad wodą przy schodach. Susta cofnęła się głęboko w łożysko, a na drugim brzegu szeroka smuga piasku świeciła wszystkimi barwami zachodzącego słońca; z tego brzegu widziałem przez czystą, płytką wodę, jak na dnie rzeki połyskują kamyczki. Nie czuło się ani tchnienia wiatru, a nieruchome powietrze przepełnione było ciężkim aromatem korzennych krzewów rosnących na niedalekich wzgórzach.

Kiedy słońce skryło się za górami, długa ciemna zasłona opadła na scenę dnia, a wylaniające się przed nią wierzchołki gór skróciły czas mieszania się światła i cienia podczas zachodu słońca. Pomyślałem, żeby się może przejechać, i już chciałem wstać, gdy naraz usłyszałem za sobą na stopniach kroki. Obejrzałem się — nie było nikogo.

Przekonany, że to złudzenie, usiadłem, ale w tej chwili usłyszałem odgłos licznych kroków, jak gdyby wielki jakiś tłum zbiegał na dół po schodach. Całym mym ciałem wstrząsnął dziwny dreszcz zachwyty połączony z odrobiną trwogi, a mimo że oczy moje

¹⁶*gazel* a. *gazela* — utwór poetycki, charakterystyczny dla sztuki perskiej. [przypis edytorski]

nie dostrzegły ani jednej postaci, miałem przecie wrażenie, jak gdybym widział gromadę wesołych dziewcząt zbiegających po schodach, aby się tego letniego wieczoru wykąpać w Suście. Najmniejszy odgłos nie zakłócał ciszy, w której pogrążona była dolina, rzeka i pałac, a przecie ja słyszałem wyraźnie, niby plusk setek kaskad, wesoły, swawolny śmiech dziewcząt, gdy śpiesząc ku rzece, gonili się i ścigały wzajemnie, nie zauważywszy mnie nawet. Jak one były niewidzialne dla mnie, tak oczywiście ja byłem niewidzialny dla nich. Rzeka była najzupełniej spokojna, a mimo to czułem, jak jej ciche, czyste wody zostały naraz zmacone przez niejedno dzwoniące bransoletami ramię, jak dziewczęta ze śmiechem opryskują się wodą wzajemnie i jak nóżki pięknych pływaczek wyrzucają snopy perlistych kropli.

Czułem, jak serce me drgnęło — lecz nie wiem, czy to, co mnie tak podnieciło, to była trwoga, zachwyt czy ciekawość. Pragnąłem mocno ujrzeć je wyraźniej, ale oczom moim nie było nic widzialne. Byłem pewny, że zrozumie wszystko, co mówią, jeśli tylko uważniej będę słuchał; jednakże mimo wszelkich wysiłków nie słyszałem nic prócz ćwierkania świerszczy w lesie. Było to, jak gdyby dzieliła mnie od nich ciemna zasłona dwustu pięćdziesięciu lat, i miałem aż nadto wielką chęć drżącymi palcami unieść jeden jej koniec i zajrzeć, choćby nawet towarzystwo po drugiej stronie pogrążone było w ciemnościach.

Nagły podmuch wiatru przerwał parną, duszną ciszę wieczoru, gładka powierzchnia Susty zmarszczyła się i splątała niby kosa¹⁷ nimfy, zaś równocześnie z lasu, czarnego już w świetle wieczornym, doleciał szmer, jak gdyby ten las zbudził się nagle z jakiegoś ciężkiego snu. Otóż, czy to była rzeczywistość, czy sen — znikomy blask niewidzialnego fata morgana, dalekiego, dwieście pięćdziesiąt lat liczącego sobie świata, zniknął z błyskawiczną szybkością. Jakoś nie powracały, wykręcając w biegu przemoczone suknie, tajemnicze postacie, które szybkimi bezcielesnymi krokami przebiegły koło mnie ze swym głośnym, bezdźwięcznym śmiechem i rzuciły się w wodę. Jak woń, którą lekki podmuch zwiewa, tak one zostały zdmuchnięte jednym jedynym tchnieniem wiosny.

A wtedy ogarnęła mnie naraz szczerą trwoga, że to może Muza chce wykorzystać mą samotność i opanować mnie — że ta zła wróżka przyszła prawdopodobnie, aby zniszczyć biedaka, który chciał się wybić jako poborca podatkowy. Postanowiłem tedy porządnie jeść wieczorem, bo te wszystkie nieuleczalne choroby pochodzą właściwie zwykle z pustego żołądka. Toteż zawołałem natychmiast kucharza i kazałem mu na drugi dzień, nie szczędząc tłuszczu ani korzeni, zrobić obfity obiad w wielkim stylu Mogulów.

Następnego poranka wydawało mi się to wszystko po prostu urojeniem. W jak najlepszym humorze wziąłem na głowę kapelusz letni, jaki noszą sahibowie, i pojechałem do kancelarii. Miałem tego dnia napisać raport kwartalny i byłem pewny, że wrócę do domu późno; tymczasem, zanim się jeszcze ściemniło, już zaczęło mnie dziwnie do domu ciągnąć — nie wiedziałem nawet, co to było, czułem tylko, że wszyscy na mnie czekają i że nie mogę dłużej przebywać poza domem. Wobec tego nie skończyłem swego raportu, wstałem, włożyłem kapelusz i, przeraziwszy ciemny, opuszczony gościniec chrzęstem swego wózka, dotarłem do obszernego pałacu stojącego w milczeniu u ciemnego okraju wzgórz.

Na pierwszym piętrze schody prowadziły do bardzo obszernej hali z szerokim, bogato ozdobionym sklepieniem spoczywającym na trzech rzędach potężnych kolumn i jęczącym dzień i noc pod brzemieniem swej bezgranicznej samotności. Dzień chylił się ku końcowi, a lamp jeszcze nie zapalono. Kiedy otworzyłem drzwi, powstało tam coś w rodzaju panicznego zamieszania, jak to bywa, gdy zgromadzony tłum w nagłym popłochu rozbiega się i ucieka przez drzwi, okna, korytarze, werandy i pokoje, aby tylko jak najprędzej pierzchnąć.

Nie widząc nikogo, stanąłem zmieszany, włosy moje zjeżyły się pod wpływem jakiegoś ekstatycznego zachwytu, a równocześnie odurzył mnie przedziwnie nikły, ze starości prawie zwiertzały aromat olejku różanego i innych perfum. Stojąc tak w kącie obszernej pustej hali, wśród rzędów tych starych kolumn, usłyszałem szmer wody padającej z wodotrysków na płyty marmurowe, dziwną jakąś melodię wygrywaną na gitarze, brzęk klejnotów, szcęk nagolennic, dźwięk dzwonów wybijających godziny, cichy, dźwięcz-

¹⁷kosa (tu daw.) — warkocz. [przypis edytorski]

ny ton poruszanych wiatrem kryształowych wisiorów u świeczników, śpiew słowików w klatkach na korytarzach, klekotanie bocianów w ogrodzie, zaś wszystko spływało się dokoła mnie w jedną cudowną, nadziemską muzykę.

A nagle padł na mnie taki jakiś dziwny urok, że to nieuchwytnie, nieokreślone i nierzeczywiste zjawisko wydało mi się jedyną rzeczywistością na świecie, przy której wszystko inne było tylko snem. To, że ja, Śridżut Taki-a-taki, najstarszy syn śp. Takiego-a-takiego, urzęduję tu jako poborca podatkowy z czterystu pięćdziesięcioma rupiami płacy miesięcznej, ten sam, który dzień w dzień w marynarce i letnim kapeluszu zajężdża wózkiem zaprzęgniętym w kucyki przed swoje biuro, wydało mi się tak niesłychanie śmieszne, że stojąc w ciemnościach tej wielkiej milczącej hali, wybuchnąłem głośnym śmiechem.

W tej chwili wszedł mój służący z zapaloną lampą w ręce. Nie wiem, czy myślał, że postradałem zmysły, ale naraz stało mi się zupełnie jasnym, że istotnie jestem Śridżut Taki-a-taki, syn śp. Takiego-a-takiego. I gdy jedynie nasi poeci mogą powiedzieć, czy gdzie pod ziemią lub nad ziemią jest jakaś sfera, w której bezustannie szemrzą niewidzialne wodotryski i w której dłonie niewidzialnych wrózek wydzwaniają na gitarze wieczne akordy, jedno było w każdym razie pewne, mianowicie: że ja *jestem* poborcą podatkowym na rynku w Baricz z płacą czterystu pięćdziesięciu rupii miesięcznie. Siedząc przy świetle lampy z gazetą w ręce za stołem połowym, śmiałem się ze swych przewidywań.

Przeczytawszy gazety i skończywszy swój obiad, zgasilem lampę i położyłem się do łóżka w małej alkowie. Promienista gwiazda spoglądała bez drgnienia przez otwarte okno sponad obramowanych czarnym lasem gór Avalli — ze swej setki milionów mil liczącej wysokości — na pana poborcę podatkowego wyciągniętego na skromnym łóżku. Myśl ta wydała mi się dziwna i dziwaczna zarazem i nie wiem, kiedy zasnąłem ani jak długo spałem; a naraz zerwałem się ze snu, mimo że nic nie słyszałem ani nie widziałem żadnego intruza — tylko jasna gwiazda nad wierzchołkiem góry zaszła, a blade światło zachodzącego księżyca ukradkiem wdzierало się przez otwarte okno, jak gdyby wstydzając się własnego natręctwa.

Nie widziałem nikogo, miałem jednakże wrażenie, że ktoś mnie z lekka trąca. Kiedy się zbudziłem, nie odezwała się do mnie ani słowem, a tylko swą zdobną w pierścienie ręką skinęła, abym szedł ostrożnie za nią. Wstałem po cichu i, mimo iż w licznych komnatach pałacu z jego drzemiącymi odgłosami i czujnym echem nikogo oprócz mnie nie było, bałem się za każdym krokiem, że ktoś może się zbudzić. Większa część komnat pałacu była zawsze zamknięta i nigdy do nich nie wchodziłem.

Wstrzymując oddech, szedłem cichymi krokami za swą przewodniczką — dokąd, tego dziś powiedzieć nie mogę. Przez ile prowadzono mnie nieskończonych, ciemnych i ciasnych krużganków, ile długich korytarzy, ile cichych, uroczystych sal posłuchania i ile małych zacisznych alkierzyków!

Mimo że pięknej przewodniczki dojrzeć nie mogłem, to przecie postać jej nie była dla mego oka duchowego niewidzialną — była to dziewczyna arabska, której gładkie jak marmur pełne ramiona przeświecały przez luźne rękawy; cienki welon padał jej z brzegu okrycia głowy na twarz, a za pasem tkwił zakrzywiony nóż. Miałem wrażenie, jak gdybym naraz został przeniesiony w którąś z *Tysiąca i jednej nocy* i szedł na niebezpieczną schadzkę ciasnymi ciemnymi uliczkami śpiącego Bagdadu.

Wreszcie przewodniczka moja zatrzymała się nagle przed ciemnoniebieską zasłoną i zdawało mi się, że na coś u swych stóp pokazuje. Nic tam nie było, ale ze strachu krew mi naraz w żyłach zastygła — bo tam, tuż przy oponie, przywidział mi się okropny Murzyn, eunuch, przybrany w bogaty brokat, siedzący z wyciągniętymi przed siebie nogami i śpiący z dobytym mieczem na kolanach. Moja piękna przewodniczka przeskoczyła lekko przez jego nogi i uniosła w górę brzeżek zasłony. Mogłem rzucić przelotne spojrzenie w jedną część pokoju, którego podłoga zasłana była perskim kobiercem. Ktoś tam siedział na łożu — kto, tego nie widziałem, dostrzegłem tylko dwie czarujące małe nóżki w wyszywanych złotem pantofelkach z zakrzywionymi noskami, wystające z szerokich szafranowych szarawarów i spoczywające leniwo na aksamitnym pomarańczowym kobiercu. Po jednej stronie stał stolicek z błękitnego kryształu, na którym kilka jabłek, gruszki, pomarańcze, mnóstwo winogron oraz dwa małe kubki obok złotego dzbana

najwidoczniej oczekiwały gościa. Korzenna upajająca woń palących się w pokoju jakichś nieznanych mi kadzidel pozbawiała mnie prawie zmysłów.

Kiedy z biciem serca spróbowałem przejść przez wyciągnięte nogi eunucha, ten zbudził się naraz i zerwał, przy czym miecz z głośnym brzękiem spadł mu z kolan na marmurową posadzkę.

Zerwałem się z głośnym krzykiem i ujrzałem, że siedzę zlany potem na swoim łożku połowym. Był już świt. Błady sierp księżyca wyglądał w jego świetle jak wyczerpany chory po bezsennej nocy, a nasz zwariowany stary Meher Ali idąc pustym gościńcem, wołał, jak to co dzień zwykł czynić: „Precz! Precz!”.

Oto było nagle zakończenie jednej z mych nocy arabskich; ale pozostało ich jeszcze tysiąc.

Teraz nastał wielki przedział między moimi dniami i nocami. W dzień szedłem wyczerpany i zmęczony do roboty, przeklinając noc, która mnie urzekła swymi pustymi przywidzeniami. Ale jak tylko nadszedł wieczór, dzienne me życie z całym swym przymusem i więzami pracy przedstawiało mi się jako nic nieznaczące i śmieszne przelewanie z pustego w próżne.

Z zapadnięciem nocy ogarniało mnie coś w rodzaju osobliwego podniecenia. Zmieniłem się wówczas w nieznaną osobę z dawno minionej epoki i odgrywałem swą rolę z jakiejś nieopisanej historii — a do tego zupełnie nie nadawała się ma krótka marynarka angielska i ciasne spodnie. Wobec tego, oczekując niecierpliwie cudownego spotkania z ukochaną, zasiadałem w miękkim fotelu ubrany w szarawary, haftowany żupan, długi zwisający jedwabny kaftan, czerwoną aksamitną czapczkę i z chustką woniejącą olejkiem różanym, zaś zamiast papierosa, pykałem dym z długich, wijących się, wodą różaną napełnionych nargilów.

Nie jestem w stanie opisać wszystkich tych dziwnych rzeczy, które się działy koło mnie, w miarę jak zmrok zapadał. Zdawało mi się, jak gdyby w zaczarowanych salach tego ogromnego budynku nagły podmuch wiosenny pędził przede mną urywki jakiejś pięknej baśni tak, bym mógł dobrze przyjrzeć się jej części, nigdy nie poznając całości. A mimo to przez całe długie noce chodziłem z pokoju do pokoju, aby jej jak najwięcej pochwycić.

W tym wirze nieuchwytnych przywidzeń, zapachu kwiatu henny, dźwięku gitary i plusku fontann, rozprzestrzeniających fale aromatów i chłodu, przemknęło koło mnie nagle jak błyskawica zjawisko przepięknej dziewczycy w szarawarach szafranowego koloru, z różanymi delikatnymi nóżkami w wyszywanych złotem pantofelkach o zakrzywionych noskach, w obcisłym, złociście haftowanym gorsecie i czerwonym czepku, z którego na jej śnieżnobiałe czoło i policzki spływała złota kreza.

Doprowadziła mnie do szaleństwa. W pogoni za nią wędrowałem z pokoju do pokoju, z korytarza do korytarza, po całym oszołamiającym labiryncie mej zaczarowanej krainy baśni.

Czasem wieczorem, kiedy przed wielkim lustrem między dwiema płonącymi świecami stroiłem się niby księżę krwi królewskiej, spostrzegłem nagle koło swego odbicie owej perskiej piękności. Szybki zwrot głowy, przelotne, ogniste, pełne namiętności i bólu spojrzenie wielkich ciemnych oczu, delikatne czerwone wargi rozchylone, jak gdyby chciały przemówić, postać zachwycająco smukła, uwieńczona młodością jak kwitnący lian, dziarsko wyprostowana w pełnym wdzięku, elastycznym chodzie, oszołamiający wybuch bólu, pożądania i zachwyt, uśmiech, blask klejnotów i jedwabów — i wszystko zniknęło. Nagły podmuch wiatru, brzemienno wszystkich aromatami wzgórz i lasów, gasił mi światło. Zrzuciłem ubranie i kładłem się na łożku z zamkniętymi oczami, drżąc na całym ciele z rozkoszy, zaś dookoła mnie w powiewie, tchnącym wszystkimi aromatami wzgórz i lasów, trzepotały w milczących ciemnościach piieszczoty, pocałunki, lube dotknięcia delikatnych rąk; do uszu mych dolatywał cichy szept, słodkie tchnienie owiewało me czoło lub też rozkosznie pachnąca chusteczka wachlowała policzki. A potem z wolna chwycił mnie w zwoje bezlitosne jakiś tajemniczy wąż i z ciężkim westchnieniem zapadałem w stan bezprzytomności, który następnie przechodził w twarde sen.

Pewnego wieczoru postanowiłem przejechać się konno; ktoś błagał mnie, abym pozostał w domu, ale tego dnia nie chciałem słuchać żadnych prośb. Mój angielski kapelusz wisiał wraz z marynarką na wieszadle i właśnie chciałem te rzeczy zdjąć, gdy naraz wi-

cher, zmieszany z piaskiem Susty i zeschniętymi liśćmi z gór Avalli, pochwycił je i zaczął nimi rzucać wkoło; a wówczas rozległ się wesoły śmiech i uderzając we wszystkie struny wesołości, stawał się głośniejszy i głośniejszy, póki wreszcie nie zginął w krainie zachodzącego słońca.

Musiałem się wyrzec przejażdżki, zaś na drugi dzień raz na zawsze wyrzekłem się wymiętej marynarki i kapelusza.

Tego znów dnia słyszałem późną nocą rozdzierające serce stłumione łkanie, jak gdyby spod mego łóżka, spod podłogi, spod kamiennych fundamentów olbrzymiego pałacu, z głębin ciemnego, wilgotnego grobu głos jakiś wołał żałośnie i błagał mnie: „O, wybaw mnie! Rozbij te wrota okrutnego złudzenia, snu podobnego do śmierci i jałowych marzeń, usiądź za mną na siodle, przyciśnij mnie do serca, pędź wraz ze mną przez góry, lasy, rzeki, wiedz mnie w ciepły blask twych słonecznych komnat!”.

Lecz kimże ja jestem? I jakże cię mogę ocalić? Jakaż tonącą piękną, jaką wcieloną namiętność mam wyciągnąć na brzeg z tego dzikiego wiru marzeń! Ach, ty lube, eteryczne zjawisko! Gdzieżeś kwitła i kiedy? Nad jakimże zimnym źródłem, w cieniu jakich gajów palmowych urodziłaś się — z łona jakiej bezdomnie wędrującej pustynią tułaczki? I któryż Beduin wyrwał cię z ramion matki, ledwo rozchylający się pączek dzikiego pnąca, i zawiózł na targ niewolników — w którymże królestwie? I któryż gorliwy sługa Padyszacha, który cię tam ujrzał we wspaniałości kwiecia twej czystej niewinności, zapłacił złotem za ciebie, wsadził cię w złotą lektykę i zawiózł jako dar dla seraju swego pana? A tu znów historia tego miejsca! Muzyka sarengu¹⁸, brzęk nagolennic, nagły błysk sztyletów, paląca trucizna win z Sziras i to na wskroś przesywające, rozżarzone spojrzenie! Jakaż niezmierna wielkość — jak bezgraniczna niewola! Niewolnice po twej prawicy i lewicy wywijają czamarami¹⁹, a luna biła od ich brylantami wysadzanych naramienników; Padyszach, król królów, rzucił się do twych białych jak śnieg stópek tkwiących w trzewczkach wysadzanych drogimi kamieniami, a przed drzwiami, niby poseł śmierci, stał straszny abisyński eunuch z gołym mieczem w rękach. A potem, o, ty kwiecie pustyni, kiedy cię porwało czerwone jak krew, olśniewające morze wielkości ze swymi spienionymi falami zazdrości, swymi skałami i otchłaniami intryg, na któreż wybrzeże okrutnej śmierci zostałaś wyrzucona czy też do którego wysłano cię kraju, jeszcze świetniejszego i okrutniejszego niż ten.

W tej chwili zawołał znowu ów obłąkany Meher Ali: „Precz! Precz! To wszystko kłamstwo! To wszystko kłamstwo!”. Otworzyłem oczy i spostrzegłem, że już jasny dzień. Służący wszedł i przyniósł mi korespondencję, zaś kucharz, złożywszy mi na powitanie głęboki pokłon, czekał na moje rozkazy.

Powiedziałem sobie: „Nie, nie mogę tu dłużej pozostać!”. Tego samego zaraz dnia spakowałem swoje manatki i przenieśliem się do urzędu. Ujrzawszy mnie, stary Karim Khan uśmiechnął się z lekka. To mnie podrażniło, ale nic nie mówiąc, zabrałem się do roboty.

Z nadejściem wieczoru zacząłem się robić roztargniony; zdawało mi się, jak gdybym miał z kimś umówioną schadzki, wobec której przegląd rachunków za bawełnę wydał mi się pozbawiony wszelkiego znaczenia; ba, nawet godność nizama nie przedstawiała dla mnie wielkiej wartości. Wszystko, co należało do terażniejszości, wszystko, co się poruszało, chodziło i pracowało na chleb, wydało mi się bez znaczenia, niedorzeczne i godne pogardy.

Rzuciłem pióro, zamknąłem księgę główną, siadłem na swój wózek zaprzężony w kuce i pojechałem. Zauważyłem, że równo o zmierzchu wózek stanął sam przed bramą marmurowego pałacu. Szybкими krokami wybiegłem po schodach na górę i wszedłem do sali.

Panowało w niej przygnębiające milczenie. Pokoje patrzyły na mnie ponuro, jakby zagniewane. Serce me pełne było skruchy, ale nie było nikogo, przed kim mógłbym je otworzyć lub kogo mógłbym prosić o przebaczenie. Chodziłem po tych pokojach jak nieprzytomny. Pragnąłem mieć gitarę, aby przy jej dźwięku zaśpiewać nieznajomej: „O,

¹⁸sareng, dziś raczej *sarangi* — instrument smyczkowy pochodzenia arabskiego, używany do dziś w Indiach. [przypis edytorski]

¹⁹czamar — ogon jaka; buńczuk. [przypis edytorski]

ogniu, ćma, która na próżno chciała ujść, powróciła do ciebie! Wybacz jej ten jedyny raz, spal jej skrzydła i pochłoń ją w swym płomieniu”.

Nagle z góry padły na me czoło dwie łzy. Tego dnia ciemne masy chmur leżały na szczytach gór Avalli. Posępne lasy i mętne fale Susty czekały w straszliwym napięciu i groźnym milczeniu. Naraz ziemia, woda i niebo zadrżały i dziki wichur z wyciem pognął dalekimi, nieznanymi ścieżkami lasami, szczerząc błyszczące zęby jak obląkany, który w napadzie szału stargał swe łańcuchy. Puste sale pałacu zatrzasnęły drzwi i jęknęły żalśnie w śmiertelnym strachu.

Cała moja służba znajdowała się w gmachu rządowym, więc nie było nikogo, kto by pozapalał lampy. Noc była chmurna i bez księżycy. Pograżony w głębokich ciemnościach czulem wyraźnie, że na kobiercu przed łóżkiem leży na twarzy kobieta i targa w rozpacz swe długie rozpuszczone włosy. Krew zalewała jej piękne czoło, a kobieta to śmiała się okrutnym, przykrym, bezdusznym śmiechem, to wybuchała gwałtownym, konwulsyjnym łkaniem, to znów darła na sobie gorset i biła się w obnażoną pierś; a wiatr wyl przez otwarte okno i rzucał do pokoju strugi deszczu, tak że kobieta przemokła na wskroś.

Przez całą noc trwała burza, a wraz z nią bez przerwy to namiętne zawrodenie. Błądziłem w ciemnościach z pokoju do pokoju, pograżony w beznadziejnym smutku. Kogóż miałem pocieszać, skoro nikogo nie było? I któż to wyl się w tak strasznej męce? Co było przyczyną tej niepocieszonej troski?

Tu rozległ się znów krzyk obląkanego: „Precz, precz! To wszystko kłamstwo! To wszystko kłamstwo!”.

Spostrzegłem, że już się rozwidnia i że Meher Ali mimo straszliwej burzy obchodzi dokoła pałac ze zwykłym sobie okrzykiem. Naraz przyszło mi na myśl, że może on także mieszkał kiedyś w tym domu i że, mimo iż zmysły postradał, przecie zaklęty przez marmurowego demona co dzień musi doń przyjść i obchodzić go dokoła.

Nie zważając na burzę i deszcz, pobiegłem ku niemu i zapytałem go:

„Halo, Meher Ali, co jest kłamstwem?”.

Nie odpowiedział, lecz odepchnąwszy mnie na bok, biegł dalej dokoła pałacu ze swym szalonym okrzykiem, jak zahipnotyzowany przez węża ptak lata wciąż w kółko nad jego paszczą, i robił przy tym rozpaczliwy wysiłek, aby samego siebie ostrzec, powtarzając bez przerwy: „Precz! Precz! To wszystko kłamstwo! To wszystko kłamstwo!”.

Jak szalony pobiegłem w ulewnym deszczu do gmachu rządowego i zapytałem Karim Khana: „Powiedz mi, co to wszystko znaczy?”.

Od starego dowiedziałem się rzeczy następującej: kiedyś szalały w tym pałacu niezliczone niezaspokojone namiętności, nienasycone pożądania i piekielne płomienie dzikiej żądzy, a za to teraz przekleństwo wszystkiej wycierpianej męki serca i wszystkich zawiedzionych nadziei uczyniło każdy kamień tak spragnionym i łakącym, że każdego żywego człowieka, który się do nich przypadkiem zbliży, pożerają chciwie niby wygłodzony potwór. Ani jeden ze wszystkich, którzy tam przespali trzy noce, nie mógł już ujść tej okrutnej paszczy, wyjąwszy Mehera Alego, który jednak przypłacił to pomieszaniem zmysłów.

Zapytałem:

„A czy nie znalazłby się jakiś sposób, za pomocą którego ja mógłbym się uratować?”.

„Jeden jedyny tylko” — odpowiedział stary — „ale bardzo trudny. Ja panu powiem, na czym on polega, wpróż jednak musi pan wysłuchać całej historii perskiej panienci, która kiedyś mieszkała w tym przybytku rozkoszy. Nigdy nie odegrała się na tej ziemi dziwniejsza i bardziej serce rozdzierająca tragedia”.

W tej właśnie chwili pojawili się noszący pakunki tragarze, oświadczając, iż pociąg już idzie. A więc było już tak późno? Podczas gdy pociąg wjeżdżał na stację, my czym prędzej zbieraliśmy swoje manatki. Jakiś dystyngowany Anglik, zbudziwszy się prawdopodobnie ze snu, wyjrzał z okna przedziału pierwszej klasy i usiłował odczytać nazwę stacji. Jak tylko ujrzał naszego towarzysza podróży, zawołał: „Halo!” i zabrał go do swego przedziału. Ponieważ my jechaliśmy klasą drugą, nie mieliśmy już sposobności dowiedzieć się, kim był ten człowiek i jak się jego historia skończyła.

Ja powiedziałem:

— Ten człowiek miał nas za durniów i zakpił sobie. Cała jego historia jest od początku do końca zmyślona.

Spór, jaki powstał z powodu tego mego odezwania się, zakończył się zerwaniem na całe życie wszelkich stosunków z moim teozoficznie myślącym kuzynem.

Babu z Najandzor

I

Babu²⁰ z Najandzor byli kiedyś sławnymi obywatelami²¹ ziemskimi. Byli znani ze swej książęcej rozrzutności. Odrywali szorstki kant od swego muślinu²² z Dakki²³, ponieważ im drapał skórę. Mogli wydać tysiące rupii²⁴ na wesele kotki. Opowiadają o nich, że przy jakiejś nadzwyczajnej uroczystości jeden z nich kazał zapalić niezliczoną ilość lamp, aby zamienić noc w dzień, a naśladowując promienie słońca, kazał spuszczać z góry srebrne nici. Było to w czasach przed wielkim potopem. A potem przyszedł potop. Linia spadkobierców w rodzie staromodnych babu z książęcymi nawyczkami nie mogła być długa. Jak w lampie, w której płonie zbyt wiele knotów, tak i tu: oliwa w krótkim czasie wypaliła się i światło zgasło.

Sąsiad nasz, Kailas babu, był ostatnim potomkiem tej wygasłej świetności. Zanim zdążył dorosnąć, rodzina jego już doszła prawie do najniższego swego upadku. Kiedy jego ojciec umarł, rozwinęła jeszcze raz całą swą olśniewającą wspaniałość podczas pogrzebu, po czym ogłosiła bankructwo. Majątek sprzedano, aby spłacić długi. Pozostały szczupły zapas gotówki stanowczo nie wystarczał na podtrzymywanie dawnych świetnych tradycji rodzinnych.

Kailas babu opuścił Najandzor i przeniósł się do Kalkuty. Syn jego nie bawił długo na tym padole zamierzchłej świetności. Umarł, osierociwszy jedyną córkę.

W Kalkucie jesteśmy sąsiadami Kailasa babu. Szczególnym zbiegiem okoliczności rodzina nasza jest zupełnym przeciwieństwem jego rodziny. Ojciec mój zdobył majątek własną pracą i zawsze się chlubił, że nigdy nie wydał ani grosza więcej, niż było trzeba. Odzież jego była odzież robotnika i takie same były ręce. Nie kusilo go bynajmniej zyskać sobie za pomocą rozrzutnego przepychu tytułu „babu”, a ja, jego jedyny syn, jestem mu za to wdzięczny. Dał mi możliwie jak najlepsze wychowanie i wykształcenie, tak że mogłem sam utorować sobie drogę w świecie. Nie wstydzę się też zupełnie faktu, że wybiłem się własnymi siłami. Szeleszczące banknoty w mej kasie są mi miłsze od długiego rodowodu w pustej szkatule.

Zdaje mi się, że to było przyczyną, dla której gniewałem się, ile razy widziałem, jak Kailas babu pobiera wysokie przekazy z publicznego kredytu swej dawno minionej chwały babu. Wyobrażałem sobie, że patrzy na mnie z góry dlatego, iż mój ojciec przyszedł do pieniędzy własną pracą.

Muszę tu zaznaczyć, że — oprócz mnie — nikt nie był niezyczliwie dla Kailasa babu usposobiony. I istotnie trudno byłoby znaleźć spokojniejszego i niewinniejszego od niego człowieka. W radości czy w cierpieniu pojawiał się zawsze ze swymi dobrotliwymi, pełnymi współczucia, drobnymi grzecznościami. Brał udział we wszystkich uroczystościach i religijnych obrzędach sąsiadów. Jego serdeczny, życzliwy uśmiech witał starych i młodych. Uprzejmość, z jaką dowiadywał się o wszystkich szczegółach życia rodzinnego, była niewyczerpana. Przyjaciele, którzy go spotykali na ulicy, musieli — trzymanymi za guzik — odpowiedzieć na cały szereg pytań mniej więcej tego rodzaju:

— Mój drogi przyjacielu, jakże się cieszę, że pana widzę! Jakże się panu powodzi — dobrze?! A jak się powodzi Saszi? A jak dziadzio — zdrowy? Pomyśl pan tylko, słyszałem niedawno, że syn Madha ma gorączkę! Czy nie wie pan, jak się ma? Ale Hari Czarani babu dawno już nie widziałem; spodziewam się przecie, że nie chory. A co robi Rakhal? I — e... e... jakże zdrowie pańskich pań?

²⁰*babu* — tytuł honoryfikacyjny, wyrażający szacunek, używany w Indiach. [przypis edytorski]

²¹*obywatel ziemski* — dziś raczej: posiadacz ziemski. [przypis edytorski]

²²*muślin* — lekka, półprzezroczysta tkanina jedwabna. [przypis edytorski]

²³*Dakka*, dziś *Dhaka* — miasto w Azji, obecnie stolica Bangladeszu. [przypis edytorski]

²⁴*rupia* — waluta używana w Indiach i innych krajach azjatyckich. [przypis edytorski]

Upadek

Pozycja społeczna,
Bogactwo, Prestiż, Praca

Grzeczność

Kailas babu nosił się zawsze nienagannie czysto i schludnie, mimo iż zapas jego ubrań był w najwyższym stopniu ograniczony. Miał zwyczaj co dzień wietrzyć starannie na słońcu swe koszule, kamizelki, kaftany i spodnie wraz z pościelą i małym kobierczykiem²⁵, na którym zwykle siadywał. Wywietrzywszy je, trzepał, czyścił szczotką i wieszał na wieszadle. Nieliczne meble, jakie posiadał, nadawały małemu pokojowi zupełnie przyzwoity wygląd i kazały się domyślać, że gospodarz ma, na wypadek potrzeby, niewątpliwie jakąś rezerwę. Często, kiedy Kailas babu nie miał obsługi, zamykał na jakiś czas swój dom. Wówczas prasował swe rzeczy i sam spełniał różne inne obowiązki służby. A potem otwierał znowu drzwi swego domu i przyjmował przyjaciół.

Mimo że Kailas babu, jak to już przedtem powiedziałem, stracił swój cały majątek ziemski, to przecież pozostało mu w spadku kilka odziedziczonych przedmiotów. Była tam srebrna kadzielnica, filigranowa flaszeczka z olejkiem różanym, mała złota tacka, stary kosztowny szal i staromodny kostium paradny z pradziadowskim turbanem. Przedmioty te udało mu się z ciężkim trudem wydrzeć z pazurów lichwiarzy. Przy każdej nadarzającej się sposobności popisывał się nimi i starał się w ten sposób podtrzymać sławną na cały świat świetność babu z Najandźor. W gruncie rzeczy najskromniejszy człowiek na świecie uważał za święty obowiązek wobec swego stanu zaznaczać bezustannie w codziennej rozmowie swą dumę rodową. Przyjaciele jego dobrodusznie go w tym przekonaniu utwierdzali i nieraz się tym doskonale bawili.

Sąsiedzi nawykli wkrótce nazywać go swym Thakur Dada. Gromadami pojawiali się w jego domu i wysiadali tam całymi godzinami. Aby go nie narażać na wydatki, których z przyjaciół przynosił mu trochę swego tytoniu, mówiąc:

— Thakur Dada, dziś rano przysłano mi w podarunku tytoń z Gaja. Proszę, niech pan przyjmie tę szczyptę i niech pan spróbuje, czy panu będzie smakował.

Thakur Dada przyjmował i stwierdzał, że tytoń jest doskonały. Następnie opowiadał o świetnym tytoniu, jaki dawniej palono w Najandźor, po siedem talarów uncja.

— Może — zwykł był mawiać — może pan zechce skosztować? Mam jeszcze trochę tego tytoniu i mogę go zaraz przynieść.

Każdy wiedział, że jeśli go o to poproszono, klucz od szafy z pewnością się zgubi lub Ganesz, stary sługa rodziny, gdzieś go w jakiś sposób zapodzieje.

— Nigdy nie wiadomo — mawiał wówczas — co się dzieje z rzeczami, gdy wpadną w ręce służby. Nikt by nie uwierzył, co to za gamoń z tego Ganesza, ale ja nie mogę się zdobyć na to, aby go odprawić.

Ze względu na rodzinę Ganesz brał bez szemrania całą winę na siebie.

A wtedy odzywał się zwykle któryś z gości:

— Niech pan już da spokój, Thakur Dada. Proszę, niech pan już nie szuka. Ten tytoń, który palimy, jest bardzo dobry. Tamten byłby może za mocny.

Thakur Dada z westchnieniem ulgi siadał znowu na swoim miejscu i rozmowa toczyła się dalej.

Kiedy się goście zaczynali żegnać, Thakur Dada wyprowadzał ich zwykle aż do drzwi, a w progu mówił:

— A propos, kiedy panowie wszyscy przyjdziecie do mnie na obiad?

To ten, to ów odpowiadał na to:

— Wątpię, aby to było możliwe w najbliższym czasie, Thakur Dada. Kiedyś później wspólnie ustanowimy dzień.

— Doskonale! — brzmiała odpowiedź. — Bardzo dobrze. Będzie nawet lepiej, jeśli odłożymy to do pory deszczowej. Tak obfity obiad, jaki ja mam zamiar panom dać, mógłby przy tej pogodzie nie wyjść na zdrowie.

Ale kiedy przychodziła pora deszczowa, unikano starannie przypomnienia mu jego obietnicy. Nawet gdy się o tym napomknęło, któryś z przyjaciół dobrodusznie zwracał uwagę, iż wychodzenie z domu podczas tak ulewnego deszczu jest przecież rzeczą bardzo niewygodną i że byłoby znacznie lepiej poczekać, póki pora deszczowa nie minie. I tak szła zabawa dalej.

Jego ubogie mieszkanie było stanowczo za małe w stosunku do jego stanowiska, toteż my wszyscy wraz z nim narzekaliśmy na to. Przyjaciele jego zapewniali go, że najzupeł-

²⁵kobierczyk — mały kobierzec, dywanik. [przypis edytorski]

niej rozumieją trudności, jakie napotyka; prawie niepodobna znaleźć przyzwoitego domu w Kalkucie. Od lat już wszyscy oglądali się za domem, który by mu odpowiadał, nie potrzebują jednak dodawać, że żaden z przyjaciół nie był tak nierozumny, aby go znaleźć. Thakur Dada mówił wówczas z pełnym rezygnacji westchnieniem:

— Tak, tak, zdaje mi się, że będę już musiał poprzestać na tym domu!

A następnie dodawał z wesołym uśmiechem:

— A swoją drogą nie potrafiłbym się już rozstać z przyjaciółmi. Muszę być niedaleko nich. To wszystko wynagradza.

Do pewnego stopnia bardzo żywo temu wszystkiemu współczułem. Niechęć moja pochodziła właściwie stąd, że w oczach młodego mężczyzny głupota uchodzi za największą zbrodnię. Otóż Kailas babu nie był wcale głupi w prawdziwym znaczeniu tego słowa i w zwykłych codziennych interesach chętnie zasięgano jego rady. Ale jak tylko zaczynał opowiadać o Najandźor, to, co mówił, pozbawione było wszelkiego zdrowego rozsądku. Ponieważ skutkiem przyjacielskiej, w duchu kpiącej nieco pobłażliwości, nikt jego niemożliwym twierdzeniom nie przeczył, zupełnie puszczał swej fantazji wodze. Gdy ktoś w jego obecności opowiadał sławną historię babu z Najandźor, nie szczędząc śmiesznej przesady, on brał wszystko na serio i ani na chwilę nie wątpił, że wszyscy niezłomnie w to wierzą.

II

Próbując zanalizować myśli i uczucia, jakie żywiłem wobec Kailasa, dostrzegam jeszcze jedną, znacznie głębiej leżącą przyczynę mej niechęci.

Mimo że jestem synem bogatego człowieka i mogłem sobie pozwolić na to, aby na uniwersytecie spędzić całe lata, pracowałem tak pilnie, że jeszcze jako zupełnie młody chłopak zdałem w Kalkucie doktorat. Co się tyczy moralności, mój tryb życia był bez zarzutu. Prócz tego mój wygląd zewnętrzny był tak okazały, że — nie grzesząc przeciwko prawdzie — śmiało mógłbym się nazwać pięknym młodzieńcem, choćby to nawet nie było zbyt skromnie.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że rodzice panien na wydaniu uważali mnie za bardzo dobrą partię. Ja sam zdawałem sobie z tego doskonale sprawę i postanowiłem osiągnąć na targu małżeńskim całą pełnię swej wartości. Mysząc o przyszłej wybrance, malowałem ją sobie w duchu jako jedyną córkę bogatego ojca, cudownej piękności i znakomicie wychowaną. Zasypywano mnie ze wszystkich stron propozycjami, ofiarowywano mi znaczne sumy w gotówce, ja zaś ważyłem te propozycje z nieubłaganą bezstronnością na wrażliwych ważkach swego samopoczucia. Jednakże żadna panna nie nadawała się na mą towarzyszkę. Przeszedłem do przekonania, że, może być, mówiąc wraz z poetą Bhawabhuti:

W tym nieskończonym czasie i nieskończonym świecie
Ta, co mnie zrównoważy, narodzi się raz przecie.

Jednakże rzeczą wielce dla mnie wątpliwą było, czy ta niezrównana istota istnieje już teraz w dzisiejszych nędznych czasach i na ograniczonej przestrzeni dzisiejszego Bengalu.

Tymczasem rodzice, którzy nie rezygnowali ze mnie, wyśpiewywali hymny na mą cześć we wszystkich tonacjach i rytmach.

Otóż — pomijając już, czy mi się ich córki podobały, czy nie — nie mogę powiedzieć, aby mi te hołdy nie przypadały do smaku. Przywykłem uważać je za coś, co mi się zupełnie słusznie należy z tego powodu, że jestem doskonałością. Uczy się nas przecie, że bogowie, przeznaczając dla ludzi swe dary, mimo wszystko oczekują od swych wiernych, aby pilnie oddawali im cześć, i gniewają się, gdy się ich zaniedbuje. Te boskie pretensje były we mnie silnie rozwinięte.

Wspomniałem już, iż Thakur Dada miał jedyną wnuczkę. Widywałem ją często, ale nigdy nie uważałem jej za piękną. Nigdy też nie przyszło mi na myśl, że mogłaby wchodzić w rachubę jako moja żona. A swoją drogą liczyłem na to, iż pewnego dnia Kailas babu z całą należną czcią złoży ją w ofierze na mym ołtarzu. Ba! — i to było tajemnicą mej niechęci — czułem się poważnie dotknięty, iż dotychczas tego jeszcze nie uczynił.

Samolubstwo, Bóg

Słyszałem, jak raz wyraził się wobec swych przyjaciół, że babu z Najandźor nigdy nikogo o żaden dar nie prosili. Nawet gdyby dziewczyna miała z tego powodu zostać starą panną, on by się tradycji rodzinnej nie sprzeniewierzył. Ta zarozumiałość szczególnie mnie przeciw niemu podnieciła. Moja niechęć żarzyła się przez jakiś czas ukryta w głębi ducha, bo jako chodząca doskonałość pozostałem na oko zupełnie spokojny i znosiłem wszystko z nadzwyczajną cierpliwością.

Jak błyskawica towarzyszy piorunowi, tak gniew mój nie był pozbawiony pewnej przymieszki humoru. Rozumie się, że nie mogłem swego gniewu na staruszkę wylać; toteż przez pewien czas nic nie robiłem. Jednak pewnego dnia przyszedł mi na myśl plan tak wesoły, że nie mogłem się oprzeć pokusie wykonania go.

Mówiłem już, że wielu przyjaciół Kailasa babu miało zwyczaj bez miary schlebiać próżności starego. Jeden z nich, urzędnik państwowy na emeryturze, opowiedział mu, iż wicegubernator za każdym widzeniem wypytuje go o babu z Najandźor i że się wyraził, iż w całym Bengalu jedyne naprawdę przyzwoite rodziny to maharadza z Kaszipur i babu z Najandźor. Kiedy Kailasowi babu to niesłychane łgarstwo opowiedziano, ucieszył się bardzo i często później tę historię powtarzał, zaś ile razy spotkał gdzieś w towarzystwie owego urzędnika państwowego, pytał go między innymi:

— O, à propos, jakże się ma pan wicegubernator? Dobrze! Ach, jak mnie to cieszy! A jego zacnej pani też dobrze się powodzi, nieprawdaż? A jakże te rozkoszne dzieci — wszystkie zdrowe? Ach, to wybornie, bardzo się cieszę. Proszę, niech pan nie zapomni polecić mnie jego pamięci, jak go pan zobaczy.

Kailas babu powtarzał bezustannie, że chce złożyć wicegubernatorowi wizytę. Można było jednak być pewnym, że jeszcze niejeden wicegubernator przyjdzie i pójdzie, i niemało wody w Hugli upłynie, zanim rodzinna karoca babu z Najandźor znajdzie się w tym stanie, aby mogła zajeżdżać przed pałac namiestnikowski.

Pewnego dnia wziąłem Kailasa babu na stronę i opowiedziałem mu szeptem:

— Thakur Dada, byłem wczoraj na audiencji i wicegubernator wspominał przypadkiem babu z Najandźor. Napomknąłem mu, iż Kailas babu mieszka teraz tu, w mieście. Czy pan wie? Uczuł się obrażony, że go pan nie odwiedził. Oświadczył mi, że zapomni o etykietce i jeszcze dziś po południu złoży panu prywatnie wizytę.

Każdy inny byłby natychmiast mój zamiar przejrzał. I gdyby ten żart zwrócony był przeciw komu innemu, sam Kailas babu poznałby się na nim. Jednakże po wszystkim, co słyszał był²⁶ od swego przyjaciela, urzędnika państwowego, i po wszystkich swoich własnych błazeństwach musiał uznać wizytę wicegubernatora za najnaturalniejszą rzecz na świecie. Przyniesiona przeze mnie wiadomość podnieciła go do najwyższego stopnia. Zajmował go i niepokoił każdy szczegół zapowiedzianych odwiedzin, zaś przede wszystkim własna niezajomość angielskiego. Jakże, na wszystko w świecie, usunie tę trudność? Powiedziałem mu, że to nie jest żadna trudność, że niezajomość angielskiego uważana bywa za cechę arystokratyczną, zaś prócz tego wicegubernator ma zawsze przy sobie tłumacza i sam przecie wyraźnie oświadczył, że ta wizyta ma być nieoficjalna.

Około południa, kiedy większość naszych sąsiadów jest przy pracy, zaś reszta śpi, zatrzymał się przed drzwiami Kailasa babu powóz zaprzężony w dwa konie. Dwóch lokajów w liberii weszło na górę po schodach i zameldowało głośno: — Pan wicegubernator! — Kailas babu był gotów i oczekiwał go w swym staromodnym stroju dworskim, w pradziadowskim turbanie na głowie; przy nim stał Ganesz, przybrany na tę uroczystość w najlepsze suknie swego pana. Kiedy gubernatora zameldowano, Kailas dysząc, chrząkając i drżąc, pospieszył ku drzwiom i wprowadził jednego z mych przyjaciół w przebraniu, kłaniając się nisko za każdym krokiem i starając się, o ile możliwości, iść tyłem. Przykrywszy twarde drewniany stołek swym starym szalem rodzinnym, poprosił gubernatora, aby na nim usiadł. Następnie wygłosił szumną przemowę w urdu, nadwornym języku Sahibów, i podał mu na złotej tacy sznur nawleczonych mohurów²⁷, ostatnie resztki zrujnowanego mienia. Ganesz, stary sługa rodziny babu z Najandźor, stał tuż przy nim z miną pełną szacunku graniczącego z przerażeniem, mając za sobą kadzielnicę, a w ręce filigranową flaszeczkę z wodą różaną, którą od czasu do czasu obficie zlewał Lorda Sahiba.

²⁶słyszał był — przykład użycia czasu zaprzeszłego, konstrukcja dziś już zanikająca w polszczyźnie, wyrażała czynność wcześniejszą niż działania opisywane w czasie przeszłym. [przypis edytorski]

²⁷mohur — daw. złota moneta używana w Indiach Brytyjskich. [przypis edytorski]

Kailas babu kilkakrotnie wyraził swój żal, że nie może jego ekscelencji szanownego „Bahadura” przyjąć z całą należną świetnością w Najandzor, swym gnieździe rodzinnym. Tam mógłby mu zgotować odpowiednio uroczyste przyjęcie, ale w Kalkucie jest obcy, do pewnego stopnia niby ryba wyrzucona na piasek.

Przyjaciel mój w swym wysokim cylindrze kiwał tylko z godnością głową. Nie potrzebuję oczywiście mówić, że stosownie do zwyczajów angielskich powinien był cylinder w pokoju zdjąć. Ale przyjaciel mój zdjąć go nie śmiał z obawy, że się zdradzi, zaś tak Kailas babu, jak i jego stary sługa Ganesz byli obaj pogrążeni w równie wzniosłej nieświadomości co do wszystkiego, co przepisuje angielska etykieta.

Po wizycie trwającej jakieś dziesięć minut, a polegającej głównie na kiwaniu głową, przyjaciel mój powstał, aby się pożegnać. Dwaj lokaje w liberii pomaszrowali dumnie ze złotymi mohurami, złotą tacką, starym pradziadowskim szalem, srebrną kadzielnicą i filigranową flaszeczką z różaną wodą, jak żeśmy to poprzednio między sobą umówili, i uroczyście złożyli wszystkie te przedmioty w powozie. Kailas babu był przekonany, że to taki zwyczaj wicegubernatorów.

Przyglądałem się temu wszystkiemu przez cały czas z sąsiedniego pokoju. Aż mnie boki bolały od powstrzymywanego śmiechu. Kiedy już dłużej nie mogłem wytrzymać, uciekłem do następnego pokoju i natychmiast spostrzegłem tam młodą dziewczynę łkającą, że aż się zanosiła. Zauważywszy mój niepowstrzymany śmiech, podeszła ku mnie w przystępie gwałtownego gniewu i, uderzywszy błyskawicą swych wielkich ciemnych oczu w moje oczy, rzekła stłumionym od łez głosem:

— Niech mi pan powie! Co panu mój dziadek zrobił złego? Dlaczego pan przyszedł, aby go oszukiwać? Po co pan tu przyszedł? Po co?

Nie mogła dalej mówić. Zasłoniła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

Mój śmiech w jednej chwili zamilkł. Na myśl nawet mi nie przyszło, że to, co zrobiłem, mogłoby być czymś innym niż znakomitym figlem, a teraz nagle spostrzegłem, że temu wrażliwemu małemu serduszkowi sprawiłem okropny ból. Okrucieństwo moje stało przede mną w całej swej brzydocie i potępiło mnie. Wymknąłem się w milczeniu z pokoju jak kopnięty pies.

Do tej chwili Kusum, wnuczka Kailasa babu, nie była w mych oczach niczym innym jak tylko dość bezwartościowym artykułem na rynku małżeńskim, artykułem czekającym na próżno na to, aby się ktoś na niego złąkomił. Teraz jednak spostrzegłem ze zdumieniem, że tam, w kącie tego pokoju, biło ludzkie serce.

Całą noc spędziłem prawie bezsennie. Byłem wzburzony. Zaraz na drugi dzień, bardzo wcześnie, wszystkie ukradzione przedmioty zanieśliśmy z powrotem do domu Kailasa babu, aby je potajemnie oddać Ganeszowi. Czekałem przed drzwiami, a ponieważ nikt nie wychodził, udałem się na górę do pokoju Kailasa babu. W korytarzu już słyszałem, jak Kusum mówiła w najserdeczniejszym tonie:

— Kochany dziaduniu, musisz mi opowiedzieć wszystko, co wicegubernator wczoraj ci powiedział, ani słówka nie wolno ci opuścić. Koniecznie muszę wszystko jeszcze raz usłyszeć!

A dziadunia oczywiście nie trzeba było bynajmniej długo prosić. Twarz jego jaśniała dumą, gdy powtarzał te wszystkie słowa uznania i pochwały, jakie łaskawy wicegubernator raczył wyrzec o prastarzej rodzinie z Najandzor. Zaś dziewczę siedziało u jego stóp i z najwyższym zainteresowaniem patrzyło mu w oczy. Z miłości dla starca postanowiła całą rolę odegrać do końca.

Byłem tak głęboko wzruszony, że łzy zakręciły mi się w oczach. Stałem na korytarzu w milczeniu, podczas gdy Thakur Dada upiększał swe opowiadanie o odwiedzinach wicegubernatora w najniemożliwszy sposób. Kiedy wreszcie wyszedł z pokoju, wziąłem ukradzione przedmioty, złożyłem je u stóp dziewczęcia i odszedłem w milczeniu.

Później wstąpiłem znowu, aby się z Kailasem babu osobiście zobaczyć. Stosownie do naszego obrzydliwego nowoczesnego zwyczaju, wchodząc do domu, zwykle ze starym się nie witałem. Tego jednakże dnia złożyłem mu głęboki pokłon i ze czcią dotknąłem palcami jego stóp. Pewny jestem, iż stary myślał, że powodem tej niezwykłej grzeczności jest wizyta wicegubernatora. Pochlebilo mu to nadzwyczajnie, a jego twarz przybrała na chwilę wyraz błogiej wyniosłości. Przyjaciele zebrali się dokoła niego, zaś on zaczął drugi już raz szeroko rozwodzić się nad wizytą wicegubernatora, nie szczędząc coraz to nowych

i coraz bardziej fantastycznych upiększeń. Historia rozwinęła się już w całą epopeję, co się tyczy zarówno treści, jak i długości.

Kiedy wreszcie wszyscy goście odeszli, ja skromnie oświadczyłem się. Powiedziałem staremu, iż mimo że najzupełniej nie czuję się godnym wejść za pomocą małżeństwa w związku z tak świetną rodziną, to przecież — itd., itd.

Kiedy zupełnie wyraźnie już powtórzyłem swe oświadczenia, staruszek rzucił mi się na szyję i zawołał w niepoohamowanej radości:

— Jestem biednym człowiekiem i nigdy nie spodziewałem się tak wielkiego szczęścia.

Był to pierwszy i ostatni raz w życiu, kiedy Kailas babu uznał się za biednego człowieka. Był to też pierwszy i ostatni raz w życiu, że choć na chwilę zapomniał o godności wrodzonej i właściwej babu z Najandzor.

Starsza siostra

I

Tara wyjaśniła wszystkim kobietom ze wsi dokumentnie i „na wyrozum”, jakiego to okrutnego męża posiada jej nieszczęsna sąsiadka, oraz wyliczyła dokładnie wszystkie jego występki i zbrodnie, a na koniec wydała wyrok: „Niechaj ogień pochłonie język takiego męża!”.

Słowa te dotknęły boleśnie żonę Dżajgopala, bowiem w żadnych okolicznościach nie przystoi niewieście życzyć sobie innego ognia w ustach męża poza zapalonym cygarem.

Kiedy w łagodny sposób broniła go przed owym wyrokiem, sroga Tara zawołała z większą jeszcze ciętością: „Wolałabym przez siedem wcieleń raz po raz zostawać wdową, jak być raz żoną takiego człowieka!”. To powiedziawszy, zamknęła posiedzenie i poszła do domu.

Śasi mówiła w duchu: „Nie mogę sobie wyobrazić takiej krzywdy ze strony męża, która by zasługiwała na podobną surowość”. Gdy nad tym dumiała, odczuła w sercu falę czułości ku mężowi swemu, który właśnie znajdował się daleko. Rzuciła się z rozpostartymi ramionami na tę stronę łóżka, gdzie zazwyczaj spoczywał, całowała pustą poduszkę i wdychała zapach jego włosów. Potem zamknęła drzwi na zasuwkę, wydobyla ze starej drewnianej szkatułki starą pobladłą fotografię opatrzoną jego podpisem i siedziała długo, wpatrując się w nią z uwagą. Na tym ubiegła jej cała południowa pora dnia, nie ruszała się z pokoju zatopiona we wspomnieniach, a niejedna łza tęsknoty zrosiła jej lica.

Małżeństwo Śasikali z Dżajgopalem nie było świeżej daty. Dawno byli pobrani i mieli dzieci. Przez długoletnie przyzwyczajenie życie ich płynęło spokojnym nurtem codzienności, po żadnej stronie nie mając znamion wielkiego pożądania. Byli z sobą ciągle przez szesnaście lat i dopiero teraz, gdy mąż Śasi został z domu wyrwany ważnymi interesami, zbudziła się niezmierna potrzeba kochania. Rozłąka napięła silniej łączące ich więzy, toteż zacisnął się bardziej węzeł i nieznana dotychczas Śasikali namiętność ścisnęła jej serce.

Stało się tedy, że owego dnia wiosennego Śasi, leżąc na swym łożu małżeńskim, mimo że miała już swe lata i była matką, przeżywała ponownie w marzeniach szczęśliwy okres miesięcy miodowych. Do uszu jej dolatywały akordy miłości niesłyszane dotąd i kołysały ją czarownym rytmem płynącej rzeki. Szła pod jej prąd ku źródłom i widziała na brzegach rozliczne złote pałace i rozkoszne cieniste gaje, ale rzeka płynęła i porywała z sobą marzenia niewstrzymane. Powiedziała sobie tedy, że gdy mąż jej powróci, życie nie będzie płynęło tak bez treści, że wiosna nie będzie daremnie kołatała do drzwi ich domu. Jakże często dręczyła męża drobnostkowymi kłótniami i sporami? W naiwności wielkiej skruszonego serca poprzysięgła sobie nie okazywać nigdy ni śladu zniecierpliwienia, nie sprzeciwiać się jego życzeniom, wszystkie rozkazy posłusznie pełnić i zarówno w dobrym, jak i złym stosować się szczerym sercem do jego woli. Bowiem mąż był dla niej wszystkim, najwyższym przedmiotem miłości... po prostu bogiem.

Śasikala była jedynaczką i skarbem swych rodziców i dlatego Dżajgopal, posiadający mały jeno mająteczek, nie troszczył się o przyszłość. Teść jego posiadał dość, by mogli żyć we wsi rodzinnej wprost z książeczą wystawnością.

Nagle ojcu Śasi, mimo że był w podeszłym wieku, niebo zesłało syna. Trzeba wyznać, że Śasi odczuła bardzo boleśnie to niespodziane, nieprzyzwoite i niesprawiedliwe zachowanie się rodziców, a Dżajgopal również nie był tym wcale zachwycony.

Cała miłość rodziców zwróciła się teraz ku temu owocowi późnej miłości, a kiedy małeńki, nowo narodzony, wiecznie śpiący szwagierek swymi małeńkimi bezsilnymi rączkami zagarnął dla siebie samego wszystkie nadzieje i widoki na przyszłość, Dżajgopal musiał z konieczności postarać się o miejsce w pewnej herbaciarni w Asamie.

Przyjaciele doradzili mu, by poszukał sobie zajęcia gdzieś bliżej, ale czy to z powodu gniewu, czy też dlatego, że uważał to zajęcie za odpowiednie dla szybkiego wybiecia się w świecie, Dżajgopal nie chciał słuchać ich dowodzeń, odesłał teściowi żonę i dzieci i wyruszył do Asamu. Była to pierwsza rozłąka małżonków od czasu ich ślubu.

Wydarzenie to rozplomięło w sercu Śasikali gniew przeciw młodszemu bratu w stopniu większym jeszcze. Niechęć, niemogąca wyładować się w słowach, gryzie straszliwie serce, toteż gdy malec ssał, co wlaźło, i spał bez końca, starsza siostra miała ciągle tysiąc powodów niezadowolenia. Raz ryż ostygł, to znów chłopcy za późno wrócili ze szkoły albo zdarzyła się inna podobna katastrofa. Po całych dniach i nocach dręczyła Śasi samą siebie i wszystkich wokoło dziwactwami i kapryсами.

Po niedługim czasie zmarła matka malca, zdawszy przed śmiercią opiekę nad nim córce.

Wówczas to sierotka zdobyła sobie szybko serce siostry. Wrzeszcząc wniebogłose, chłopak wyciągał do niej rączyny i z wielkim wysiłkiem chwycił jej wargi i nos, by je sobie wsadzić do buzi. Czasem porywał ją za włosy i w żaden sposób nie chciał puścić zdobyczy. Budząc się o świtaniu, toczył się ku niej na brzuchu, za chwilę czuła miłe ciepło jego miękkiego ciała i słyszała ćwierkanie i bełkot przypominające szmer strumyka. Potem zabrał się do regularnego tyranizowania swej opiekunki, którą zwał Didi albo Didima, robił wszystko, co było zabronione, porywał potrawy z talerzy i udawał się w miejsca, których zwiedzać nie należało. Wówczas Śasi nie mogła się opierać dłużej, złożyła broń przed swym władcą i stało się, że zdobył on sobie w niej matkę, w chwili gdy stracił własną.

II

Chłopiec zwał się Nilmani. Gdy miał dwa lata, zachorował ciężko ojciec, a Dżajgopal otrzymał list, by wracał co prędzej. Gdy otrzymawszy z trudem urlop, przybył na miejsce, Kaliprasanna konał już.

Przed śmiercią oddał syna swego w opiekę Dżajgopala i zapisał swej córce czwartą część majątku. Dżajgopal porzucił tedy posadę i wrócił do wsi rodzinnej, by zarządzać odziedziczonym mieniem.

Małżonkowie ujrzeni się znów po długiej rozłące. Gdy przedmiot jakiś stłucze się czy połamie, można na nowo spojrzeć jego części. Ale gdy dwoje ludzi rozłączy się, to po długim czasie trudno ich spojrzeć tak, by części przystawały do siebie i trzymały się obopólnie razem, albowiem dusza jest istotą żywą i zmienia się z każdą chwilą.

W Śasi spotkanie to zbudziło nowe uczucie. Otrząsnęła się z martwoty pierwszych lat współżycia z mężem, a tęsknota z czasu rozłąki sprawiła, że doznawała wrażenia, iż mąż stał jej się nierównie bliższym. Wszakże poprzysięgła sobie w duszy, że cokolwiek by przyszło i jakkolwiek długo by życie trwać miało, nigdy nie ulegnie zaćmieniu blask jej miłości.

Innych uczuć doznał przy spotkaniu Dżajgopala. Kiedy dawniej ciągle żyli razem, nawyk i interesy wiązały go silnie z Śasi, była w jego życiu prawdą żywą i tkanka codziennych przyzwyczajzeń byłaby nadwreżona bardzo, gdyby jej zbrakło nagle. Dlatego też przez pewien czas po wyjeździe czuł się jak zbłąkany. Ale z wolna dziura w siatce nawyków została załatana innymi przyzwyczajeniami.

I nie koniec na tym. Dawniej pędził żywot leniwy i wygodny. W dwu latach ostatnich wzmógł się w nim popęd do polepszania swego bytu i rozrósł się do tego stopnia, że nie mógł myśleć o niczym innym. Pod kątem widzenia tej nowej namiętności spozierał na swe dawne życie i wydało mu się cieniem bez treści. Największe zmiany w charakterze kobiety wywołuje miłość, w mężczyźnie zaś żądza posiadania i pycha.

Gdy Dżajgopal wrócił po dwu latach, zauważył, że żona jego zmieniła się zupełnie. Życie jej rozszerzyło się przez owego małego szwagierka. Ta część życia Śasi była mu zgoła obcą, w tym nie miał z żoną nic wspólnego. Starła się wszelkimi sposobami, by wziął udział w jej miłości dla malca, ale nie powiodło się. Przychodziła do męża z dzieckiem na ręku, pokazywała mu je, uśmiechała się, ale Nilmani ogarniał rączkami kark Śasi i chował główkę na jej piersi, nie chcąc uznać nowego krewnego. Śasi chciała, by Nilmani pokazał Dżajgopalowi wszystkie swe żarciki i sztuczki, które mu jednały serca wszystkich, ale mężowi nie zależało na tym, by je zobaczyć. Dziecko to czuło i wzbraniało się, a Dżajgopal nie mógł pojąć, co może ją tak pociągać w owym czarnogłowym smągłym bębnie, by dlań marnować aż tyle miłości.

Kobiety są domyślne w sprawach uczuć, toteż Śasi poznała rychło, że mąż jej znosić nie może po prostu małego Nilmani, i trzymała go na uboczu, z dala od karcącego jego spojżenia. Dziecko stało się dla niej ukrytym skarbem, przedmiotem wyłącznej i samotnej miłości.

Dżajgopala raził bardzo krzyk malca, toteż Śasi starła się go szybko uspokoić, tuląc do siebie serdecznie i mówiąc słodkie słowa. Kiedy jednej nocy zbudzony ze snu mąż zaczął wymyślać dziecku, Śasi drżała na całym ciele i czuła się winną i upokorzoną. Wzięła brata na ręce, usiadła w odległym kącie sypialni i, po cichutku rozmawiając z nim i dając mu słodkie przezwiska, ukołysała go ponownie do snu.

Dzieci spierają się o byle co. Zazwyczaj Śasi w takich razach karała własne dzieci, a stawiała po stronie Nilmani, który nie miał matki. Po powrocie męża, wraz z sędzią zmieniła się także sprawiedliwość. Nilmani musiał ponosić niewinnie ciężką nieraz odpowiedzialność i spadały nań kary ze strony Dżajgopala niebadającego wcale, kto zawinił. Krzywda taka za każdym razem raniła serce Śasi, brała braciszka do swojej stancyjki i tam starła się ukoić jego zbolale serduszko całusami, słodyczami i zabawkami.

Im bardziej Śasi kochała małego Nilmani, tym więcej nie cierpiał go Dżajgopal i przeciwnie, im silniejsza była niechęć męża do chłopca, tym większą miłością otaczała go Śasi.

Gdy Dżajgopal traktował szorstko żonę, znosiła to z milczącą, łagodną rezygnacją i pełną miłości dobrocią. Ale wewnętrznie ranili się ciągle wzajem, a powodem tego był Nilmani.

Taki cichy, skrywany w głębi konflikt jest cięższy do zniesienia niż otwarta kłótnia.

III

Największą częścią małego Nilmani była jego głowa. Zdawało się, że Stwórca wydmuchał dużą bańkę przez cienką słomkę, a lekarz wyraził nawet obawę, że dziecko może prędko zniknąć jak bańka. Bardzo późno zaczął mówić i chodzić, a patrzącemu na jego smutną twarzyczkę wydawać się mogło, że rodzice złożyli na głowinę dziecka cały smutny ciężar trosk i podeszłych lat swoich.

Dzięki czulej opiece siostry Nilmani przetrwał jednak niebezpieczny okres chorób dziecięcych i miał już pięć lat.

W miesiącu kartiku²⁸, w dniu święta dorocznego baifoto wystroiła Śasi malca jak małego babu w kabat i czadar oraz bramowane czerwono majteczki i właśnie zajęta była malowaniem mu na czole rytualnego znaku braterstwa, gdy weszła rezolutna sąsiadka Tara i zaczęła wrzeszczeć od samego progu.

— Cóż to za sens — wołała — stroić swego brata tak wspaniale i malować mu na czole znak braterstwa, gdy się go jednocześnie obdziera z majątku!

Śasi zdawało się, że grom w nią uderzył. Zdumienie, gniew i ból toczyły walkę w jej sercu. Tara powtórzyła jej pogłoskę, że mąż jej uknuł plan wystawienia na sprzedaż posiadłości małego Nilmani pod pozorem zaległych czynszów dzierżawnych i kupienia jej dla siebie za pośrednictwem podstawionego własnego kuzyna. Śasi, posłyszawszy to, wyrzekła przekleństwo, że język powinien skolceć tym, którzy sięją tego rodzaju bajki. Potem płacząc, poszła do męża i opowiedziała mu wszystko. Dżajgopal odrzekł: „Nie

²⁸kartik a. kartika — ósmy miesiąc kalendarza indyjskiego, przypada w październiku i/lub listopadzie. [przypis edytorski]

można dziś nikomu dowierzać. Upen jest synem mojej ciotki i byłem zupełnie spokojny, powierzywszy mu zarząd majątku. Gdybym był miał jakiegokolwiek podejrzenie, nie byłoby do tego doszło, by posiadłość Hasilpur została wystawiona na sprzedaż, a potem potajemnie przez niego zakupiona. Zaniedbał składać opłat rządowych i uczynił to z rozmysłem”.

— Czyż nie możesz go zaskarżyć? — spytała zdumiona.

— Jak to? Mam skarżyć własnego kuzyna? Zresztą nie zdałoby się to na nic! Szkoda pieniędzy!

Było obowiązkiem Śasi wierzyć słowom męża, ale nie mogła się na to zdobyć. Zniechęciła od razu swój dom i życie dotychczasowe. Życie rodzinne, dotąd jedyna jej ucieczka, wydało jej się siecią egoistycznych intryg, w którą ją i brata wplątano. Była samotna i była kobietą... jakże bronić miała małego Nilmani? Im więcej rozmyślała, tym większy odczuwała wstręt do męża, a większą miłość do brata. Gdyby jeno wiedziała, jak się do tego wziąć, udałaby się sama do Lat Saheb, poszłaby nawet do Maharani albo napisałaby, prosząc, by ratowali mienie Nilmani. Maharani nie ścierpiałaby niezawodnie, by sprzedawano posiadłość Hasilpur, przynoszącą rocznie 758 rupii, z powodu zaległej opłaty kilku rupii zaledwo.

Podczas gdy Śasi snuła plany bronięcia brata przy pomocy królowej, dostał Nilmani nagle gorączki i kurczów.

Dżajgopal wezwał miejscowego lekarza, a gdy Śasi błagała go, by przywołał lepszego, odparł: „Po co? Matilal zna się doskonale na swym rzemiośle!”.

Śasi padła mu do kolan i zaklinała go na wszystko, a Dżajgopal przyrzekł sprowadzić lekarza z miasta.

Śasi siedziała na łóżku skulona, trzymając na rękach biednego Nilmani, który nie chciał się z nią rozstać ani na chwilę. Trzymał się jej kurczowo, ścisnął jej suknie w piastce, bojąc się, że mu pod byle pozorem ucieknie.

Tak minął dzień. Wieczorem wrócił Dżajgopal z miasta i powiedział, że lekarz wyjechał do jakiegoś chorego w okolicę. Dodał, że musi tego jeszcze wieczoru jechać w sprawie pewnego procesu, ale nakazał Matilalowi, by zaglądał do chorego dziecka.

W nocy zaczął Nilmani bredzić w malignie. O świcie Śasi, nie namyślając się ni chwili, najęła czółno i pojechała z chorym bratem do lekarza. Był w domu i nie wyjeżdżał wczoraj do żadnego chorego.

Wynalazł prędko przytułek dla Śasi i oddawszy ją w opiekę starszej jakiejś wdowie, zaczął leczyć malca.

Następnego dnia zjawił się Dżajgopal. Wściekłością zdjęty rozkazał żonie natychmiast wracać do domu.

— Gdybyś mnie zabił na śmierć, i tak nie wrócę! — odrzekła. — Wszyscy chcecie uśmiercić biednego Nilmani, który prócz mnie nie ma na świecie nikogo. Ja go ocalę!

— Tedy nie masz po co wracać do domu! Wyganiem cię! — krzyknął Dżajgopal.

— Wyganiaasz? — zawołała, nie mogąc się powstrzymać dłużej. — To dom mego brata, nie twój!

— Dobrze! Zobaczymy! — powiedział Dżajgopal.

Zbiegli się sąsiedzi i mówili: „Kłóćciez się, moi państwo, u siebie w domu, nie tutaj! Po cóż od niego uciekasz? Wszakże to twój mąż”.

Za pieniądze, jakie wzięła z sobą, i klejnoty sprzedane udało jej się wyrwać biednego Nilmani z paszczy śmierci. Naraz doszła ją wieść, że mąż przy pomocy zamindara, głównego dzierżawcy okręgu, kazał przepisać na swe imię jej własną wielką posiadłość Dwarigram, wraz z domem mieszkalnym, przynoszącą rocznie więcej jak tysiąc pięćset rupii. Teraz więc ani ona sama, ani Nilmani nie posiadali nic a nic.

Gdy Nilmani odzyskał zdrowie, zaczął domagać się piskliwym głosem: „Wracajmy do domu, Śasi!” Tęsknił do dzieci, towarzyszy zabaw, i wsi. Powtarzał tedy raz po raz: „Wracajmy, Śasi, do domu, do dawnego naszego domu!” A Śasi płakała. Nie miała już domu.

Ale płacz nie na wiele się przydał. Śasi była świadoma, że Nilmani prócz niej nie ma nikogo na świecie. Otarła łzy, udała się do domu pomocnika sędziego pokoju Tarini babu

i poprosiła żonę jego o pomoc. Sędzia znał dobrze Dżajgopala, a usposobiło go źle do Śasi to, że porzuciła męża i zaczęła z nim spór o sprawy majątkowe. Nie mówiąc nic, trzymał ją w swym domu przez czas jakiś, a tymczasem napisał do jej męża. Dżajgopal przyjechał, wsadził żonę i szwagra przemocą do czółna i zawiózł oboje do domu.

W ten sposób połączyli się małżonkowie po drugim rozstaniu, albowiem taka była wola Pradžapati²⁹!

Nilmani był uszczęśliwiony, odzyskawszy po długim czasie towarzyszy zabaw, a Śasi patrząc na jego beztróską radość, zalewała się łzami.

IV

Sędzia pokoju podróżował po kraju w sprawach urzędowych podczas chłodnej pory roku. Przybył do wioski, rozbił w niej swój namiot i zamierzał zapolować. Na łące spotkał sędziego małego Nilmani. Inni chłopcy obchodzili wielkiego pana z dala, jak niebezpiecznego potwora. Ale Nilmani był nieustraszony, stał i gapił się na sahiba z ciekawością.

Sahib przystąpił doń i spytał po bengalsku:

— Chodzisz do szkoły?

Chłopiec skinął głową potakująco.

— Cóż to za dzieła czytujesz teraz?

Nilmani nie rozumiał uczonego słowa oznaczającego książkę, tedy patrzył dalej na sahiba w milczeniu. Wróciwszy do domu, opowiadał siostrze z zapałem o tym spotkaniu.

Około południa udał się Dżajgopal ubrany w spodnie, długi surdut i turban do sędziego, by mu złożyć uszanowanie. Sahiba otaczał tłum interesantów, sług i policjantów. Bojąc się upału, kazał sędziemu ustawić stół przed namiotem w miejscu zacienionym i, wskazawszy Dżajgopalowi krzesło, spytał go, co słyhać we wsi. Dżajgopal, siedząc tak wobec wszystkich na honorowym miejscu, uczuł w sercu pychę wielką i rad by był bardzo, gdyby go mogli zobaczyć znajomi, Czakrabarti lub Nandi.

W tej chwili zbliżyła się do sędziego kobieta z twarzą osłoniętą gęstym welonem i, prowadząc za rękę Nilmani, stanęła przed stołem sędziowskim.

— Sahibie — powiedziała — w opiekę twą oddaję bezbronного brata mego. Ratuj go! — Sahib poznał od razu chłopca z poważną twarzą, spotkanego na łące, widząc zaś, że strój wiodącej go kobiety świadczy, iż zalicza się ona do pierwszych rodów wioski, powstał i poprosił grzecznie, by weszła z nim do namiotu.

Ale kobieta odrzekła: „To, co mam powiedzieć, mogę wyrzec i tutaj”.

Dżajgopal zbladł. Sprawa ta była niesłychanym skandalem dla mieszkańców wsi, toteż zaczęli się gromadzić tłumnie. Ale zaledwo sędzia podniósł swą urzędową laskę, rozbiegli się na wszystkie strony.

Trzymając ciągle za rączkę Nilmani, Śasi opowiedziała dzieje sieroty. Ile razy Dżajgopal chciał jej przerwać, sędzia krzyczał nań, spozierając gniewnie: „Milcz!”, i dał mu znak laską, że ma wstać, albowiem jest obwinionym.

Dżajgopal stał niemy, pieniąc się z gniewu, a Nilmani przytulił się do siostry i słuchał przelękły i drżący.

Gdy Śasi skończyła opowiadanie, zadał sędzia kilka pytań Dżajgopalowi, a gdy ten odpowiedział, milczał przez chwilę, potem zaś rzekł do Śasi: „Dobra kobieto! Sprawa ta, to prawda, nie leży w zakresie mojej władzy, ale poczynię wszystkie potrzebne kroki, aby chłopca uratować. Możesz się spokojnie udać z bratem do domu”.

Ale Śasi odrzekła: „Sahibie, jak długo dom ten nie jest jego własnością, nie mam odwagi wieść go tam. Jeśli nie zatrzymasz, sahibie, brata mego przy sobie, nikt na świecie uratować go od śmierci nie zdoła!”.

— A co się z tobą stanie? — spytał sahib.

— Powrócę do domu męża mego! — odparła. — O mnie obawy nie ma...

Sahib uśmiechnął się z powątpieniem, ale ponieważ nie mógł uczynić nic innego, przeto zgodził się wziąć w opiekę tego szczupłego, smagłego, poważnego, dostojnego bengalskiego chłopaka, którego szyja obwieszona była gęsto amuletami.

²⁹ Pradžapati (mit. hind.) — stwórca świata, twórca rytuału, bóg małżeństwa. [przypis edytorski]

Gdy Śasi chciała odchodzić, uczeplił się Nilmani jej sukni: „Nie bój się, baba!” — powiedział sahib, a Śasi potwierdziła przez lzy ściekające gęsto z jej oczu pokrytych zasłoną: „Nie bój się, braciszku! Zostań z sahibem. Zobaczymy się niedługo!”.

Ogarnęła go spojrzeniem, pogładziła jego włosy i plecy, a potem odbiegła spiesźnie. Sahib otoczył go ramieniem, a chłopak wykrzyknął: „Siostrzo! Siostrzo!”. Śasi obróciła się, skinęła mu raz jeszcze ręką, a potem, słaniając się na nogach, odeszła.

I znowu spotkali się małżonkowie w dawnym swym domu, bowiem taka była wola Pradžapati!

Ale połączenie to nie trwało długo. Niebawem dowiedzieli się mieszkańcy wioski, że Śasi zmarła w nocy na cholera i ciało jej zaraz zostało spalone.

Nikt nie pisał słowa. Jedna jeno sąsiadka chciała coś paplać na ten temat, ale inni zmusili ją do milczenia, kładąc palec na ustach i mówiąc: „Pst!”. Mieli przy tym miny przestraszone.

Śasi obiecała bratu, że się zobaczą. Kiedy i gdzie dotrzyma swej obietnicy... nie wiadomo.

Koronujemy cię na króla

Kiedy Nabendu Szekhar żenił się z Arunlekhą, bóg małżeństwa uśmiechnął się przebiegle spoza ofiarnego ognia. Niestety to, co dla bogów bywa wesołą zabawą, nie zawsze jest dobrym figlem dla nas, biednych śmiertelników!

Purnendu Szekhar, ojciec Nabendu, należał do ludzi żyjących w dobrych stosunkach z angielskimi urzędnikami rządowymi. Dzięki temu, że umiał należycie posługiwać się wiosłami *salaamu*³⁰, dotarł w swej podróży życiowej do odległego brzegu godności Ray-Bahadura³¹. Miał jeszcze w rezerwie spory zapas tych środków awansu, na nieszczęście jednak, gdy doszedł do pięćdziesiątego piątego roku życia, a spojrzenie jego spoczęło już z błogą tęsknotą na owianym mgłami szczyt godności radży, znalazł się nagle przeniesiony w sferę, w której ziemskie zaszczyty i odznaczenia nie mają żadnego znaczenia, zaś jego utrudzony od gięcia się w głębokich ukłonach kark znalazł wieczny odpoczynek na drwach stosu pogrzebowego.

Jak nas pouczają nowoczesne nauki przyrodnicze, żadna energia nie idzie na marne, lecz zmienia tylko swój kształt i kierunek. Tak też i siła *salaamów* Purnendy, niezawodna pomocnica zmiennej bogini szczęścia, spłynęła z bark ojca na barki jego godnego syna i młodzieńcza głowa Nabendu Szekhara zaczęła się kiwać przed drzwiami wysoko postawionych Anglików jak wiatrem poruszana dynia.

Tradycje rodziny, do której się przyzenił, były zgoła odmienne. Najstarszy syn Prathamath zdołał miłość całej swej rodziny i szacunek wszystkich, którzy go znali. Tak krewni, jak i sąsiedzi uważali go pod każdym względem za wzór.

Pramathanath posiadał nie tylko uniwersyteckie wykształcenie, ale także zdrowy ludzki rozsądek. A mimo to nie posiadał ani wysokiego urzędu, ani znaczniejszych dochodów. Żadna wpływowa osobistość nie pomagała mu do wybicia się, bo Anglikom schodził z drogi tak samo, jak i oni jemu. Skutkiem tego cnoty jego lśniły tylko w kole jego rodziny i przyjaciół, nie wzbudzając zresztą poza tym zakresem żadnego podziwu.

A przecie tenże sam Pramathanath spędził swego czasu trzy lata w Anglii. Życzliwe przyjęcie, jakiego tam doznał, tak go chwyciło za serce, że zapomniał o cierpieniach i upokorzeniach swej ojczyzny i powrócił do kraju w kostiumie europejskim. Rodzinie jego sprawiało to z początku przykrość, po kilku dniach jednak wszyscy przyszli do przekonania, że nikomu w europejskim ubraniu nie jest tak do twarzy jak jemu, aż wreszcie zaczęli podzielać jego przekonania i radowali się pełną godności dumą.

Wróciwszy z Anglii, postanowił Pramathanath pokazać światu, że z Anglikami w Indiach można obcować na równej stopie. Ci rodacy nasi, którzy sądzą, że obcowanie tego

Los, Śmiech

Kariera

³⁰*salaam* (z arab. *salām*: pokój) — tu: ukłon, uniżone powitanie. [przypis edytorski]

³¹*Ray-Bahadur* a. *Rao Bahadur* (z bengalskiego: czcigodny, chrobry książę) — tytuł honorowy, nadawany w Indiach przez władze brytyjskie. [przypis edytorski]

rodzaju jest niemożliwe i że musimy przemawiać do Anglików na klęczkach, zdradzając tylko zupełny brak szacunku dla samych siebie, a prócz tego są też niesprawiedliwi względem Anglików — tak myślał Pramathanath.

Z Europy przywiózł od wybitnych osobistości angielskich cały szereg listów, które ułatwiły mu dostęp do angielskiego towarzystwa na terenie Indii. On, a także i jego żona korzystali od czasu do czasu z angielskiej gościnności zapraszani na herbatę, obiady, uroczystości sportowe i inne zabawy. Powodzenie to oszołomiło go i zaczęło wstrząsać wszystkimi jego nerwami.

W tym czasie otwarto nową linię kolejową i wielu mieszkańców miasta, dumne przedmioty względów urzędniczych, zostało zaproszonych przez gubernatora do wzięcia udziału w pierwszej podróży. Wśród nich znajdował się też Pramathanath. Podczas podróży powrotnej jakiś angielski urzędnik policji wyprosił w najbezcześniejszy sposób paru Hindusów z przedziału, w którym znajdował się również Pramathanath w swym europejskim ubraniu. Kiedy również chciał wysiąść, urzędnik odezwał się: „Pan wysiadać nie potrzebuje. Proszę, niech pan zostanie na swoim miejscu”.

W pierwszej chwili Pramathanathowi pochlebili okazany mu w ten sposób szczególny szacunek. Kiedy jednak pociąg ruszył dalej, doznał wrażenia, jak gdyby omdleające promienie zachodzącego słońca leżące na zachodnich polach, niezoranych i pozbawionych wszelkiej zieleni, rumieńcem wstydu zalały cały kraj. I kiedy tak siedział przy oknie swego pustego przedziału, zdawało mu się, że widzi ukryte poza drzewami spuszczone w dół oczy swej ojczyzny, i podczas gdy on sam pogrążył się w marzeniach, palące łzy spływały po jego policzkach, a serce biło żywiej z gniewu.

Przyszła mu na myśl historia o osle, który ciągnął przez ulice wóz z figurą bożka. Przechodnie kłaniali się bożkowi i dotykali czołem pyłu ulicy. Głupi osioł wyobrażał sobie, że całą tę cześć jemu się oddaje.

— Jedyna różnica między osłem a mną — rzekł do siebie Pramathanath — jest ta: ja dziś zrozumiałem, iż szacunek, jaki mi się okazuje, przeznaczony jest nie dla mnie, lecz dla brzemienia na moim grzbiecie.

Wróciwszy do domu, zwołał Pramathanath wszystkie dzieci, wznosił wysoki stos z drzewa, podpalił go i wrzucił weń jedno po drugim wszystkie swoje europejskie ubrania. Dzieci tańczyły dokoła ognia, a im wyżej strzelały płomienie, tym większa była ich uciecha. Następnie wyrzekł się Pramathanath swego łyku herbaty i odrobiny tostu w angielskich domach i siedział znowu nieprzystępny w twierdzy swego domu, podczas gdy tak haniebnie potraktowani przyjaciele w dalszym ciągu chodzili od drzwi do drzwi po domach angielskich, chyląc przed nimi swe oturbanione głowy.

Dziwną ironią losu zdarzyło się, iż biedny Nabendu Szekhar pojął za żonę młodszą siostrę z tej rodziny. Szwagierki jego były przystojne i dobrze wychowane. Nabendu przyszedł do przekonania, że zrobił bardzo dobry interes. Z drugiej strony jednak starał się wszelkimi sposobami rodzinie wykazać, że i on był dla niej doskonałym nabytkiem. Niby to bez żadnego zamiaru pokazywał swym szwagierkom często listy, jakie jego ojciec otrzymał był od Europejczyków. Ale gdy wiśniowe usteczka tych młodych dam zaczęły się sarkastycznie uśmiechać, a ostrze lśniącego sztyletu wyrzało z czerwonej aksamitnej pochwy, zrozumiał nieszczęśnik swą lekkomyślność i pożałował jej.

Labanjalekha, najstarsza z sióstr, przewyższała wszystkie pięknnością i rozumem. Przy sposobności jakiegoś święta ustawiła na kominku w sypialni Nabendu parę angielskich trzewików pomalowanych szkarłatną barwą, naniosła kwiatów, pasty sandalowej, kadzidła i dwie świece, które w sposób przepisany przy składaniu ofiar zapaliła. Kiedy Nabendu przyszedł, obie szwagierki wzięły go między siebie, mówiąc z drwiącą powagą:

— Pokłoń się twym bogom i oby ich błogosławieństwo przyniosło ci szczęście.

Trzecia siostra, Kiranlekha, cały miesiąc spędziła nad wyszywaniem czerwonym jedwabiem szala na plecy setką zwykłych nazwisk angielskich, jak Jones, Smith, Brown, Thomson itd. Gdy szal był gotów, uroczyście wręczyła Nabendu to *namavali*³².

Czwarta, Saśankalekha, mała i która się właściwie jeszcze nie liczyła, odezwała się raz:

³²*namavali* — chustka zadrukowana imionami bogów i używana przez pobożnych Hindusów przy nabożeństwie i modlitwach. [przypis redakcyjny]

— Bracie, ja ci zrobię różaniec, na którym będziesz mógł wymieniać imiona twych bogów, sahibów.

Siostry wylażały ją i zaczęły wołać:

— Idź sobie stąd, ty zuchwała żmijko!

Uczucia Nabendu Szekhara wahały się między wstydem a gniewem. A mimo to nie mógł się zdecydować na wyrzeczenie się towarzystwa swych szwagierek, zwłaszcza że najstarsza była faktycznie bardzo piękna. Siła słodczy jej miodu nie była mniejsza od goryczy, zaś ona karmiła zwykle Nabendu tak jednym, jak i drugim. Cma mimo osmalenia skrzydeł w ślepym opętaniu trzepoce się wciąż dokoła światła, niezdolna oderwać się od niego.

Towarzystwo szwagierek wywarło na Nabendu taki wpływ, iż po pewnym czasie zaczął zaprzeczać, iż ubiega się o względy Anglików. Wychodząc, aby złożyć uszanowanie gubernatorowi, mówił, że idzie wysłuchać mowy Surendranatha Banerdzi. Idąc na kolej, aby wziąć udział w uroczystym powitaniu wicegubernatora powracającego z Darżiling, opowiedział szwagierkom, iż idzie naprzeciw swego najmłodszego wuja.

Ciężka to była rzecz dla tego nieszczęsnego człowieka stać tak w krzyżowym ogniu swych sahibów i szwagierek. Szwagierki jednak przysięgły sobie potajemnie nie spocząć, dopóki sahibów nie wyprą.

Jakoś w tym czasie rozeszła się wieść, że nazwisko Nabendu ma się znaleźć na najbliższej liście odznaczeń z okazji urodzin królewskich i że on jako Ray-Bahadur stanie na pierwszym stopniu tej prowadzącej do rajy drabiny. Biedak nie miał odwagi podzielić się ze szwagierkami wesołą nowiną. Ale wreszcie pewnego wieczoru, gdy księżyc jesienny zalewał ziemię swym zgubnym światłem, serce Nabendu tak wezbrało, że nie mógł już dłużej wytrzymać i zwierzył się z sekretu żonie. Na drugi dzień Arunlekha udała się w lektyce do domu swej najstarszej siostry i głosem zdławionym od łez zaczęła się skarżyć na swój los.

— No, przecie przez to, że zostanie Ray-Bahadurem, korona mu jeszcze z głowy nie spadnie. Dlaczego czujesz się tym tak upokorzona?

— Ach, nie, kochana siostro! — odpowiedziała Arunlekha. — Wolalabym wszystko inne, niż być żoną Ray-Bahadura.

Do koła ich znajomych należał też niejaki Bhutnath babu, który był Ray-Bahadurem, a to tłumaczyło jej gwałtowną niechęć do tego tytułu.

Labanjalekha próbowała ją uspokoić:

— Nie irytuj się, moja droga; zobaczę, co się da zrobić, aby temu przeszkodzić.

Babu Nilratan, mąż Labanjalekhi, był adwokatem w Buksarze. Kiedy jesień minęła, Nabendu otrzymał od Labanjalekhi list z zaproszeniem, aby ich odwiedził, wobec czego pełen radości pojechał do Buksaru.

Wczesna zima zachodniej prowincji okrasila Labanjalekę nowym zdrowiem i pięknnością i ozdobiła jej blade policzki delikatnym rumieńcem. Była podobna do obsypanej kwieciami kazarydy w jasny dzień jesienny na samotnym brzegu strumyczka. Pełnym zachwytem oczom Nabendu wydała się niby krzak jaśminu w pełnym rozkwicie, lśniący od rosy w świetle porannym.

Nigdy w życiu nie czuł się Nabendu tak dobrze. Wzmoczone poczucie zdrowia i podniecające towarzystwo pięknej szwagierki dawały mu taką lekkość, że miał wrażenie, iż unosi się w powietrzu, nie dotykając ziemi. Zdawało mu się, jak gdyby Ganges, płynący tuż koło ogrodu, najszaleńsze jego fantazje unosił w nieznany kraj baśni, gdzie nabierały rzeczywistości.

Kiedy wczesnym rankiem wracał z przechadzki nad rzeką, łagodne promienie słońca zimowego użyczały całemu jego ciału tego rozkosznego uczucia ciepła, jakie przenika kochanka w ramionach ukochanej. W domu zastawał czasem szwagierkę zajętą przyrządzaniem jakiejś smacznej potrawy. Czym prędzej ofiarowywał jej zwykle swą pomoc, przy czym na każdym kroku wykazywał zupełny brak zręczności i talentu kucharskiego. Nie starał się jednak wcale, aby dzięki uwadze i wprawie poczynić jakieś postępy, przeciwnie, bawiło go bardzo, gdy szwagierka go lajała i burczała. Zadawał sobie wiele trudu, by co dnia na nowo jej dowieść, że jest nieudolny i nieporadny jak nowo narodzone dziecko, o ile idzie o mieszanie korzeni, trzymanie patelni i uważanie, aby się coś tam nie przy-

palilo — za co otrzymywał należytą nagrodę w postaci pełnego politowania uśmiechu i polajanek.

W południe pałaszował z zapalem wszystkie piękne rzeczy, jakie przed nim zastawiano, czyniąc zadość tak swemu zdrowemu apetytowi, jak też i zachętom szwagierki. Po jedzeniu zasiadano do kart, przy czym Nabendu wykazywał znowu wrodzony sobie brak wszelkiej zręczności. Szachrował, zapuszczał żurawia, klócił się z partnerką, a choć nigdy nie wygrał, nie chciał się w żaden sposób przyznać do przegranej. Oczywiście to pociągało za sobą coraz to nowe bury, on jednak był niepoprawny.

Ale pod pewnym względem naprawdę się poprawił. Zapomniał najzupełniej, przynajmniej na jakiś czas, że najwyższy cel życia stanowiło staranie się o uśmiech sahibów. Zaczynał powoli rozumieć, jakie szczęście i zadowolenie sprawia nam, gdy zyskujemy miłość i szacunek tych, którzy nam są najbliżsi i najdrożsi.

Przyczyniło się do tego też i to, że Nabendu żył teraz w zupełnie innej atmosferze. Mężowi Labanjalekhi, babu Nilratanowi, znakomitemu prawnikowi, wielu brało za złe, że nie składa wizyt urzędnikom angielskim. Na zarzuty te odpowiadał Nilratan zwykle:

— Nie, dziękuję. Skoro nie mogą się zdobyć na tyle uprzejmości, aby oddać mi wizytę, moja uprzejmość byłaby tylko zbyteczną rozrzutnością. Piasek pustyni jest pięknie biały i połyskujący, ja jednak wolę obsiewać czarną ziemię, która mi me ziarno zwróci.

I Nabendu, niepomny na przyszłość, zaczął żywić te same poglądy. Jego widoki na godność Bahadura kwitły tymczasem dalej na gruncie przez zmarłego ojca i przez niego samego w ostatnich czasach starannie przygotowanym i nie było potrzeba świeżo ich podlewać. Czyż nie ufundował niemalym sumptem toru wyścigowego w mieście, które było najmiłszym miejscem pobytu Anglików?

Kiedy zbliżał się czas Kongresu, otrzymał Nilratan z wydziału wezwanie do zbierania na ten cel składek. Niczego niepodświadomie Nabendu siedział właśnie przy wesolej partyjce ze swoją szwagierką, gdy naraz zbliżył się do niego Nilratan z listą składek i rzekł:

— Proszę cię o podpis.

Ujrzawszy słowo „Kongres” Nabendu ze starej nawyczki przeraził się. Labanjalekha zrobiła również bardzo przerażoną minę i odezwała się:

— Nie rób tego. Zmarnujesz sobie na nic swój tor wyścigowy.

Ale Nabendu wykrzyknął pogardliwie:

— Czy myślisz, że mi to może sen odbierze?

— Nie ogłosimy twego nazwiska w dziennikach — rzekł Nilratan uspokajająco.

Ale Labanjalekha wtrąciła z poważną i zakłopotaną miną:

— Mimo wszystko to jest trochę niebezpieczne. Takie rzeczy trudno zachować w tajemnicy...

Nabendu odpowiedział gwałtownie:

— Nic by memu nazwisku nie zaszkodziło, nawet gdyby się znalazło w gazetach.

To rzekłszy, chwycił listę składek, którą Nilratan wciąż jeszcze trzymał w ręku, i jednym zamachem podpisał tysiąc rupii. W głębi duszy miał nadzieję, iż pisma tego nie podadzą.

Labanjalekha uderzyła się w czoło i zawołała przerażona:

— I — có — żeś — ty — zro — bił!

— Nic złego! — odpowiedział Nabendu, wypinając dumnie pierś.

— Ależ... ależ — mówiła z wahaniem — pomyśl tylko, co to będzie, jak ci wszyscy sahibowie się na ciebie obrażą: portier na dworcu Sealda, służba sklepowa u Whiteway, dojeżdżacz u braci Hart — jak wszyscy ci panowie nie zechcą przyjść na twój proszony obiad i pić twego szampana! Pomyśl tylko, jak cię następnym razem zobaczą, nie będą cię już życzliwie klepać po ramieniu!

— Płakać o to nie będę! — odpowiedział Nabendu krótko.

Minęło parę dni.

Pewnego poranka, kiedy Nabendu popijał herbatę i przeglądał gazetę, nagle wzrok jego padł na adresowany do niego list otwarty, podpisany „N^o”. Autor listu dziękował mu pełnymi zapału słowy za hojny dar, oświadczając, iż nie można dość wysoko ocenić poparcia, jakie Kongres uzyskał dzięki temu, iż taki człowiek oddał się na jego usługi.

Ach, biedny ojczu Purnendu Szekharze! Czyż po to, aby utwierdzić potęgę Kongresu, spłodziłeś takiego nędznika?

Podstęp

Jednakże ta ciężarna nieszczęściem chmura miała też swe srebrne obramowanie³³. Z faktu, iż tak gmina anglo-hinduska, jak i Kongres usiłowały złapać go na swój haczyk i przeciągnąć na swoją stronę, wynikało zupełnie jasno, iż przecie nie był zwykłym zerem. Toteż Nabendu, rozpromieniony z radości, zaniósł dziennik swej szwagierce i pokazał jej list.

Labanja udając, że nic o tym nie wie, zawołała ze strachem:

— O, cóż to za fatalna historia! Teraz wszystko się już wyda! I któż ci tego złośliwego figla wypłatał? Och, co za obrzydliwy zdrajca!

— No, no, Labanjo! — mówił ze śmiechem Nabendu. — Nie trzeba na niego zaraz tak pomstować! Ja mu przebaczam z całego serca i jeszcze bym mu za to dał swe błogosławieństwo!

W parę dni później ktoś przysłał Nabendu wrogo usposobiony dla Kongresu dziennik. Znajdował się tam artykuł opatrzony podpisem „Ktoś, kto wie lepiej”, a naturalnie zaprzeczający wszystkiemu, co pisał autor listu otwartego. „Ci, którzy mają zaszczyt znać babu Nabendu Szekhara osobiście — brzmiał artykuł — ani na chwilę nie uwierzą podobnemu oszczerstwu. Stać się członkiem Kongresu jest dla niego takim samym niepodobieństwem, jak dla leoparda zrzucić skórę. Jest to człowiek na wskroś z charakterem — nie żaden nieszczęśliwy w swych staraniach o posadę rządową chłystek lub adwokat bez klienteli. Nie należy też do tych, którzy, wróciwszy po krótkim pobycie w Anglii i małpując nasze ubranie i obyczaje, wdzierają się bezczelnie w angielskie towarzystwo, aby później z uczuciem zawodu musieć się z niego wycofać. Toteż nie widzimy najmniejszego powodu, dla którego by babu Nabendu Szekhar itd., itd...”.

Ach, ojciec Purnendu Szekharze! Jakże dobrą sławę wyrobiłeś sobie i swemu nazwisku wśród Anglików!

I ten artykuł pokazano szwagierce, bo czyż nie był to najlepszy dowód, że Nabendu nie jest jakimś mizernym, nędznym półgłówkiem, lecz prawdziwym, co się zowie, mężczyzną?

Labanja wykrzyknęła z udanym zdziwieniem:

— Któryż z twoich przyjaciół mógł to pisać? Może konduktor, może kuśnierz — a kto wie, czy nie dobosz z fortu?

— Mnie się zdaje, że na to powinieneś odpowiedzieć — odezwał się Nilratan.

— Czy to konieczne? — rzekł Nabendu wyniośle. — Czy mam odpowiadać na każdą drobnostkę, jaką przeciw mnie wyciągną?

Śmiech Labanji zalał pokój.

Nabendu zmieszał się trochę i spytał:

— O cóż właściwie idzie?

Ale ona śmiała się dalej niepowstrzymanie, przy czym jej smukła młodzieńcza postać gięła się, jak gdyby wiatr nią kołysał. Ten wybuch wesołości najzupełniej już wyprowadził z równowagi Nabendu.

— Czy sądzisz może, że ja boję się na to odpowiedzieć? — zapytał nie bez pewnego smętku w głosie.

— Ale skądże! — odpowiedziała Labanja. — Pomyślałam sobie tylko, że przecie nie wyrzekłeś się jeszcze nadziei uratowania swego tak obiecującego toru wyścigowego. Tak, nadzieja to wszystko!

— Ty naprawdę myślisz, że ja się o to obawiam? Dobrze, przekonasz się! — odpowiedział Nabendu zrozpaczony i natychmiast zaczął pisać odpowiedź. Skończywszy, podał ją Labanji i Nilratanowi, ale ci orzekli, że jest za słaba.

— To nie dość energiczne. Na to się musi mocno chlasnąć, nieprawdaż?

Z całą uprzejmością podjęli się zredagowania artykułiku. Ostateczne jego brzmienie było następujące:

„Jeżeli ktoś połączony z nami związkami krwi przechodzi na stronę naszych nieprzyjaciół, staje się dla nas znacznie niebezpieczniejszy od każdego cudzoziemca. Pyszalkowaci Anglicy są dla rządu Indii wrogami znacznie gorszymi niż Rosjanie a nawet Afganowie;

³³Jednakże ta ciężarna nieszczęściem chmura miała też swe srebrne obramowanie — nawiązanie do ang. powiedzenia *every cloud has a silver lining* (każda chmura ma srebrzyste obrzeże), wskazującego pozytywne aspekty trudnych sytuacji. [przypis edytorski]

stają oni zawsze jako niemożliwa do usunięcia zaporą między rządem a narodem i uniemożliwiają wszelkie zadzierzgnięcie węzłów przyjaznych między obu stronami. Kongres jest tą instytucją, która zbudowała szeroki gościniec wiodący do lepszego porozumienia między rządem a poddanymi, jednakże dzienniki angielskie rozkrzewiły się jak chwasty cierniste przez całą szerokość tej drogi itd., itd.”

Nabendu w duchu obawiał się, że ten artykuł sprowadzi na niego nieszczęście, z drugiej jednak uczył się wbity w dumę znakomitym stylem, który uważał za swój własny. Odpowiedź ta została na odpowiednim miejscu wydrukowana, po czym zaczęły się w najbliższych dniach pojawiać w różnych dziennikach uwagi, odpowiedzi i ataki, aż wreszcie zagrzmiały trąby, obwieszczając światu fakt, iż Nabendu stał się członkiem Kongresu i jaką sumę na jego cele podpisał.

Nabendu mówił teraz z tak rozpacziwą odwagą, jak gdyby był najzagorzalszym patriotą. Labanja śmiała się w duchu i mówiła sama do siebie:

— No, no, poczekaj, próbę ogniową masz jeszcze przed sobą.

Pewnego poranku, kiedy Nabendu przed kąpielą natarł sobie oliwą piersi i właśnie starał się wszelkimi sposobami namaścić również trudno dostępne okolice łopatek, służący przyniósł mu bilet z nazwiskiem samego sędziego okręgowego! Miły Boże! Cóż miał począć? Nie mógł przecie w żaden sposób wyjść tak namaszczony i przyjąć sahiba. Szamotał się konwulsyjnie, jak ryba, którą czeka patelnia. Wykąpał się z gorączkowym pośpiechem, ubrał się i wybiegł z łazienki. Służący oświadczył mu, że sahib czekał przez dłuższy czas i właśnie odszedł. Jaką część winy w tej komedii złośliwego splotu okoliczności ponosiła Labanja, a jaka przypadała na służącego, stanowi zadanie rachunkowe, którego rozwiązanie pozostawiam matematykom etyki.

Serce Nabendu skurczyło się w piersi z bólu jak świeżo ucięty ogon jaszczurki. Przez cały dzień siedział milczący, smutny, osowiały.

Labanja usunąwszy z twarzy wszelki ślad wesołości, jaka panowała w jej duszy, kilkakrotnie pytała go stroskanym głosem:

— I cóż ci się stało? Mam nadzieję, że nie jesteś chyba chory?

Nabendu zrobił wielki wysilek, aby się uśmiechnąć i dać jakąś wesołą odpowiedź.

— Któż mógłby zachorować przy tobie — wyjąkał wreszcie — która jesteś uosobioną boginią zdrowia?

Ale uśmiech zgasł szybko. Przykre myśli dręczyły go bezustannie.

— Naprzód podpisałem się na liście składek na rzecz Kongresu, następnie ogłosiłem w dziennikach ten głupkowaty artykuł, zaś teraz obraziłem sędziego okręgowego, każąc mu na siebie czekać, gdy on zaszczylił mnie odwiedzinami. Co on sobie o mnie pomyśli! Ach, ojczyzna Purnendu Szekharze, dziwnym zrzędzeniem losu wyglądam na takiego, jakim wcale nie jestem!

Następnego poranku Nabendu ubrał się w swe najlepsze suknie, włożył do kieszeni zegarek z grubym złotym łańcuszkiem i wdział na głowę wielki turban.

— Dokąd idziesz? — zapytała go szwagierka.

— Mam ważne sprawy — odpowiedział Nabendu.

Labanja milczała.

Stanąwszy u drzwi sędziego okręgowego, wyjął swój bilet wizytowy.

— Teraz z nim mówić nie można — rzekł lodowatym tonem dyżurny lokaj.

Nabendu wyjął z kieszeni parę rupii.

Lokaj skłonił się natychmiast i rzekł:

— Jest nas pięciu, panie!

Wobec tego Nabendu wyjął w tej chwili dziesięć rupii i podał mu je.

Wprowadzono go do sędziego okręgowego, który siedział przy biurku w szlafroku i w pantoflach. Sędzia okręgowy wskazał mu palcem krzesło i spytał, nie podnosząc głowy znad papierów:

— Czym można służyć, babu?

Nabendu przebierał przez chwilę nerwowo palcami po swym łańcuszku, aż wreszcie rzekł niepewnym głosem:

— Pan był wczoraj łaskaw odwiedzić mnie, panie sędzio?

Sahib zmarszczył czoło, rzucił nań sponad papierów okiem i rzekł:

— Ja pana odwiedzać? Co pan za głupstwa wygaduje?

— Proszę o przebaczenie, panie — jękał Nabendu. — Musiała zajść jakaś pomyłka... jakieś nieporozumienie — to mówiąc starł obfity pot z czoła i wyszedł z pokoju, zataczając się. A kiedy się tego wieczoru niespokojnie przewracał na łóżku, wciąż niby z jakiejś odległej dali brzmiało mu w uszach:

„Babu, ty jesteś kolosalnym osłem!”.

Wracając do domu, przyszedł Nabendu do przekonania, że sędzia okręgowy wyparł się tylko tej wizyty, obrażony, iż musiał tak długo czekać.

Na pytanie Labanji odpowiedział, że wyszedł, aby kupić wody różanej. Zaledwie to powiedział, zjawili się pół tuzina policjantów z oznakami upoważniającymi do inkasowania grzywny; skłoniwszy się nisko przed Nabendu, czekali z uśmiechem.

— Czy oni chcą cię aresztować za to, że podpisałeś składkę na Kongres? — szepnęła Labanja z uśmiechem.

Sześciu policjantów wyszczerzyło tuzin szeregów białych zębów i rzekło:

— Bakszisz, babu sahib!

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Nilratan i spytał zirytowany:

— Bakszisz? Za co?

Policjanci odpowiedzieli, wciąż jeszcze uśmiechając się:

— Babu sahib był na audyencji u sędziego okręgowego, wobec tego przyszedłszy po bakszisz.

— O! — zaśmiała się Labanja. — Nie wiedziałam nic o tym, że sędzia okręgowy handluje już wodą różaną. Jak dotąd niezbyt mu zależało na tym, aby nam kadzić.

Nabendu, starając się pogodzić historię swych zakupów z wizytą u sędziego okręgowego, wyjąkał parę słów bez związku, z których zresztą nikt nie mógł być mądry.

Nilratan rzucił policjantom:

— Tu nie ma żadnego powodu do dawania bakszisz; nic nie dostaniecie.

— O, to przecie biedni ludzie — rzeki Nabendu nieśmiało. — Dlaczego by im nic nie dać?

Mówiąc to, wyjął banknot. Ale Nilratan wyrwał mu go z ręki z uwagą:

— Są na świecie biedniejsi od nich; dam im te pieniądze w twoim imieniu.

Nabendu czuł się niezmiernie nieszczęśliwy, że nie mógł czymś przejednać niepokojących sług rozgniewanego boga Sziwy. Kiedy policjanci odchodzili z groźnie zmarszczonymi czołami, patrzył na nich błędnym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Wiecie wszystko, moi panowie! To nie moja wina!”.

Tego roku Kongres miał się odbyć w Kalkucie. Nilratan udał się tam wraz z żoną, aby wziąć udział w obradach. Nabendu towarzyszył im.

Jak tylko przyjechali do Kalkuty, stronnictwo Kongresu zebrało się dookoła Nabendu, a radość i zapał nie miały granic. Powitano go głośnym „hura”, wyróżniano na najrozmaitsze sposoby i wynoszono pod niebiosa. Każdy mówił, że gdyby ludzie wybitni, jak Nabendu, nie oddali się na usługi sprawy, ojczyzna byłaby stracona. Nabendu chętnie się z tym zgadzał i wyszedł z chaosu omyłek i zamieszania jako jeden z przywódców ojczyzny. Kiedy pierwszego dnia wszedł do sali zebrań, wszyscy powstali z miejsc, wołając głośno: „Hip, hip, hura!” według zagranicznego zwyczaju, tak że ojczyzna ze wstydu zarumieniała się aż po korzonki włosów.

Nadszedł dzień imienin królewskich i nazwisko Nabendu nie stało na liście Ray-Bahadurów.

Tegoż wieczoru otrzymał zaproszenie od Labanji. Kiedy do niej przyszedł, Labanja wręczyła mu z wielką pompą szatę honorową i własnoręcznie namalowała mu sandałową pastą czerwony znak na czole. Każda z siostrz zarzuciła mu na szyję własnoręcznie uwity wieniec. W różowym sari i obsypana klejnotami oczekiwała go w jednym z sąsiednich pokojów małżonka Arunlekha z twarzą rozjaśnioną uśmiechem i rumieńcem. Siostry pospieszyły do niej i wręczyły jej wieniec, aby i ona wzięła udział w uroczystości, jednak nie chciała ich nawet słuchać, zaś jej wieniec, który tęsknił do szyi Nabendu, oczekiwał cierpliwie cichego milczenia północy.

Siostry mówiły do Nabendu:

— Koronujemy cię dziś na króla. W całym Hindustanie nie ma nikogo, kto by doświadczył takiego zaszczytu.

Czy to było dla Nabendu wielką pociechą, wie tylko on jeden; ale my sami wielce o tym powątpiewamy. Przeciwnie, mamy nadzieję, że on przecie jeszcze w tym życiu doprowadzi do Ray-Bahadura i że pisma angielskie ogłoszą z okazji jego zgonu rozdzierające serce artykuły. Wobec czego wzniesmy na razie trzykrotny okrzyk na cześć ojca Purnendu Szekhara: „Hip, hip, hura! Hip, hip, hura! Hip, hip, hura!”

Odwet

I

Było to nocą księżycową w czas pełni, w początkach marca. Młoda wiosna rozsyłała na wszystkie strony swe tchnienia ciężarne wonią kwiatów mangowych. Miły śpiew niestrudzonej papiji, ukrytej w gęstym listowiu starej bliźniaczej śliwy nad sadzawką, dolatywał do czuwającej jeszcze sypialni w domu Mukhardźiego. Tam, przy oknie, siedział Hemanta naprzeciw swej żony; bawił się delikatnie lokiem jej włosów, okręcając go sobie dokoła palców, to znów dzwonił splotem jej bransolet lub też zsuwał na twarz wieniec, który jej włożył na głowę. Podobny był do wietrzyka wieczornego, który pieszczotliwie wdzieczy się do swego ukochanego kwiatuszka i nie chcąc pozwolić mu zasnąć, ciągnie go łagodnie to w tę, to w drugą stronę.

Ale Kusum siedziała nieruchomo, patrząc przez otwarte okno, ze spojrzeniem utopionym najzupełniej w rozświetlonych księżycem głębiach nieskończonej przestrzeni. Zdawało się, jak gdyby nie czuła pieszczot małżonka.

Wreszcie Hemanta wziął ją za obie ręce, potrząsnął nimi łagodnie i rzekł:

— Kusum, gdzie jesteś? Odeszłaś ode mnie tak daleko, że dopiero po długim, cierpliwym poszukiwaniu mogłem cię przy pomocy wielkiego dalekowidza odnaleźć jako drobniauchny punkcik. Chodź bliżej, kochanie! Patrz, jaka precudna noc.

Kusum odwróciła wzrok od pustej przestrzeni, spojrzała na męża i rzekła:

— A ja znam zakłęcie, które mogłoby w jednej chwili na drzazgi rozbić całą tę księżycową noc wiosenną.

— Jeśli istotnie znasz takie zakłęcie — roześmiał się Hemanta — proszę cię, nie wymawiaj go. Gdybyś jednak mogła w jakiś sposób sprawić, aby niedziela była trzy lub cztery razy na tydzień, zaś noce trwały aż do piątej po południu następnego dnia, proszę cię, nie zwlekaj z tym.

To mówiąc, próbował przyciągnąć żonę do siebie. Ale Kusum wysunęła się z jego objęć i rzekła:

— Wiesz, chciałabym dziś wieczór powiedzieć ci coś, co zamierzałam wyznać dopiero na śmiertelnym łożu. Dziś czuję, że potrafiłabym znieść wszelką karę, jaką byś mi wymierzył.

Hemanta chciał właśnie zrobić jakiś żart na temat kar i zacytował odpowiedni wiersz, gdy naraz usłyszeli szybkie zbliżanie się pary gniewnych pantofli. Były to dobrze znane kroki ojca, Harihara Mukhardźiego, a Hemancie, który nie wiedział, co to ma znaczyć, zabiło serce z niepokoju.

Harihar stanął przed drzwiami na korytarzu i zawołał donośnym głosem:

— Hemanta, wypędź natychmiast swą żonę z domu!

Hemanta spojrzał na żonę. W rysach jej twarzy nie znalazł ani śladu zdziwienia. W milczeniu ukryła twarz w dłoniach, pragnąc tylko z całej duszy móc zapaść się pod ziemię.

Wciąż jeszcze na skrzydłach powiewu wiosennego przylatywała do pokoju cudna pieśń papiji. Nikt jej nie słyszał. Niezliczone są piękności ziemi, ale, ach, jakże łatwo szczęście ludzkie obraca się wniwecz!

II

Hemanta wróciwszy do pokoju, zapytał żonę:

— Czy to prawda?

— Tak — odpowiedziała Kusum.

Tajemnica, Cierpienie

- Dlaczego mi o tym przedtem nie powiedziałaś?
- Próbowałam nieraz, ale nie mogłam. Och, ja nieszczęśliwa!
- Opowiedz mi teraz wszystko!

Powoli, ale bez wahania, pewnym głosem opowiedziała mu Kusum swą historię. Było to, jak gdyby szła boso przez ogień, ciężkimi, lecz zdecydowanymi krokami, i nikt nie wiedział, jak strasznie cierpiała. Kiedy skończyła, Hemanta wstał i wyszedł.

Kusum była pewna, że wyszedł, aby już nigdy więcej nie wrócić. Wydało się jej to tak naturalne, jak pierwszy lepszy, zwykły, codzienny wypadek, do tego stopnia w przeciągu tych paru ostatnich chwil dusza jej stępieła i zubożyła. Nie było w niej nic prócz uczucia, że cały świat i cała jej miłość jest od początku do końca jednym wielkim złudzeniem. Nawet wspomnienie zapewnienia miłości, jakie jej mąż w ostatnich dniach poczynił, wywołało na jej wargi tylko suchy, gorzki, przykry uśmiech, jak okrutny nóż, który jej przeszył serce. Myślała może, że to oto jest ta miłość — miłość zdająca się wypełniać całe życie, kryjąca w sobie tyle tkliwości i głębi uczucia, miłość, która nawet najkrótszą rozłąkę czyniła tak bolesną, a chwilę powitania tak jedyną i słodką, miłość niby bezgraniczna a wiecznotrwała i której koniec trudno sobie było wyobrazić nawet w nowych postaciach odrodzenia. A więc to była ta miłość! Tak wątła była jej podstawa. Ledwo jej dotknął palec kapłana, już ta „wieczna” miłość zmienia się w garstkę popiołu. Jeszcze przed chwilą szeptał jej Hemanta w ucho: „Jaka przecudna noc!”. I ta noc jeszcze się nie skończyła, ta sama papirka ćwierkała swą pieśń, ten sam powiew południowy wpadał do pokoju, poruszając z lekka zasłonami łóżka, to samo światło księżycowe leżało na łóżku niedaleko otwartego okna, drzemiąc rozkosznie jak znużona wesołą zabawą piękna kobieta. Wszystko to było kłamstwem. Miłość kłamała jeszcze podstępniej niż ona sama.

Miłość, Kłamstwo, Vanitas

III

Następnego poranka zapukał Hemanta do drzwi PEARi Szankara Ghoszala. Po bezsennej nocy był zupełnie wyczerpany i wyglądał mizernie i nieswojo.

- Czego sobie życzysz, mój synu? — powitał go PEARi Szankar.

Hemanta splonął gniewem.

— Skalałeś naszą kastę! — zawołał drżącym głosem. — Przywiodłeś nas do zguby. Za to odpokutujesz.

Nie mógł dalej mówić, głos odmówił mu posłuszeństwa.

— Za to *wy* zostawiliście mi mą kastę, nie dopuściliście do wyrzucenia mnie z gminy i przyjaźnie poklepaliliście po ramieniu! — rzekł PEARi Szankar z cichym sarkastycznym śmiechem.

Hemanta pragnął, aby jego gniew bramiński na miejscu spalił PEARi Szankara na węgiel, jednakże wściekłość trawiła tylko jego samego. PEARi Szankar siedział naprzeciw niego nietknięty i w jak najlepszym zdrowiu.

- Czy zrobiłem ci kiedy co złego? — spytał Hemanta.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie — rzekł PEARi. — Co złego twemu ojcu zrobiła *moja* córka, moje jedyne dziecko? Byłeś wtenczas jeszcze mały i może nic o tym nie słyszałeś. Zatem posłuchaj. Uspokój się tylko. Historia, którą ci chcę opowiedzieć, jest bardzo wesoła.

Byłeś jeszcze małym chłopczykiem, kiedy mój zięć, Nabakanta, uciekł z klejnotami mej córki do Anglii. Może przypominasz sobie to i nadzwyczajne wzburzenie we wsi, kiedy po pięciu latach wrócił jako adwokat. Twój ojciec, który dochrapał się był godności wójta, oświadczył, że jeśli odeślę swą córkę do domu jej męża, muszę się jej raz na zawsze wyrzec i nie będzie mi wolno nigdy jej pozwolić przekroczyć progu mego domu. Padłem mu do nóg i błagałem: „Bracie, uratuj mnie ten jedyny raz. Ja młodzika doprowadzę do tego, że będzie jadł gnój krwi i podda się całej ceremonii oczyszczenia, ale przyjmij go na powrót do kasty!”. Twój ojciec jednak pozostał nieubłagany. Ja zaś nie mogłem w żaden sposób wyrzec się swego jedyne dziecko, wobec czego, pożegnawszy się ze wsią i z krewnymi, udałem się do Kalkuty. Ale i tam prześladowały mnie cierpienia. Kiedy ułożyłem już jak najszczegółowiej małżeństwo swego bratanka, ojciec twój podjudził krewnych jego narzeczonej i małżeństwo się rozwiło. A wówczas przysiągłem sobie święcie, że jeśli w mych żyłach jest choć kropla krwi bramińskiej, zemszczę się. Teraz

zaczynasz powoli rozumieć już sens tego wszystkiego, nieprawdaż? Ale poczekaj jeszcze chwilkę. Ubawisz się dopiero, kiedy całej historii wysłuchasz, jest ona naprawdę bardzo zajmująca.

Chodziłeś już do gimnazjum. Mieszkał wówczas obok mnie, w sąsiednim domu, niejaki Bipradas Czatterdzi. Biedaczysko nie żyje już. Miał on wychowanicę, sierotę, imieniem Kusum, córkę człowieka z kasty Kajastha³⁴. Dziewczyna była bardzo ładna, toteż stary bramin strzegł jej, jak mógł, przed natrętnym wzrokiem gimnazjalistów. Rozumie się jednak, że młoda dziewczyna nie potrzebowała się nadzwyczajnie wysilać, aby staremu zamydlić oczy. Wychodziła bardzo często na dach, żeby tam rozwieszać wypraną bieliznę, zaś o ile sobie przypominam, ty również przyszedłeś wówczas do przekonania, że dach jest najodpowiedniejszym dla ciebie miejscem do nauki. Czy siedząc tam na tych dachach, rozmawialiście z sobą, tego już nie wiem, ale zachowanie się dziewczyny wzbudziło podejrzenia starego. Coraz bardziej zaniedbywała swe obowiązki domowe i zaczęła, jak Parwati³⁵ podczas swych ćwiczeń pokutnych, pogardzać pożywieniem i snem. Parę razy wieczorem, w obecności owego staruszka, wybuchała nagle płaczem, pozornie bez najmniejszego powodu.

Nareszcie zauważył, że oboje przesiadujecie dość często na dachu i że ty zaniedbujesz nawet szkołę, aby tylko móc w południe siedzieć z książką w ręku na dachu; do tego stopnia nagle przypadły ci do smaku samotne studia. Bipradas przyszedł do mnie, aby się poradzić, i opowiedział mi o wszystkim.

— Wujaszku! — powiedziałem mu. — Od dawna już nosisz się z zamiarem zrobienia pielgrzymki do Benares. Zróbże to teraz, a dziewczynę pozostaw pod moją opieką. Już ja się nią zajmę.

Pojechał. Umieściłem dziewczynę w domu Śripati Czatterdziego i podałem go za jej ojca. Co się stało, wiesz sam. Stanowi to dla mnie niemałą ulgę, że mogłem ci wszystko od początku opowiedzieć. Brzmi to jak jakiś romans, nieprawda? Myślę napisać o tym książkę i wydrukować ją, ale cóż, nie mam zdolności literackich. Mój siostrzeniec podobno nie jest pod tym względem bez zdolności, postaram się, może on mnie wyręczy. Najlepiej jednak byłoby, gdybyś ty zrobił to do spółki z nim, bo ja nie wiem tak dokładnie, jak się wszystko skończyło.

Hemanta nie słuchając już ostatnich uwag Peari Szankara, zapytał:

— Czy Kusum godziła się na to małżeństwo?

— Cóż! — rzekł Peari Szankar. — Na to trudno odpowiedzieć. Znasz przecie kobiety! Kiedy mówią „nie”, myślą „tak”. W pierwszych dniach po przeprowadzeniu się na nowe mieszkanie odchodziła prawie od zmysłów z tego powodu, że cię nie widziała. Ty jednak, zdaje się, w krótkim czasie odnalazłeś jej nowe mieszkanie, bo zwykle zbaczałeś z drogi do gimnazjum i wałęsałeś się w pobliżu domu Śripati. Nie miałem wrażenia, jakoby oczy twoje szukały gimnazjum, ponieważ zwrócone były w stronę zakratowanych okien domu prywatnego, gdzie dostać mogły się tylko owady lub serca lunatycznych młodzieńców. Obojga was było mi bardzo żal. Widziałem, że studia twoje były poważnie zagrożone, a stan dziewczęcia godny politowania.

Pewnego dnia zawezwałem do siebie Kusum i powiedziałem:

— Słuchaj mnie, córko moja. Jestem już starym człowiekiem, wobec czego nie potrzebujesz się mnie wstydić. Wiem, kogo twe serce pożąda. Ten młody człowiek jest nie mniej od ciebie pogrążony w rozpacz. Bardzo bym chciał was połączyć.

Usłyszawszy to, Kusum zalała się łzami i wybiegła z pokoju. Ja zaś zacząłem wieczorem chodzić do domu Śripati, gdzie rozmawiałem z Kusum o tobie, tak że udało mi się zdobyć jej zaufanie. Kiedy jej wreszcie powiedziałem, że chciałbym doprowadzić do skutku wasze małżeństwo, zapytała:

„I jakże to jest możliwe?”

„Pozwól mi tylko działać!” — odpowiedziałem. — „Podam cię jako braminkę!”

Po długich namowach poprosiła mnie, abym się dowiedział, czy i ty na to się zgodzisz.

³⁴*Kajastha* — kasta urzędników, pisarzy kancelaryjnych, należąca do najniższego, służebnego stanu (*varny*). [przypis edytorski]

³⁵*Parwati* (mit. hind.) — łagodna bogini, żona groźnego Śiwy. [przypis edytorski]

„Co za nonsens!” — rzekłem. — „Chłopak i tak już mało że od zmysłów nie odchodzi, po cóż go dręczyć jeszcze tymi wszystkimi zawikłaniami? Byle tylko ślub się udał — zresztą wszystko dobre, co się dobrze kończy. A ponieważ nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, aby rzecz się wydała, absolutnie już nie wiem, dlaczego miałabyś rezygnować z własnego szczęścia, unieszczęśliwiając równocześnie na całe życie drugiego człowieka”.

Nie wiem, czy Kusum zgadzała się z tym planem czy nie. Na razie płakała, a potem nie chciała się odezwać ani słowem. Ile razy mówiłem: „Wobec tego dajmy spokój tej całej sprawie”, zaczynała się bardzo niepokoić. Kiedy sprawy doszły do tego punktu, wysłałem Śripati do ciebie z propozycją małżeństwa; ty przyjąłeś ją natychmiast i w ten sposób wszystko zostało załatwione.

Tuż przed oznaczonym terminem stała się Kusum tak oporna, że tylko z najwyższym wysiłkiem mogłem utrzymać ją w posłuszeństwie.

„Dajmy temu wszystkiemu spokój, wuju!” — powtarzała bez przerwy.

„Cóż ty sobie wyobrażasz, szalone dziecko!” — lajałem ją. — „Jakże możemy cofać się dziś, kiedy wszystko jest już gotowe?”.

„Powiedz ludziom, że umarłam” — błagała mnie. — „Wyślij mnie, dokąd chcesz!”.

„A cóż się stanie z młodym człowiekiem?” — pytałem. — „Dziś jest w siódmym niebie radosnego oczekiwania, iż jutro już spełni się jego najgorętsze życzenie, a ty chcesz, abym ja mu nagle zwiastował twoją śmierć? Jedynym następstwem tego byłoby, że jutro rano przyniosłbym ci wieść o *jego* śmierci, a tego samego wieczora dowiedziałbym się o śmierci *twojej*. Czy wyobrażasz sobie, że stary człowiek, jak ja, mógłby się dopuścić takiego podwójnego mordu na dziewczynie i bramini?”.

Tak tedy w oznaczonym naprzód pomyślnym dniu wesele się odbyło i uczulem się zwolniony od brzemienia obowiązku, jakiego się sam podjąłem. Co się potem stało, sam wiesz najlepiej.

— Czyż nie mogłeś poprzestać na tym, że wyrządziłeś nam krzywdę nie do naprawienia? — spytał Hemanta po chwili milczenia. — Dlaczegoż teraz zdradziłeś tajemnicę?

Peari Szankar odpowiedział na to z idealnym spokojem:

— Widząc, iż wszelkie przygotowania do małżeństwa twojej siostry są zakończone, powiedziałem sobie: prawdą jest, iż skalałem kastę jednego bramina, ale to stało się tylko na skutek poczucia obowiązku. Teraz jednak zagrożona jest kasta drugiego bramina, a tu już moim oczywistym obowiązkiem jest zapobiec temu. Dlatego też napisałem do krewnych narzeczonego, iż mogę im dowieść, że ty pojąłeś za żonę córkę Śudry³⁶.

Hamując wszelkimi siłami swój gniew, rzekł Hemanta:

— Cóż stanie się z dziewczyną, jeśli ja ją teraz opuszczę? Czy przyjmiesz ją na powrót w swój dom?

— Ja swoje zrobiłem — rzekł Peari Szankar spokojnie. — Nie moją rzeczą jest troszczyć się o odepchnięte żony innych ludzi. Hej, jest tam kto? Przynieść dla Hemanty babu szklankę mleka kokosowego z lodem. I trochę betelu!

Hemanta wstał i wyszedł, nie czekając na tę obfitą ucztę.

IV

Była to piąta noc ostatniej kwadry³⁷, noc ciemna. Ptaki nie śpiewały. Śliwa nad stawem wyglądała jak kleks atramentowy na takimże tle. Wiatr południowy wałęsał się w ciemnościach bez celu jak lunatyk. Gwiazdy na niebie starały się przebić czujnymi oczami ciemności, jak gdyby chciały zbadać jakąś głęboką tajemnicę.

W sypialni było zupełnie ciemno. Hemanta siedział na skraju łóżka przy otwartym oknie, wpatrując się w ciemność przed sobą. Kusum leżała na ziemi, objąwszy obu ramionami nogi swego małżonka i tuląc do nich twarz. Czas stał nieruchomo jak ocean podczas ciszy. Było to, jak gdyby los na tle wiecznej nocy raz na zawsze wymalował ten obraz. Zniszczenie po obu stronach, sędzia w środku, a potępieńcy u jego stóp.

³⁶Śudra a. Shudra — czwarty, najniższy stan (*varna*) społeczeństwa Indii, warstwa pracujących (obok kapłańskiej kasty Braminów, rycerskiej Kshatriya i rzemieślników-przedsiębiorców z kasty Vaishya). Obyczaje hinduskie zabraniają nie tylko małżeństw między przedstawicielami różnych kast, ale nawet przyjmowania częstunku od kogoś z niższej kasty. [przypis edytorski]

³⁷piąta noc ostatniej kwadry — na dwa dni przed nowiem, tj. niecałe dwa tygodnie po pełni księżyca opisanej na początku opowiadania. [przypis edytorski]

Znowu człapanie pantofli!
Harihar Mukhardzi zawołał, stanąwszy u drzwi:
— Miałeś już dość czasu, dłużej czekać nie mogę. Wypędź tę dziewczynę z domu!
Usłyszawszy to, Kusum przycisnęła jeszcze raz z całą miłością stopy małżonka do piersi, okryła je pocałunkami, dotknęła ich jeszcze raz ze czcią czołem i usunęła się.
Hemanta wstał, podszedł do drzwi i rzekł:
— Ojczy, ja swej żony nie opuszczę!
— Co? — ryknął Harihar. — Czy chcesz być wyrzucony z kasty?³⁸
— Kasta jest mi obojętna! — odpowiedział Hemanta spokojnie.
— Zatem i ja się ciebie wyrzekam!

Pozycja społeczna,
Obowiązek, Obyczaje,
Ojciec, Przekleństwo

Kabuliwala³⁹

Moja mała pięcioletnia córeczka nie może żyć bez paplania. Jestem głęboko przekonany, że w całym swoim życiu ani minuty nie strwoiła na milczenie. Matka się o to nieraz gniewa i chciałaby jej szczebiotaniu koniec położyć, ale ja nie. Dla mnie widok Mini milczącej jest nienaturalny i długo znieść go nie mogę. Toteż zwykle bardzo żywo z sobą rozmawiamy.

Na przykład pewnego dnia, kiedy byłem w połowie siedemnastego rozdziału swej nowej powieści, Mini wśliznęła się ukradkiem do mego pokoju i wzięwszy mnie za rękę, oświadczyła mi:

— Ojczy, odźwierny Ramdajal mówi na wronę, że to kruk! Ale on się na tym nie zna, prawda?

Zanim mogłem jej wytłumaczyć rozmaitość zwyczajów wyrażania się, już żegłowała po wodach innych tematów:

— Co na to powiesz, ojczy? Bholi mówi, że na niebie w chmurach jest słoń i ten słoń wyrzuca wodę z trąby, i wtedy deszcz pada!

Zaś gdy ja w zamyśleniu szukałem stosownej odpowiedzi, ona wystrzeliła nowym pytaniem:

— Słuchaj, ojczy, czy matka jest twoją krewną?

— Jest siostrą mej duszy — szepnąłem mimo woli, a potem zrobiłem poważną minę i rzekłem:

— A teraz idź i baw się z Bholą, Mini! Ja jestem zajęty!

Okno mego pokoju wychodzi na ulicę. Mała usiadła mi u nóg na ziemi koło biurka i bawiła się po cichutku, bębniąc sobie po kolankach. Ja pracowałem pilnie nad swym siedemnastym rozdziałem, w którym bohater, Pratap Singh, właśnie trzyma w ramionach bohaterkę i zamierza uciec z nią, wyskakując przez okno trzeciego piętra, gdy naraz Mini przestała się bawić, podbiegła do okna i zawołała:

— Kabuliwala! Kabuliwala!

Istotnie, ulicą szedł powoli Kabuliwala. Ubrany był w przestronne suknie swego narodu, z wielkim turbanem; na plecach niósł worek, a w rękach miał skrzynki z owocami. Nie wiem, co się mojej córeczce stało, ale naraz zaczęła go głośno wołać.

„Ach!” — pomyślałem sobie. — „Ten mi tu teraz wejdzie i ja nigdy tego siedemnastego rozdziału nie skończę!”

W tej chwili Kabuliwala się obejrzał i ujrzał dziecko. Jak tylko Mini to zauważyła, zlekła się nagle i uciekła do matki. Miała widać przesądne wyobrażenie, że ten wysoki mężczyzna niesie może w swym worku na plecach dwoje czy troje dzieci takich jak ona. A tymczasem handlarz minął już bramę i powitał mnie z uśmiechem na twarzy.

Mimo iż sytuacja, w jakiej znajdowała się moja bohaterka i mój bohater, była istotnie niebezpieczna, uczulem się zmuszony do pozostawienia ich na chwilę własnemu losowi

³⁸Czy chcesz być wyrzucony z kasty? — w tradycji hinduskiej status wykluczonego oznacza nie tylko bojkot społeczny i ekonomiczny, ale także przerwanie *karmy*, a więc i niemożność reinkarnacji. [przypis edytorski]

³⁹Kabuliwala — sprzedawca owoców, pochodzący z Kabulu. [przypis edytorski]

i kupienia czegoś od tego człowieka, którego przecie do domu zawołano. Parę drobiazgów od niego kupilem, a przy tej sposobności wywiązała się też między nami pogawędka o Abdur Rahmanie, Rosjanach, Anglikach i policji granicznej.

Na odchodnym zapytał:

— A gdzie ta mała dziewczynka, proszę pana?

Przyszedłszy do przekonania, że Mini należałoby z jej niedorzecznego strachu wyleczyć, kazałem ją zawołać.

Stała przy moim krześle i przyglądała się Kabuliwali z jego workiem. Częstował ją orzechami i winogronami, jednakże jej nieufność z tego powodu jeszcze wzrosła. Mini nie dała się niczym skusić, a tylko tym mocniej trzymała się mnie.

Takie było ich pierwsze spotkanie.

Jednakże pewnego poranka, zaledwie parę dni później, wychodząc z domu, zauważyłem ku swemu niezmiernemu zdumieniu rzecz zupełnie nieoczekiwaną. Oto Mini siedziała na ławce przed domem i śmiejąc się, gawędziła z Kabuliwalą, który siedział u jej stóp. Zdawało się, że — wyjąwszy oczywiście ojca — moja córeczka w życiu swym nie miała uważniejszego słuchacza. A już koniec jej malutkiego sari pełen był migdałów i rodzynków, którymi obdarzył ją gość.

— Po co jej tyle tego dajesz? — zapytałem i podałem mu pół rupii.

Kabuliwała wziął pieniądze bez wahania i wsunął go do kieszeni.

Niestety, kiedy za godzinę wróciłem, pokazało się, że pieniążek wywołał dwa razy większą awanturę, niż był wart. Albowiem Kabuliwała dał go Mini, a gdy matka ujrzała w jej rękach świecąca monetę, natychmiast wpadła na nią.

— Skąd masz te pół rupii?

— Kabuliwała mi ją dał! — odpowiedziała Mini ucieszona.

— Kabuliwała! — wykrzyknęła matka z przerażeniem. — O, Mini, jakże mogłaś ją przyjąć od niego!

W tej chwili nadszedłem i uratowałem ją od grożącego niebezpieczeństwa. A potem zacząłem ją badać.

Pokazało się, że oboje nie pierwszy raz mieli ze sobą schadzki. Kabuliwała przeciężył lęk dziecka, ucieklszy się do sprytnego przekupstwa orzechami i migdałami, tak że oboje byli już w jak najlepszej przyjaźni.

Wymyślali najrozmaitsze wesołe historie, które ich nadzwyczaj bawiły. Mini, która z całą swą malutką godnością siedziała naprzeciw niego, z góry patrząc na olbrzyma, aż kurczyła buzię ze śmiechu, pytając:

— O, Kabuliwała, Kabuliwała! Co tam masz w tym swoim worku?

Zaś on odpowiadał nosowym tonem górala:

— Słonia!

Nie jest to bynajmniej tak okropnie śmieszne, ale oni oboje bawili się tym dowcipem nadzwyczajnie. Zaś dla mnie było zawsze coś dziwnie pociągającego w tej dziecinnej rozmowie z dojrzałym człowiekiem.

Kabuliwała, który przecie też nie chciał pozostać w tyle, pytał:

— A ty, mała, kiedy przeniesiesz się do domu swego teścia?

Otóż większość małych dziewczuszek bengalskich od najmłodszych lat słyszy o domu swego teścia, my jednak, rodzice trochę nowocześni, nie opowiadaliśmy dziecku o tych rzeczach, wobec czego Mini musiała się czuć tym pytaniem trochę zakłopotana. Nie chcąc jednak dać tego po sobie poznać, odpowiedziała dowcipnie:

— A czy ty tam idziesz?

Jest rzeczą znaną, że wśród ludzi tego rodzaju, co Kabuliwała, słowo „dom teścia” ma dwojakie znaczenie. Jest to eufemizm oznaczający więzienie jako miejsce, w którym się jest dobrze zaopatrzonym, a nie musi się za nic płacić. W tym sensie zrozumiał też zacny handlarz pytanie mej córeczki.

— O! — wykrzyknął, grożąc pięścią niewidzialnemu policjantowi. — Już ja memu teściowi dobrze kurtę skroję!

Mini, wyobrażając sobie biednego krewnego Kabuliwali w tej sytuacji, wybuchnęła głośnym śmiechem, w czym jej srogi przyjaciel zawtórował.

Zabawy te odbywały się przeważnie rano, jesienią, w tej porze roku, kiedy za dawnych czasów królowie wyruszali na podboje, zaś ja, który się nigdy ze swego ciasnego

Żart

Podróż

kąta w Kalkucie nie ruszałem, wysyłałem ducha swego na wędrówkę po całym świecie. Jak tylko usłyszałem nazwę jakiegoś obcego kraju, serce moje niemal się wyrwało do niego, zaś na widok cudzoziemca na ulicy zaczynałem natychmiast snuć całą sieć marzeń — góry, przesmyki w dolinach, lasy jego dalekiej ojczyzny, wśród nich jego chata i wolne, niezależne życie dalekiego pustkowia. Może obrazy obcych krajów malują się w mej fantazji tak jaskrawo i żywo dlatego, że wiodę żywot właściwie zupełnie roślinny, do tego stopnia, iż gdyby mi kazano wyjechać w podróż, miałbym wrażenie, że piorun we mnie strzelił. W obecności tego Kabuliwali czułem się natychmiast przeniesiony w kraj leżący u stóp gołych skalistych grzbietów górskich, między którymi wiją się ciasne, jakby wydrążone w głazach ścieżki. I widziałem schodzące w niziny łańcuchy obładowanych towarem wielbłądów i grupy kupców w turbanach, uzbrojonych w dziwną starodawną broń palną i dzidy. Widziałem — lecz wtedy stawała przede mną matka Mini, błagając mnie, „abym się miał na ostrożności przed tym człowiekiem”.

Matka Mini jest niestety kobietą bardzo bojaźliwą. Jak tylko usłyszy jakiś szmer na ulicy lub zobaczy ludzi idących w kierunku naszego domu, zaczyna się od razu bać, zaczyna sobie w swej trwodze wyobrażać, że to muszą być złodzieje, pijacy, węże, może tygrysy, malaria, karaluchy lub też marynarze angielscy. Nawet po doświadczeniach wielu lat nie może trwogi swej przewyciężyć. Kabuliwali nie dowierzała w najwyższym stopniu i prosiła mnie wciąż, abym na niego bacznie uważał.

Strach

Próbowałem z całą miłością obrócić w śmiech jej obawy, ona jednak traktowała tę sprawę zupełnie poważnie i pytała mnie uroczyście:

— Czy nie zdarzało się nigdy, że dzieci kradziono? Czy nie jest prawdą, że w Kabulu istnieje niewolnictwo? Czy zupełnie nie można sobie wyobrazić, że ten ogromny chłop mógłby uprowadzić takie malutkie dziecko?

Odpowiadałem, że — choćby to nie było niemożliwe — jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne. Oczywiście to jej nie wystarczało i obawy trwały w dalszym ciągu, ponieważ jednak nie miała żadnej określonej przyczyny, nie wypadało jej zabronić Kabuliwali wstępu do domu i ten poufaly stosunek rozwijał się w dalszym ciągu.

Raz na rok, w połowie stycznia, zwykł był Rahman Kabuliwala wracać do swej ojczyzny i kiedy się ta pora zbliżała, Kabuliwala miał mnóstwo do roboty z bieganiem od domu do domu i ściąganiem swych wierzytelności. Jednakże mimo wszystko miał tego roku czas na odwiedzanie Mini. Ktoś przyglądający się temu wszystkiemu z boku mógłby przypuszczać, że oni się chyba ze sobą zmaiwali, bo jeśli Kabuliwala nie mógł przyjść rano, z pewnością zjawiał się wieczorem.

Ja sam wzdrygałem się czasami, natknąwszy się niespodziewanie w kącie jakiegoś ciemnego pokoju na tego ogromnego mężczyznę w przestronnym ubraniu, obwieszonym workami i skrzynkami, kiedy jednak widziałem, jak Mini wybiegała wesoło do niego ze swym: „Och, Kabuliwala! Kabuliwala!” i jak ci tak różniący się między sobą wiekiem przyjaciele znowu zaczynali się śmiać i żartować ze sobą, uspokajałem się natychmiast.

Pewnego poranku, parę dni przed zamierzonym powrotem Rahmana do kraju, siedziałem w swej pracowni nad korektami. Chłodno było. Pęk promieni słonecznych padał przez okno na moje nogi i ta odrobina ciepła sprawiała mi przyjemność. Dochodziła ósma i wcześni przechodnie chronili głowy od zimna. Naraz usłyszałem na ulicy jakiś zgiefk, a wyjrawszy z okna, zobaczyłem prowadzonego przez dwóch policjantów Rahmana, związanego i otoczonego gromadą ciekawych pauprów. Na ubraniu Kabuliwali widać było plamy krwi, a jeden z policjantów niósł nóż. Wybiegłem przed dom, zacząłem wołać i pytać, co to wszystko ma znaczyć. Częścią od tych ludzi, częścią od innych dowiedziałem się, że ktoś z sąsiedztwa był handlarzowi winien za szal rampurski, później jednak kupna tego się wyparł i podczas kłótni, jaka z tego powodu powstała, Rahman pchnął go nożem. W podnieceniu zaczął teraz jeniec w straszny sposób na swego nieprzyjaciela wymyślać, gdy naraz na werandzie mego domu znalazła się moja mała Mini ze zwykłym swym okrzykiem:

— Och, Kabuliwala! Kabuliwala!

Rahman natychmiast zwrócił się do niej rozpromieniony. Tym razem nie miał na plecach worka, dlatego nie mógł już rozprawiać z nią o słoniu. Wobec tego ona przeszła do drugiego pytania:

— Czy idziesz do domu swego teścia?

Rahman roześmiał się i rzekł:

— Tak jest, mała, żebyś wiedziała, idę do domu teścia.

Zaś widząc, że ten żart nie zrobił na dziecku wrażenia, podniósł w górę skrępowane ręce.

— Och! — wykrzyknął. — Dałbym ja staremu teściowi porządnie w skórę, gdyby mi rąk nie związane.

Skazano go za morderstwo na kilkanaście lat więzienia.

Czas mijał, przestano o nim myśleć. Pracowaliśmy jak zwykle na swym zwykłym miejscu, rzadko tylko albo i wcale już nawet nie wspominając górala, kiedyś wolnego, a dziś spędzającego swe lata w więzieniu. Ze wstydem muszę wyznać, że także moja lekomyślna Mini zapomniała o przyjacielu. Nowe znajomości wypełniły jej życie. W miarę jak zaczynała dorastać, obcowała coraz więcej z dziewczętami, spędzając z nimi tyle czasu, że nigdy już nie przychodziła jak dawniej do pokoju ojca. Prawie że nie mówiliśmy z sobą.

Minęły lata. Była znowu jesień, a my poczyniliśmy właśnie przygotowania do wesela naszej Mini. Miało się ono odbyć podczas świąt Pudża. W czasie kiedy Durga powraca na Kailas, miało do domu małżonka odejść światło domu naszego, pogrążając go w ciemnościach.

Był pogodny poranek. Powietrze po deszczu było jakby wymyte do czysta, a promienie słoneczne wprost ze szczerego złota. Świeciły tak jasno, że użyczały blasku piękności nawet brudnym ceglany muirom naszych kalkuckich ulic. Już wczesnym rankiem zabrzmiały dudy weselne, a każdy ich ton szarpał mui sercem. Żałosna melodia Bhairawi powiększała jeszcze mój ból z powodu czekającego mnie rozstania. Dziś wieczór miała moja Mini wyjść za mąż.

Od wczesnego ranka dom pełen był zgiełku i niepokoju. Na dziedzińcu trzeba było na żerdziach bambusowych rozpiąć baldachim. W każdym pokoju, na każdej werandzie zawieszano z wielkim brzękiem świeczniki. Końca nie miało ciągle latanie i pośpiech. Siedziałem właśnie w swej pracowni, przeglądając rachunki, gdy ktoś wszedł z niskim pokłonem i stanął przede mną. Był to Rahman Kabuliwala. Zrazu nie poznałem go. Nie miał swego worka, jego długie włosy były krótko ostrzyżone, nie było też już na jego twarzy właściwego mu wyrazu siły. Poznałem go jednak, gdy tylko się uśmiechnął.

— Kiedy przyszedłeś, Rahman? — spytałem go.

— Wczoraj wieczorem wypuszczono mnie z więzienia — odpowiedział.

Przykro zabrzmiały mi w uszach te słowa. Dotychczas nie rozmawiałem był⁴⁰ jeszcze z nikim, kto zranił swego bliźniego, i serce skurczyło się we mnie, kiedy sobie to przypomniałem, bo teraz rozumiałem, że dzień zacząłby się pod lepszą wróżbą, gdyby on nie przyszedł.

— U nas jest dziś w domu święto — odezwałem się — skutkiem czego jestem bardzo zajęty. Czy nie mógłbyś przyjść kiedy indziej?

Natychmiast zwrócił się ku wyjściu, ale u drzwi zawahał się i rzekł:

— Czy nie mógłbym choć na chwilę zobaczyć małej?

Wyobrażał sobie, że Mini wciąż jeszcze jest taka sama, jak była, że natychmiast wybiegnie do niego z okrzykiem: „Och, Kabuliwala! Kabuliwala!”, myślał też pewnie, jak to będą się znów śmiać i żartować jak za dawnych czasów, a nawet przyniósł na pamiątkę tych minionych dni starannie zawiniętą w papier garść migdałów, rodzyneków i winogron, wyproszonych zapewne u któregoś z rodaków, bo on sam nie miał już nic do darowania.

Rzekłem znowu:

— Święto jest w domu. Nie będziesz się mógł z nikim zobaczyć.

Wyraz wielkiego rozczarowania rozlał się po jego twarzy. Przez chwilę patrzył na mnie, jakby zastanawiając się nad czymś, potem powiedział: „Do widzenia” i wyszedł.

Było mi go tak żal, że chciałem go przecie zawołać, gdy naraz sam wrócił. Podeszedł do mnie, podał mi swój podarunek i rzekł:

— Przyniosłem małej tych parę drobiazgów. Czy zechce je pan dać jej ode mnie?

Wziąłem torebkę i chciałem mu zapłacić, ale on chwycił mnie za rękę, mówiąc:

⁴⁰rozmawiałem był — przykład użycia czasu zaprzeczonego, konstrukcji już zanikającej w polszczyźnie, wyrażającej czynność wcześniejszą, niż działania opisywane czasem przeszłym. [przypis edytorski]

— Bardzo pan jest dobry, drogi panie! Niech pan o mnie nie zapomina, ale niech pan zostawi pieniądze. Pan ma córeczkę, ja w domu mam też takie maleństwo. O niej myślę, przynosząc pańskiej córeczce owoce — a nie, żeby przy tym coś zarobić.

To rzekłszy, sięgnął do kieszeni swej luźnej szaty i wyjął mały brudny skrawek papieru. Rozwinąwszy go bardzo starannie, rozłożył obu dłońmi na mym biurku. Na papierze widać było odciski małej rączki. Nie fotografię. Nie rysunek. Odcisk zasmarowanej atramentem rączki, którą położono płasko na papierze. Ten ślad córeczki z roku na rok nosił na sercu, odkąd przyjechał do Kalkuty, aby handlować na ulicach swoim towarem.

Łzy stanęły mi w oczach. Ten odcisk rączki jego małej Garvati w dalekiej górskiej ojczyźnie przypominał mi moją własną małą Mini.

Natychmiast posłałem kogoś do apartamentów wewnętrznych i kazałem zawołać Mini. Robiono mi najrozmaitsze trudności, ale nie zważałem na nie. Wreszcie zjawiała się Mini w czerwonej jedwabnej sukni ślubnej, z namalowanym na czole sandałową pastą znakiem, ubrana jak panna młoda, i stanęła zawstydzona przede mną.

Pojawienie się jej zmieszało trochę Kabuliwałę. Nie wiedział, w jaki sposób odświeżyć dawną znajomość. Wreszcie zapytał z uśmiechem:

— Mała, więc idziesz do domu swego teścia?

Ale Mini rozumiała już znaczenie słowa „teść” i nie mogła mu odpowiedzieć jak za dawnych czasów. Za całą odpowiedź zarumieniła się tylko i stała tak przed nim, obliczając spłoniona ze spuszczoną twarzą.

Mimo woli przyszedł mi na myśl dzień, w którym Kabuliwała spotkał się pierwszy raz z moją Mini, i zrobiło mi się dziwnie smutno. Kiedy odeszła, westchnął Rahman głęboko i usiadł na podłodze. Prawdopodobnie przyszło mu na myśl, że przez ten czas i jego córka musiała już dorosnąć i że teraz trzeba będzie na nowo zdobywać jej przyjaźń — w każdym zaś razie nie zastanie jej taką, jaką ją znał kiedyś. A prócz tego — mało to rzeczy mogło się zdarzyć w przeciągu tylu lat?

Zabrzmiały dudy weselne, a łagodne słońce jesienne załało nas światłem. Ale Rahman siedział wciąż jeszcze na podłodze, zapatrzony w duchu w nagie grzbiety Afganistanu.

Wyjąłem banknot i podałem mu go, mówiąc:

— Wracaj do swej córki, Rahmanie, i oby radość waszego spotkania przyniosła szczęście memu dziecku.

Prawda, skutkiem tego podarunku trzeba było uroczystości weselne poniekąd okroić. Musiała odpaść iluminacja oraz muzyka wojskowa, co bardzo popsło humor moim paniom. Za to mnie ucztę weselną znacznie radośniejszą robiła myśl, że w dalekim kraju tak długo nieobecny ojciec połączył się znowu ze swym jedynym dzieckiem.

Radża i rani

Bipin Kiszor nie urodził się na dobrego gospodarza, toteż umiał dwa razy lepiej pieniądze trwonić, niż je zarabiać. Naturalnym następstwem tego musiało oczywiście być, że nie mógł długo mieszkać w domu, w którym się urodził.

Był to delikatnie zbudowany młody człowiek ujmującej powierzchowności, mistrz, co się tyczy muzyki, głupiec w interesach i zupełnie pozbawiony zdolności do walki o życie. Toczył się gościńcem życia gdzieś przed siebie, jak koło z wozu Dżagannatha⁴¹. Nie mógł też długo prowadzić życia w tak wielkim stylu, do jakiego przywykł.

Na szczęście jednakże radża Czitarandżan, znalazłszy się dzięki procesowi wygranemu w sądzie opiekuńczym znowu w posiadaniu swego majątku, nosił się z gorącym życzeniem założenia teatru amatorskiego. Oczarowany najzupełniej gładką powierzchownością i wielkimi muzykalnymi zdolnościami Bipina, przyjął go z radością na swój dwór.

Czitarandżan miał wykształcenie uniwersyteckie. Nie pozwalał sobie nigdy na żadne wykroczenia. Mimo iż był synem bogatych rodziców, jadał i sypiał zawsze o tym samym czasie, a nawet na tym samym miejscu. A naraz oddał się Bipinowi tak, jak inny oddaje się

⁴¹ *Dżagannath* (mit. hind.) — Pan Świata, bóstwo hinduskie, utożsamiane z Wisznu (jako Kriszną), czczona szczególnie w Puri (na wschodnim wybrzeżu Indii), gdzie na jego cześć organizuje się festiwal wozów, podczas którego wierni obwożą posąg bóstwa na wozie. [przypis edytorski]

pijaństwu. Nieraz jedzenie stygło i robiło się późno, a radża wciąż jeszcze przysłuchiwał się Bipinowi lub rozprawiał z nim o jakiejś operze. Dewan⁴² zauważył, iż jedyną wadą nienagannego zresztą charakteru jego pana jest zbyt wielka słabość, jaką ma dla Bipina Kiszora.

Rani⁴³ Basanta Kumari robiła o to swemu małżonkowi wyrzuty, twierdząc, że traci czas ze zbankrutowanym nicponiem. Im prędzej się go z domu pozbyć potrafi, tym jej będzie przyjemniej.

Radzę w duchu ta pozorna zazdrość młodej małżonki bardzo cieszyła. Uśmiechał się na myśl, iż kobieta uznaje na ziemi tylko jednego jedynego mężczyznę — tego, którego kocha, a na zasługi innych mężczyzn jest ślepa. Ze jest cały szereg takich, których zasługi są godne uznania, o tym kodeks kobiecy nie wspomina. W oczach kobiety jedynie dobrym i godnym jej względów jest ten mężczyzna, który jej wyśpiewał do ucha formułę przysięgi ślubnej. Jeśli jej mąż przyjdzie na obiad choćby tylko chwilę później niż zwykle, odchodzi prawie od zmysłów ze strachu i niepokoju, ale czy ludzie jej męża mają co wziąć do ust, to ją nic a nic nie obchodzi. Można by podobnie bezmyślną stronniczość płci piękniejszej potępiać, Czitarandżanowi jednak nie wydawała się bynajmniej tak nieprzyjemną. Toteż nieraz wygłaszał w obecności małżonki przesadne pochwały na cześć Bipina tylko po to, aby wywołać w ten sposób jej zachwycający wybuch gniewu.

Ale to, co dla dostojnej pary stanowiło żart, było gorzką rzeczywistością dla biednego Bipina. Jak to zwykle bywa, służba uważała za miarodajne dla siebie postępowanie pani i starała się też we właściwy sobie bezlitosny, rafinowany sposób zaniedbanie biednego pasożyta jeszcze powiększyć. Ku wielkiemu zmartwieniu i cichemu bólowi Bipina zupełnie o jego potrzebach zapominano.

Rani wylażała pewnego dnia służącego Punte:

— Stale wykręcasz się od roboty. Co robisz przez cały dzień?

— Maharani raczy wybaczyć — wyjąkał biedny chłopak, któremu kazano obsługiwać Bipina — ale ja jestem przez cały dzień zajęty obsługiwaniem Bipina babu, stosownie do rozkazu maharadży.

— Twój Bipin babu jest prawdopodobnie wielkim panem, co? — zadrwiła rani.

Więcej nie było trzeba. Punte zrozumiał wskazówkę. Już na drugi dzień po obiedzie zapomniał sprzątnąć ze stołu Bipina naczynie, to znów zapomniał potrawy przykryć, tak by Bipin jadł zimne. Często musiał niewprawną dłonią sam myć swe naczynie, a jeszcze częściej nie dostawał w ogóle nic do jedzenia. Jednakże skarżyć się i odgrywać rolę denuncjanta to nie leżało w jego charakterze, a także nie był zdolny poniżyć się aż do małodusznych klótni ze służbą. Udawał, że niczego nie widzi, brał wszystko za dobrą monetę. Tak tedy w miarę, jak zyskiwał w oczach radży, w rani wzbudzał niechęć, która w końcu nie znała już żadnych granic.

Nareszcie po wielu próbach opera *Subhadrabaran* była gotowa do wystawienia. Na dziedzińcu pałacu zbudowano scenę. Radża grał rolę Kriszny, Bipin Ardzunę. O, jakże cudownie śpiewał, jak pięknie wyglądał! Pijani radością słuchacze klaskali w dłonie.

Po przedstawieniu przyszedł radża do rani i spytał, jak się jej podobało.

Rani odpowiedziała:

— Bipin istotnie grał rolę Ardzuny świetnie! Poznać po nim potomka szlacheckiego rodu. A jaki on ma piękny głos!

— A ja? — zapytał radża żartem. — Jakże ja wyglądałem? Czyż nie jestem piękny? Nie mam wspaniałego głosu?

— O, ty to zupełnie co innego! — odpowiedziała rani i zaczęła znowu rozwodzić się szeroko nad aktorskimi talentami Bipina Kiszora.

Teraz się znów karta odwróciła. Ten, który dotychczas zwykł był wychwalać, zaczął krytykować. Radża, dotychczas niestrudzony w wychwalaniu wobec swej małżonki szumnymi mowami pochwalnymi Bipina, przyszedł nagle do przekonania, że ludzie bezmyślni przecie trochę zanadto znów rozplývają się nad niewątpliwymi zresztą jego zaletami. Cóż nadzwyczajnego właściwie jest tak w jego wyglądzie zewnętrznym, jak i głosie? Prawda,

⁴²dewan — wysoki urzędnik hinduski, tu: marszałek dworu radży. [przypis edytorski]

⁴³Rani — żona radży. [przypis edytorski]

że on sam, radża, dotychczas należał do tych bezmyślnych ludzi, ale teraz nagle w tajemniczy sposób przejrzał i przyszedł do rozumu.

Od następnego dnia jak najstaranniej już pamiętano o posiłku dla Bipina. Rani uważała nawet raz wobec radży:

— To faktycznie niesprawiedliwość, że Bipin babu musi mieszkać razem z urzędnikami w budynku administracji. Prawda, że dziś jest w nędzy, ale to mimo wszystko człowiek z towarzystwa.

Radża wykrzyknął krótko: „Ha!” i zmienił temat rozmowy. Rani zaproponowała, aby z okazji uroczystości odłączenia jej pierworodnego powtórzono jeszcze raz operę. Radża udał, że tego nie dosłyszał.

Kiedy radża raz zlął Punte za niestaranne nakrycie stołu, służący odpowiedział:

— I cóż ja mogę począć? Z rozkazu rani cały dzień muszę być na usługach Bipina babu.

Rozgniewało to radżę, toteż zawołał bardzo podnieconym tonem:

— Ba, Bipin babu to istotnie wielki pan! Nie może to sobie sam umyć naczyń?

Służący nie dał sobie tego dwa razy mówić i Bipin popadł znowu w swój dawny beznadziejny stan.

Rani lubiła pieśni Bipina; były one precudne, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Zwykle wieczorami, kiedy radża wraz z Bipinem oddawał się muzyce, przysłuchiwała się z drugiego pokoju. Ale wkrótce po tych wypadkach radża znów wrócił do swego dawnego rozkładu dnia i Bipina wieczorem nie wzywano.

Radża Czitarandżan miał zwyczaj obchodzić w południe cały swój dom, aby się przekonać, czy wszystko jest jak być powinno. Pewnego dnia, przyszedłszy do zenany⁴⁴ trochę wcześniej, zastał żonę pogrążoną w jakiejś lekturze. Kiedy ją zapytał, co czyta, zmieszła się trochę, ale opanowawszy się szybko, odpowiedziała:

— Uczę się na pamięć kilku piosenek ze śpiewnika babu Bipina. Od chwili, kiedy tak nagle wyrzekłeś się swej ulubionej namiętności, zupełnie już nie mamy w domu muzyki.

Biedactwo! A przecie ona sama robiła wszystko, co było w jej silach, aby mu tę namiętność obrzydzić.

Następnego dnia radża Bipina odprawił, nie zastanawiając się ani na chwilę nad tym, gdzie biedaczysko dostanie kęs chleba.

To jednak nie było jedyne jego zmartwienie. On się do radży przywiązał naprawdę i szczerze. Służył mu więcej z miłości niż dla zapłaty. Zapłata, jaką otrzymywał, była dla niego niczym w porównaniu z przyjaźnią pana. Toteż, choć sobie łamał nad tym głowę, w żaden sposób nie mógł odgadnąć powodu tak nagłego oddalenia przez radżę. „Przeznaczenie! Takie widać było przeznaczenie!” — powiedział sobie. A potem, westchnąwszy ciężko, wziął mężnie i w milczeniu swą starą gitarę, zapakował ją do pudła, ostatnie dwie szóstki, jakie jeszcze miał w kieszeni, dał Punteru na piwo i poszedł w daleki, daleki świat, gdzie nie miał ani jednej dobrej duszy.

Rozwiązanie zagadki

I

Kriszna Gopal Sarkar, właściciel Dżikrakoty, oddał swe dobra w zarząd swemu najstarszemu synowi i osiadł w Benares, aby tam, jak przystoi na dobrego Hindusa, strawić wieczór żywota na praktykach religijnych i rozmyślaniu. Wszyscy ubodzy i pozbawieni opieki z całej okolicy płakali, żegnając się z nim, wszyscy też świadczyli, iż taka pobożność i dobroczynność należy w dzisiejszych zwyrodniałych czasach do rzadkości.

Syn jego, Bipin Bihari, był młodym człowiekiem wychowanym według hasel nowoczesnych, z wykształceniem uniwersyteckim. Nie bez dumy nosił okulary, brodę i rzadko tylko obcował z bliźnimi. Jego życie prywatne było nienaganne. Nie palił, kart nigdy

⁴⁴zenana — część domu przeznaczona dla kobiet. [przypis edytorski]

nie tykał. Mimo łagodnego, prawie miękkiego wyglądu był człowiekiem silnym i nieugiętym. Ten rys charakteru dał się wkrótce w najrozmaitszy sposób odczuć jego dzierżawcom. W przeciwieństwie do ojca on w żadnym wypadku nie opuszczał ani grosza z należnego mu czynszu. Nigdy też nikomu, mającemu się uiszczyć z zapłaty, nie dał ani dnia zwłoki.

Objąwszy zarząd majątku, Bipin Bihari zauważył, że jego ojciec wielkiej ilości braminów wypuścił⁴⁵ ziemię zupełnie bezpłatnie, a jeszcze większej za bardzo tylko niewielką opłatą. Ojciec jego nie umiał się oprzeć gorącym prośbom — to była słaba strona jego charakteru.

Bipin Bihari powiedział sobie, że tak to dalej być nie może. Nie mógł się przecie wyrzec dochodu z połowy majątku, bo — jak sobie w duchu tłumaczył — po pierwsze, ludzie korzystający z tych względów i tyjący jego kosztem byli zwykłymi nierobami niezasługującymi na te dobrodziejstwa. Tak więc, wyświadczając je, popierało się tylko lenistwo. Po wtóre zaś, życie w naszych czasach stało się przecie znacznie droższe niż dawniej. Wymagania szalenie wzrosły. Chcąc się utrzymać na dawnym stanowisku, trzeba było wydawać cztery razy tyle, co przedtem. Stąd też jego nie stać było — jak sobie na to mógł pozwolić ojciec — na szafowanie na prawo i lewo. Przeciwnie, jego obowiązkiem i powinnością było raczej pozbierać teraz możliwie jak najwięcej z powrotem.

Toteż Bipin Bihari nie tracił czasu, lecz natychmiast przystąpił do wykonania tego, co uważał za swój obowiązek. Był człowiekiem surowych zasad.

Co był stracił skutkiem słabości ojca, wracało teraz stopniowo do niego. Uznał tylko bardzo nieznaczną część ulg i postarał się o to, aby i one nie były trwałe.

Skargi dzierżawców dotarły do Kriszny Gopala w Benares za pośrednictwem poczty. Kilku dzierżawców udało się nawet do Benares, aby mu osobiście skargi swe przedłożyć. Kriszna Gopal napisał do syna list, w którym wyraził mu swe niezadowolenie. Bipin Bihari odpisał mu i wykazał, do jakiego stopnia czasy się zmieniły. „Dawniej — twierdził — za ulgi, wyświadczane dzierżawcom, obywatel wiejski otrzymywał pewne odszkodowanie w postaci licznych a będących w powszechnym zastosowaniu podarunków, jakie mu dzierżawcy znosili. Stosownie do nowych ustaw wszystkie te podarunki byłyby bezprawne. Obywatel wiejski winien poprzestać na czynszu dzierżawnym i nic więcej żądać mu nie wolno. Cóż się z nami stanie, jeśli nie będziemy ściśle obstawali przy tym, co się nam z prawa należy? — pisał dalej. — Skoro dzierżawcy nic od siebie dać nie chcą, czy my możemy dawać im takie ulgi? Od tej pory łączące nas stosunki muszą być ściśle prawem uregulowane. Jeśli w dalszym ciągu będziemy wciąż robili prezenty i zakładali fundacje, zrujnujemy się; w ten sposób byłoby niepodobieństwem utrzymać się przy majątku i na należnym nam stanowisku”.

Kiedy się Kriszna Gopal dowiedział, że czasy się do tego stopnia zmieniły, zrobiło mu się trochę niewyraźnie na duchu.

— Cóż, młoda generacja wie to chyba najlepiej! — mruknął. — Nasze staromodne poglądy są już prawdopodobnie przestarzałe. Jeśli się do tego wmieszam, syn z pewnością nie będzie chciał majątkiem administrować i zażąda, abym wrócił. Nie, dziękuję, co to do nie. Tych parę pozostających mi dni wolę już poświęcić służbie bożej.

II

Wobec tego sprawy potoczyły się dalej swoim torem. Bipin Bihari uporządkował najzupełniej swe stosunki majątkowe po długim procesowaniu się w sali sądowej i zastosowaniu nielicznych mniej legalnych środków poza nią. Większa część dzierżawców zastosowała się do jego woli ze strachu. Opór stawiał mu tylko pewien młody człowiek nazwiskiem Asimuddin, syn Mirzy.

Do tego człowieka czuł Bipin niepohamowaną odrazę. Mógł ostatecznie zrozumieć, z jakiego powodu ojciec nadał bezpłatnie tak dużo ziemi braminom, ale dlaczego ten mahometanin ma tyle ziemi, częścią zupełnie wolnej od opłaty, a częścią za opłatą znacznie niższą, niż się należało, to stanowiło dla niego zagadkę. I któż to był taki? Syn wdowy po jakimś mahometaninie z niższych sfer, parobek, który stawiał się hardo całemu światu

⁴⁵wypuścić — tu: wydzierżawić. [przypis edytorski]

tylko dlatego, że w szkółce wiejskiej nauczył się trochę czytać i pisać. Takie zuchwalstwo uważał Bipin za rzecz nie do zniesienia.

Informował się u swego sekretarza co do dzierżawy Asimuddina, ale wszystko, co ten mógł mu powiedzieć, było, że babu Kriszna Gopal sam przed wielu laty osadził na tych gruntach tę rodzinę, nikt jednak nie miał wyobrażenia dlaczego. Sekretarz wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie wdowa umiała sobie zjednać współczucie dobrotliwego dziedzica, skarżąc mu się na swą nędzę i niedolę.

Wszystkie te ulgi i względy wydały się Bipinowi zupełnie niezasłużone. Nie znał żalosnego położenia tych ludzi w dawniejszych czasach. Względny dobrobyt oraz pewność siebie, jakiej był świadkiem obecnie, doprowadziły go do wniosku, że ludzie ci najprawdopodobniej w bezczelny sposób wyludzili od jego ojca część należącego się mu dziedzictwa.

Asimuddin był nie mniej upartym młodym człowiekiem. Przysiągł, że odda raczej życie niż pięćdziesiąt swych ziem. Wobec tego wybuchła otwarta wojna.

Biedna stara wdowa robiła wszystko, co mogła, aby syna uspokoić.

— Nie możemy się z naszym panem kłócić! — powtarzała mu często. — Tak długo korzystaliśmy z jego łaski, ufajmy mu dalej, nawet gdy odmawia nam swych względów i cofa ulgi. Oddaj mu część pól, jeśli tego żąda.

— Ach, matko, co ty się na tych sprawach rozumiesz! — wykrzyknął Asimuddin niecierpliwie.

Asimuddin przegrywał jeden proces za drugim. Im bardziej przegrywał, tym bardziej się robił zacięty. Aby wszystko odzyskać, stawiał wszystko, co miał, na jedną kartę.

Pewnego popołudnia zerwała Mirza bibi parę owoców i trochę jarzyn w swym ogrodzie i nic nie mówiąc synowi, udała się do Bipina babu. Patrząc nań z iście macierzyńską czułością, rzekła:

— Niech cię Bóg błogosławi, mój synu. Nie niszc Asima, bo popełnisz wielką niesprawiedliwość. Oddaję go pod twoją opiekę. Patrz na niego jak na kogoś, komu pomóc jest twym obowiązkiem — uważaj go za nicponia młodszego brata. Twój majątek jest tak wielki — nie zazdrość mu jego malutkiej części, mój synu.

Ta zuchwała poufałość gadatliwej starowiny w wysokim stopniu Bipina zirytowała.

— Co wy się na tych sprawach rozumiecie, dobra kobieto! — odpowiedział. — Jeśli macie do mnie jakiś interes, przyslijcie swego syna.

Mirza bibi, usłyszawszy już drugi raz, że nic a nic się na tych rzeczach nie rozumie, udała się z powrotem do domu, przez całą drogę obcierając fartuchem oczy i zasyłając ciche modlitwy do Allacha.

III

Proces włókł się od trybunału kryminalnego do sądu cywilnego i znowu do trybunału apelacyjnego, gdzie Asimuddin miał nawet pewien sukces. W ten sposób minęło półtora roku. Teraz jednakże był już zupełnie zrujnowanym człowiekiem, tkwiącym po uszy w długach. Wierzyciele jego skorzystali z tej sposobności, aby wykonać wyrok, który już byli przeciw niemu przeprowadzili. Ustanowiono dzień, w którym całe jego mienie miało być sprzedane na licytacji.

Było to w poniedziałek. We wsi nad małą, teraz po deszczach wezbraną rzeczulką odbywał się targ. Sprzedawano i kupowano częściowo nad brzegiem a po części w łodziach uwiązanych u palów nadrzecznych. Zgiełk i hałas był wielki. Ponieważ to się działo w lipcu, największa podaż była na owoce chlebowe; widziano również ryby hilsa w wielkich ilościach. Niebo było chmurne. Obawiając się deszczu, wielu przekupniów rozpięło nad swymi towarami namioty na bambusowych żerdkach.

Asimuddin przyszedł również na targ, ale bez grosza przy duszy. Nikt nie chciał już dać mu kredytu. Dlatego też przyniósł talerz mosiężny i nóż; oba te przedmioty zamierzał zastawić i nakupić rzeczy niezbędnych.

Nad wieczorem wyszedł Bipin babu na przechadzkę z eskortą kilku służących uzbrojonych w kije. Zachęcony wrzawą skierował swe kroki ku targowi. Tam zatrzymał się na chwilę przed kramem Dwarisa, handlarza olejków, i wypytywał go z żywym zainteresowaniem, jak mu się powodzi. Naraz Asimuddin zamierzył się nożem i rycząc jak tygrys, rzucił się na Bipina babu. Kupcy zatrzymali go w porę i rozbili w mgnieniu oka.

Oddano go natychmiast w ręce policji, po czym sprawy targowe potoczyły się zwykłym torem.

Nie możemy powiedzieć, żeby Bipin babu nie był w duchu z tego wypadku zupełnie zadowolony. To przecie niesłychane, aby zwierzę, któremu właśnie chcemy zadać cios śmiertelny, odwróciło się nagle, szczerząc zęby.

— To łajdak! — roześmiał się Bipin w duchu. — Nareszcie mam go w garści.

Kiedy damy w domu Bipina usłyszały o wypadku, zawołały przerażone:

— Ależ to morderca! Co za szczęście, że go w porę złapano!

Pocieszały się oczywiście myślą, że łotra tego nie minie dobrze zasłużona kara.

Tegoż samego wieczora na drugim końcu wsi niska chata biednej wdowy, pozbawionej chleba i syna, spowita była czarnym całunem śmierci. Inni zapomnieli wkrótce o zajściu popołudniowym, zjedli wieczerzę, położyli się do łóżek i zasnęli, w oczach wdowy jednak ten niesłychany wypadek przesłonił wszystko na szerokim świecie. Ale któż to miał z tym walczyć? Garstka znużonych kości i drżące z trwogi serce bezsilnej matki.

IV

Od tego czasu minęły trzy dni. Następnego dnia zajście miał rozpatrywać sędzia pokoju. Bipin babu wezwany był na świadka. Nigdy jeszcze właściciel Dżikrakoty nie stawał jako świadek, ale Bipin niewiele sobie z tego robił.

Następnego dnia o oznaczonej godzinie, otoczony wielkim dworem, Bipin babu w lektyce stanął przed gmachem sądowym. Miał na głowie turban, zaś z piersi jego zwisał złoty łańcuszek od zegarka. Sędzia pokoju poprosił go, aby usiadł, wskazawszy mu miejsce na podwyższeniu koło siebie. Sala była przepelniona. Takiej sensacji nie miano tu już od dawna.

Właśnie kiedy rozprawa miała się rozpocząć, wszedł policjant i szepnął coś Bipinowi do ucha. Bipin, nadzwyczaj zmieszany, wstał i wyszedł, poprosiwszy sędziego, aby parę minut poczekał.

Wyszedłszy, ujrzał w pewnej odległości stojącego pod drzewem figowym swego ojca. Ojciec był bosy i otulony namawali, w rękach trzymał różaniec.

Jego wychudła postać opromieniona była łagodnym blaskiem, a z twarzy biła cicha litość.

Bipin dotknął czołem stóp ojca, przy czym obszerna suknia paradna i ciasne spodnie nadzwyczaj go krępowały. Kiedy się pochylił, turban zleciał mu na nos, a zegarek wypadł z kieszeni i zaczął dyndać w powietrzu. Bipin poprawił turban i poprosił ojca do domu swego adwokata, tuż w pobliżu.

— Nie, dziękuję! — odpowiedział Kriszna Gopal. — To, co ci mam powiedzieć, chcę powiedzieć tu.

Tymczasem zebrała się dokoła nich gromada gapiów. Ludzie Bipina rozpędzili ich. Wtedy rzekł Kriszna Gopal:

— Musisz uczynić wszystko, co możesz, aby Asima uwolnić, i musisz mu zwrócić wszystką zabraną ziemię.

— Czy to jest powodem, ojcze — wykrzyknął zdumiony Bipin — dla którego puściłeś się w podróż z Benares aż tu? Czy nie chciałbyś mi powiedzieć, dlaczego otaczasz tych ludzi tak szczególnymi względami?

— I cóż ci z tego przyjdzie, jeśli się dowiesz, mój chłopcze?

Ale Bipin nie poddawał się.

— Rzecz polega na tym, ojcze! — mówił dalej. — Wiele ulg cofnąłem, ponieważ byłem zdania, że dzierżawcy na to nie zasługują. Był między nimi cały szereg braminów, ale przeciwko temu nie wyrzekłeś ani słowa. Czemuż teraz z taką gorliwością ujmujesz się za tymi mahometanami? Jeżeli teraz, po tym wszystkim, co zaszło, proces przeciw Asimowi umorzę i ziemię mu zwrócę, cóż ludzie o tym powiedzą?

Kriszna Gopal milczał przez chwilę. A potem rzekł, jękając się i przeciągając różaniec szybko przez drżące palce:

— Gdyby trzeba było koniecznie ludziom stosunek wytłumaczyć, możesz im powiedzieć, że Asimuddin jest mym synem a twoim bratem.

— Jak to? — wykrzyknął Bipin, boleśnie dotknięty. — Z krwi mahometanki?

Pobożność, Świętoszek

— Tak jest, mój synu! — brzmiała spokojna odpowiedź.

Bipin stał przez chwilę pogrążony w niemym zdumieniu. Wreszcie odzyskał do pewnego stopnia mowę.

— Chodźmy do domu, ojciec. Później o tym pomówimy.

— Nie, mój synu! — odpowiedział starzec. — Usunąwszy się od zgiełku świata, aby służyć swemu Panu i Bogu, do domu wracać nie mogę. Odchodzę. A polecam ci uczynić, co ci dyktuje twoje poczucie obowiązku.

To rzekłszy, pobłogosławił syna i odszedł chwiejnym krokiem, z trudem tylko powstrzymując łzy.

W Bipina jakby grom ugodził; przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć, co począć.

— Oto pobożność starszej generacji! — rzekł wreszcie do siebie.

Z dumą myślał, o ile wyżej stał od ojca, co się tyczy wykształcenia i obyczajności. Pochodziło to stąd, konkludował, że zawsze ściśle trzymał się swych zasad.

Wróciwszy do sądu, ujrzał na korytarzu między dwoma stójkowymi Asimuddina czekającego na rozprawę. Asim był wynędzniały i wyczerpany. Wargi jego były blade i suche, a oczy świeciły nieswoim blaskiem. Okryty był brudną, podartą szmatą.

„Więc to mój brat!” — Bipin aż się zatrzęsł na tę myśl.

Sędzia pokoju żył z Bipinem w przyjaźni, więc rozprawa skończyła się na niczym. Po kilku dniach przywrócono Asimuddinowi dawniejsze jego stanowisko. Dlaczego się tak stało — nikt nie rozumiał. Nawet mieszkańcy wsi byli tym do najwyższego stopnia zdumieni.

Wkrótce jednak rozeszła się wieść o pobycie Kriszny Gopala tuż przed rozprawą. Ludzie zaczęli sobie rzucać porozumiewawcze spojrzenia. Bystrzy adwokaci odgadli od razu całą historię. Jeden z nich, Ram Taran babu, zawdzięczał Krisznie Gopalowi całe swe wykształcenie, a zatem i karierę. Od dawna już podejrzewał, iż cnotliwość i pobożność jego dobroczyńcy są udane. Teraz był już niezbicie przekonany, że o ile tylko mogłoby się rzecz dokładnie zbadać, pokazałoby się, iż wszyscy „pobożni” ludzie są właściwie obłudnikami.

„Niech sobie odmawiają swój różaniec, ile tylko chcą — myślał zadowolony — każdy jest na tym świecie akurat taki jak i ja. Jedyna różnica między dobrym a złym człowiekiem jest, że człowiek dobry się maskuje, a zły tego nie robi”.

Odkrycie, iż osławiona pobożność, dobroczynność i wielkoduszność Kriszny Gopala nie była niczym innym, jak tylko obłudną maską, uwolniła Ram Tarana babu od brzemienia, które mu przez długie lata nieznośnie ciążyło. Nareszcie — dzięki jakiemu wnioskowaniu, tego nie wiemy — spadł mu z serca kamień wdzięczności. I to sprawiło mu wielką ulgę.

Wdzięczność

Pobożność, Świętoszek,
Dobro

Moja piękna sąsiadka

Uczucia, jakie żywiłem dla młodej wdowy mieszkającej w sąsiednim obok mnie domu, były uczuciami głębokiej czci i szacunku, przynajmniej tak mówiłem swym przyjaciółom i sobie. Nawet mój najbardziej zaufany przyjaciel, Nabin, nie wiedział nic o prawdziwym stanie mego umysłu, ja zaś czułem się nawet do pewnego stopnia dumny, iż, ukrywając swą namiętność w najgłębszym zakątku serca, mogłem ją w ten sposób utrzymać w czystości. Była ona niby za wcześniej strącone na ziemię, lśniące od rosy kwiecie śefalii. Za czysta i za święta dla obsypanego kwiatami łoża poślubnej nocy, była poświęcona niebiosom.

Jednakże namiętność jest jak strumień górski, którego nie można zatrzymać w domu, bo on musi się wyładować w świecie. Dlatego też i ja próbowałem uczuciom swym dać wyraz w poezji, ale pióro moje wzdragało się pokalać przedmiot mego ubóstwienia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyło się jakoś, że właśnie w tym czasie mój przyjaciel uległ również ciężkiej chorobie wierszowania. Spadło to na niego nagle, jak trzęsienie ziemi. Był to pierwszy paroksyzm biednego chłopca, wobec czego oczywiście nie umiał jeszcze władać ani rymem, ani rytmem. A mimo to nie umiał się oprzeć, lecz uległ urokowi, jak wdowiec swej drugiej żonie.

Zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Temat jego poezji był odwieczny i wiecznie nowy: wszystkie jego wiersze poświęcone były miłości. Śmiejąc się, poklepałem go po ramieniu i zapytałem:

— No, chłopcze, a któż to jest ta „ona”?

Odpowiedział również ze śmiechem:

— Sam jeszcze nie wiem.

Muszę wyznać, że pomoc, jakiej używałem swemu przyjacielowi, była dla mego serca wprost niezmiernym dobrodziejstwem. Jak kura wysiadująca kacze jajo, tak i ja trwonilem całe ciepło swej świeżo rozkwitłej namiętności na urabianie wylewów Nabina. Zmieniałem i poprawiałem jego niedojrzałe wierszydła z taką gorliwością, że większa część każdego jego poematu była właściwie moim dziełem.

A wtedy Nabin zdziwiony pytał:

— Przecie to właśnie to samo, co ja chciałem powiedzieć, tylko że słów znaleźć nie mogłem. Skąd, do licha, bierzesz te wszystkie piękne uczucia?

Odpowiadałem jak poeta:

— Czerpię je z własnej fantazji, bo prawda, jak ci dobrze wiadomo, jest zawsze niema, zaś fantazji słów nigdy nie brak. Rzeczywistość hamuje je, niby skała prąd, ale fantazja zawsze potrafi znaleźć sobie ujście.

Biedny zdumiony Nabin mówił:

— Ach, tak, oczywiście, rozumie się. — A potem po chwili namysłu: — Oczywiście, masz słuszość.

Jak to już powiedziałem, moja własna miłość była pełna tak pokornej i wstydlivej czci, że obawiałem się skalać ją słowami. Jednakże mając Nabina za parawan, mogłem już bez przeszkody dać swemu pióru wszelką wolność, przez co żar szczerzego uczucia spłynął w te pisane dla niego wiersze.

W swych jasnych chwilach Nabin wołał:

— Ależ to są twoje własne wiersze! Pozwól mi je ogłosić pod twym nazwiskiem!

— Nonsens! — odpowiadałem. — Wiersze są twoje, mój kochany, a ja tylko je gdzieniegdzie zaokrągliłem.

Z wolna sam Nabin istotnie zaczął w to wierzyć.

Nie chcę przeczyć, że nieraz w tym czasie kierowałem wzrok swój ku oknu sąsiedniego domu z uczuciem, jakie musi mieć astronom wpatrujący się w gwiazdziste niebo. Te moje ukradkowe spojrzenia spotykały się też od czasu do czasu z nagrodą. A ile razy trafił mnie choćby tylko przelotny promień tego czystego oblicza, wszystko, co w namiętności mojej było burzliwe i mętne, w jednej chwili uspokajało się i stawało się czyste.

Ale jednego dnia przeraziłem się. Czyż mogłem wierzyć własnym oczom? Było gorące letnie popołudnie. Groziła jedna z tych rozpętanych, nagle wybuchających burz północno-zachodnich. Czarne masy chmur spiętrzyły się w północno-zachodniej stronie nieba i w dziwnym, niepokojącym świetle tego tła stała moja piękna sąsiadka, w zamyśleniu patrząc przed siebie w przestrzeń. Cóż za świat bezsilnej tęsknoty odkryłem w rozmarzonym spojrzeniu tych promiennych ciemnych oczu! Czy ten mój księżyc ze swym jasnym blaskiem ukrywał jeszcze może w swej głębi wulkaniczny ogień? Ach, to spojrzenie bezgranicznej tęsknoty, unoszące się na kształt chorego na nostalgię ptaka ponad chmurami, szukało z pewnością — nie nieba, lecz gniazda serca ludzkiego.

Na widok bezgranicznej namiętności, jaka się mi tu nagle objawiła, ledwie mogłem zapanować nad sobą. Teraz mało mi już było poprawiać niedojrzałe poematy. Cała moja istota pragnęła znaleźć swój wyraz w jakimś godniejszym czynie. Wreszcie przyszło mi na myśl, że powinienem poświęcić się sprawie powtórnego zamażpójścia wdów w naszym kraju. Postanowiłem sobie nie tylko wygłaszać na ten temat mowy i pisać, ale także popierać tę propagandę finansowo.

Nabin nie ze wszystkim ze mną się zgadzał.

— Wieczne wdowieństwo — mówił — ma w sobie coś dziwnie czystego i spokojnego; cicha piękność spoczywa na nim jak na milczących grobach umarłych w łagodnym świetle księżycy. Czyż już sama możliwość ponownego związku nie zmaćliby tego niebiańskiego piękna?

Otóż taka czułośćkowość doprowadza mnie zawsze do wściekłości. Cóż byśmy powiedzieli, gdyby w czasie głodu człowiek dobrze odżywiony i syty mówił lekceważaco o jedzeniu i radził na pół zgłodzonemu człowiekowi nasycić swój głód zapachem kwiatów i śpiewem ptaków? Toteż odpowiedziałem poniekąd gwałtownie:

— Posłuchaj, Nabin, dla malarza ruina może być czymś nadzwyczaj pięknym, jednakże domy buduje się nie po to, aby je artyści podziwiali, lecz aby mieszkać mogli w nich ludzie; dlatego muszą być odpowiednio utrzymane, choćby to nawet raziło estetyczne uczucia artystów. Łatwo ci w swym cichym kącie śpiewać hymny pochwalne na cześć wdowieństwa, nie powinienes jednak zapominać o tym, że pod białą⁴⁶ szatą wdowy, w męce i ogniach pożądania bije żywe serce ludzkie!

Miałem wrażenie, że nawrócenie Nabina będzie rzeczą niełatwą, dlatego rozpędziłem się nieco więcej, niż było potrzeba. Zdziwiło mnie trochę, że gdy skończyłem swą krótką mowę, Nabin, wydawszy głębokie westchnienie, najzupełniej ze mną się zgodził. Większa a zupełnie już druzgocąca perora, jaką miałem na języku, okazała się zupełnie zbyteczna.

Kiedyś po jakimś tygodniu przyszedł Nabin do mnie i oświadczył mi, że jeśli mu zechcę dopomóc, to on da dobry przykład i pierwszy się z wdową ożeni.

Szalałem z radości. Uściskałem go z całej siły i przyrzekłem mu, że, o ile idzie o potrzebne na ten cel pieniądze, wszystko dla niego zrobię. Wówczas Nabin opowiedział mi swoją historię.

A więc dowiedziałem się, że ukochana Nabina nie była bynajmniej postacią urojoną, lecz rzeczywistą. Pokazało się, że jak ja, tak i Nabin od jakiegoś czasu adoruje jakąś wdowę, o czym jednak żywej duszy nie mówił. Następnie — pisma, w których zwykły się pojawiać Nabina, a właściwie moje wiersze, dostawały się też do rąk pięknej wdowy i wywierały pewne wrażenie.

Jak mnie Nabin wyraźnie zapewnił, bynajmniej nie miał powziętego z góry zamiaru starać się w ten sposób o rękę swej damy. Sam mówił, że nie miał wyobrażenia, czy wdowa umie w ogóle czytać czy nie. Nie zdradzając nazwiska nadawcy, posyłał zwykle pismo pod adresem jej brata. Była to po prostu jego fantazja, ustępstwo, jakie robił swej beznadziejnej namiętności. Była to jak gdyby ofiara z kwiatów złożona bóstwu; ofiarujący nie pyta nawet, czy bóg dowie się o ofierze, czy ją przyjmuje lub odręca.

Nabin starał się wyjaśnić mi przede wszystkim, że nie miał na oku żadnego określonego celu, starając się wszelkimi sposobami pozyskać przyjaźń brata wdowy, co mu się też ostatecznie udało. Kochanka musi żywo zajmować każdy bliski krewny ukochanej.

Następnie przyszła długa historia o tym, jak to choroba brata sprowadziła ich razem. Już sama obecność poety wystarczała, jak to jest zupełnie zrozumiałe, do wywołania licznych dyskusji na temat poezji, przy czym oczywiście dyskusje te nie ograniczały się do tego jedyne go tematu.

Kiedy ja niedawno temu w puch rozbiłem wszystkie jego przesady dotyczące ponownego zameścia wdowy, zebrał się na odwagę, by się jej oświadczyć. Zrazu zgody pozyskać nie mógł, używszy jednak szerzej moich wymownych słów, do których dodał od siebie parę łez, uczynił ją sobie bezwarunkowo powolną. Teraz opiekun jej potrzebowałby tylko trochę grosza, aby móc poczynić odpowiednie przygotowania.

— To możesz mieć natychmiast! — odpowiedziałem.

— Owszem, ale widzisz — mówił Nabin dalej — parę miesięcy może upłynąć, zanim uda mi się ojca tak udobruchać, że znowu zacznie mi wypłacać mą miesięczną pensję. Z czegoż będziemy żyli przez ten czas?

Niezwłocznie wypełniłem czek na potrzebną sumę, po czym zapytałem:

— Ale teraz powiedz mi, kto ona? Nie potrzebujesz się we mnie obawiać rywala, przysięgam ci, nigdy nie będę pisał do niej wierszy, a nawet gdybym to uczynił, nie poślę ich jej bratu, lecz tobie.

— Nie gadaj głupstw! — rzekł Nabin. — Jeśli ci jej nazwiska nie wymieniłem, to nie dlatego, żebym się bał w tobie rywala! Rzecz w tym: ona bała się tego kroku i prosiła mnie, abym nic o tym przyjaciółom nie wspominał. Teraz jednak, kiedy wszystko tak szczęśliwie się skończyło, to nie ma znaczenia. Ona mieszka tu obok, pod numerem dziewiętnastym.

⁴⁶pod białą szatą wdowy — w Indiach (podobnie jak w starożytnym Rzymie) biel jest kolorem żałoby. [przypis edytorski]

Gdyby serce me było żelaznym kotłem, pękłoby z pewnością.
— Zatem ona wcale nie jest przeciwna powtórnym związkom małżeńskim? — zapytałem spokojnie.
— Teraz już nie! — odpowiedział Nabin, uśmiechając się.
— A więc to tylko wiersze wywołały tę czarodziejską zmianę?
— No, moje wiersze nie są przecie wcale takie złe, nieprawdaż?
Kląłem w głębi duszy.
Kogo kląłem? Jego? Siebie? Los?
Ale kląłem — co wlało.

Uratowana

Gauri była ładną, rozpieszczoną dziewczyną pochodzącą ze starej i bogatej rodziny. Mężowi jej, Pareszowi, udało się dopiero po dłuższym czasie i wielu usiłowaniach zdobyć lepsze warunki bytu materialnego. Dopóki był biedny, rodzice Gauri trzymali ją przy sobie w domu, nie chcąc jej narażać na niedostatek i ograniczenia; nie była już bardzo młoda, kiedy wreszcie sprowadziła się do domu swego męża. Toteż Paresz nigdy nie miał wrażenia, że jest mu zupełnie oddana. Był adwokatem w małym miasteczku na zachodzie i nie miał tam nikogo z bliskich krewnych. Wszystkie jego myśli krążyły wciąż dokoła żony do tego stopnia, że czasami wracał do domu przed końcem rozprawy. Zrazu Gauri nie mogła zrozumieć, dlaczego wracał tak niespodziewanie. Ni stąd, ni zowąd odprawił bez najmniejszego powodu któregoś ze służących; żadnego w ogóle dłuższy czas w domu nie trzymał. Zwłaszcza jeśli Gauri kogoś ze służby chciała zatrzymać, widząc, że jest jej pożyteczny, człowiek ten z pewnością tracił miejsce natychmiast. Dumna Gauri czuła się tym nieraz do najwyższego stopnia dotknięta, ale jej niechęć z tego powodu jeszcze gorzej usposobiła męża.

Zazdrość

Kiedy Paresz wreszcie nie mógł się już zupełnie opanować i zaczął w tajemnicy wypytywać o swą żonę którąś z dziewczek, żona o wszystkim się dowiedziała. Nie lubiła mówić, ale jej zraniona duma szalała w niej jak rozżarty lew i to szalone podejrzenie wisiało między nimi niby miecz piekielny. Paresz zauważywszy, iż żonie znane są pobudki jego postępowania, nie wstydził się już wręcz ją oskarżać, zaś w miarę jak ona odplacała mu za jego zazdrość milczącą pogardą, namiętność ta wybuchała w nim coraz to dzikszym ogniem i pożerała go.

Bezdzienna Gauri, pozbawiona szczęścia w małżeństwie, postanowiła szukać pociechy w religii. Zawezwawszy do siebie z niedalekiej świątyni Paramanandę Swami, młodego duchownego, oświadczyła mu wyraźnie, że obiera go za swego przewodnika duchowego i prosi, aby jej zechciał tłumaczyć księgi święte. Cały skarb miłości i oddania, jaki jeszcze zachował się w jej sercu kobiecym, ponieważ nie było nikogo, kto by zeń chciał czerpać, złożyła ze czcią u stóp swego mistrza.

Nikt nie wątpił o czystości charakteru Paramanandy. Wszyscy żywili dlań jak największą cześć. A ponieważ Paresz nie śmiał zdradzić się wobec niego z jakimś podejrzeniem, zazdrość wżarła mu się w serce jak utajony wrzód.

Pewnego dnia jakaś nic nieznacząca przyczyna spowodowała wybuch choroby. Paresz drwił z Paramanandy w obecności żony jako z obłudnika i rzekł:

Kłótnia

— Czy możesz przysiąc, że nie jesteś zakochana w tym lisie grającym rolę ascety?

Gauri skoczyła, jakby ugryziona przez żmiję, i podrażniona do ostateczności jego podejrzeniem rzekła z gorzkim szyderstwem:

— A gdyby tak było?

Paresz, nie mówiąc ani słowa, udał się do sądu na posiedzenie, zamknąwszy ją wprzód na klucz.

Błada z gniewu z powodu tej niesłychanej obrazę Gauri wylała w jakiś sposób drzwi i opuściła dom.

Paramananda siedział w ciszy południa w swym samotnym pokoju, pogrążony w studium świętych ksiąg. Nagle, jak grom z jasnego nieba, wpadła w tę ciszę Gauri.

— Ty tu? — zapytał mistrz zdumiony.

— Wybaw mnie, o mistrzu mój, z hańby mego pożycia małżeńskiego — wykrzyknęła — i pozwól, abym się u stóp twych poświęciła służbie bożej!

Paramananda odesłał ją z surowym napomnieniem do domu. Nie wiem jednakże, czy mógł czytać dalej.

Paresz, wróciwszy do domu i znalazłszy drzwi otwarte, spytał:

— Kto tu był?

— Nikt! — odrzekła jego małżonka. — Ja sama wyszłam i udałam się do domu swego mistrza.

— Po co? — pytał dalej Paresz, a rumieniec gniewu na jego twarzy zamienił się w bladość.

— Bo tak chciałam.

Od tego dnia obstał Paresz swój dom stróżkami i zachowywał się tak niedorzecznie, że całe miasto mówiło o jego zazdrości.

Wieści o bolesnych krzywdach, które uczennica co dzień znosić musiała, zaczęły Paramanandzie przeszkadzać w jego pobożnych rozmyślaniach. Zdawało mu się czasem, że właściwie powinien natychmiast tę miejscowość opuścić, nie mógł się jednak zdobyć na pozostawienie dręczonej kobiety jej losowi. Któż może powiedzieć, ile biedny asceta w tych strasznych dniach wycierpiał?

Nareszcie pewnego dnia otrzymała uwięziona Gauri list.

List

„Moje dziecię — zaczynał się list — prawda, że wiele świętych kobiet uciekło od świata, aby się poświęcić Bogu. Gdyby przypadkiem pokusy tego świata miały odwrócić twe myśli od Boga, z Jego pomocą postaralbym się o to, aby służkę Jego dla świętej służby uratować. Jeśli chcesz, możesz mnie znaleźć jutro o drugiej po południu koło sadzawki waszego domu”.

Gauri ukryła ten list pod swymi warkoczami. Na drugi dzień, rozpuściwszy włosy przed kąpielą, zauważyła, że listu nie ma. Czyż mógł wysunąć się na łóżko i wpaść w ręce męża? Na myśl o tym doznała w pierwszej chwili jakby uczucia okrutnej radości, wyobrażając sobie, jak się zacznie wściekać; potem jednak stała się jej nieznośną myśl, iż list, który ona nosiła na głowie niby świętą glorię, może być skalany dotknięciem zuchwałych rąk.

Szybkiem krokiem pośpieszyła do pokoju męża. Leżał, jęcząc na podłodze z wyrwocnymi oczami i z pianą na ustach. Wyjęła list z jego zaciśniętej pięści i natychmiast posłała po lekarza.

Lekarz oświadczył, że to apopleksja. Chory zmarł jeszcze przed jego przybyciem.

Pokazało się, że Paresz miał tego dnia ważną konferencję, która zmuszała go do wyjścia z domu. Paramananda dowiedział się o tym i stosownie do tego umówił się z Gauri. Tak głęboko wpadł!

Owdowiała Gauri, ujrawszy przez okno swego mistrza skradającego się jak złodziej ku sadzawce, zamknęła oczy, jak gdyby olśniona błyskawicą. Ta błyskawica w jednej chwili ukazała jej całą głębię jej upadku.

— Gauri! — wołał głos z ogrodu.

— Już idę! — odpowiedziała.

Gdy przyjaciele Paresza usłyszeli o jego śmierci i przyszli, aby wziąć udział w pogrzebie, znaleźli Gauri martwą obok trupa męża. Otruła się. Wszyscy byli do głębi przejęci wiernością małżeńską, jakiej dowiodła swą dobrowolną śmiercią, wiernością doprawdy rzadką w tych zwyrodniałych czasach.

Zdrada, Wierność,
Poświęcenie, Zazdrość,
Upadek, Wdowa, Pokusa

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-glodne-kamienie>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, *Głodne kamienie* i inne opowiadania, tłum. J. Bandrowski, F. Mirandola, wyd. Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Damian Panas, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Paweł Banaczyk, dagmara Deska.

ISBN 978-83-288-0995-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.